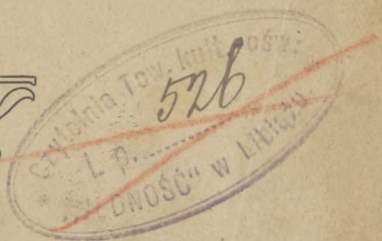




GASTON LEROUX

D Z I W N E  
PRZYGODY MIŁOSNE  
ROULETABILLA



LWÓW. \_\_\_\_\_ 1918.

G SEYFARTH (JÓZEF GEORGEON)

Z DRUKARNI W. A. SZYJKOWSKIEGO, ZIMOROWICZA L. 14.

BIBLIOTEKA PZO.  
Chaimek

1091



1208.532

St. 2.

I.

**Zdrada Iwany.**

Działo się to dnia 21. września 1913. wśród gór Bałkanu i ponurych wąwozów Istrandża Dagu. Wieczór zapadał.

Poprzedzając pierwsze oddziały wojsk bułgarskich, zalewające właśnie północną Trację i posuwające się na Almadzik, pędził mały oddział jeźdźców, na złamanie karku.

— Naprzód! Naprzód! — wykrzykiwał Rouletabille.

Słynny sprawozdawca „Epoki“, znajdował się wraz ze swoim oddziałkiem, dosłownie, pomiędzy dwiema nieprzyjacielskimi armiami i pędził naprzód, opętany jakąś dziwną u niego, nieokiełzaną pasją. Rzucał słowa zachęty naprzemian z przekleństwami, co było u niego rzeczą bardzo rzadką.

Ale dziwić się temu nie można, jeśli się zważy, w jakim się znajdował nastroju. Oto, on, niedościgniony odkrywca przeróżnych zawikłanych tajemnic kryminalnych, znalazł się nagle wobec nierozwiązalnej zagadki, wobec zagadki serca kobiecego.

Utracił zdolność rozumowania, on, który w najdziwniejszych okolicznościach, w najgroźniejszych sytuacjach, zdolny był myśleć trzeźwo i znajdować zawsze radę i wyjście.

Do tego zaś stanu doprowadziła go jedna, jedyna dziewczyna, dla której zaryzykował tyle. Kochał ją jeszcze przed chwilą, teraz czuł jednak, że ją nienawidzi z całej duszy.

Iwana Wilczkow. Ją goni właśnie Roulelabelle, a pędząc za zbiegłą, przemyśliwa rzeczy dawniejsze, chcąc na tej podstawie dojść do rozwiązania dziwnej tajemnicy:

Uczyńmy, jak on i przejdźmy pokrótce wypadki minione \*) Otóż, tak było. Wysłany przez swój dziennik „Epokę“, udał się Roulelabelle do stolicy Bułgarii, celem śledzenia wypadków, jakich oczekiwano powszechnie. W Sofii spotkał reporter młodą pannę, bratanicę generała Wilczkowa, którą poznał w Paryżu, kiedy uczęszczała na medycynę i do której zapłonął niekłamany afektem.

Roulelabelle bywał w Sofii w domu stryja Iwany i nie krył się z tem, że ją kocha, oraz, że pragnie ją poślubić. Iwaną ma dla niego także pewne uczucie sympaty, ale usiłuje odwrócić jego

---

\*) Opowiedziane one zostały w powieści „Czarny Zamek“, stanowiącej część pierwszą. „Czarny Zamek“ wyszedł nakładem tejsamej księgarni, co tom niniejszy.



umysł od swej osoby, a to z powodu, że podpada, wraz z swoją rodziną, zemście rodowej. Oboje jej rodzice i siostra, zginęli śmiercią tragiczną. Iwana pewną jest, że takasama śmierć jej grozi, z ręki wrogów rodziny. Mścicielem tym jest Gawłow, Bułgar, wygnany z kraju, który przyjął Islam, czyli stał się *pomakiem*. Gawłow mieszka w fantastycznej wprost fortecy, w samym sercu gór północnej Tracyi, w Istrandża Dagu i stamtąd przybywa od czasu do czasu do Bułgaryi, znacząc każdą swą bytność, jakimś okrutnym, krwawym czynem. Nikt nie zdołał go dotąd poskromić. Gawłow drwi sobie ze świata, z poza obecnych fortów swej twierdzy, z wyżyn swego „Czarnego Zamku“ (Kara Kule).

Wszystko to jednak nie może oziębic miłości Rouletabille. Przeciwnie, gotów jest pokonać Gawłowa i uwolnić rodzinę Wilczków od wroga, który w Tracyi nosi także imię Kara Selim, czyli czarny basza.

Reporter żąda jednak wzamian ręki Iwany. Pyta jej. Dziewczyna nie odmawia, ale nie zgadza się także. — Czyż pani jest może z kimś zaręczoną? — pyta Rouletabille. Ale Iwana odpowiada: — Nikt na świecie niema prawa zwać się moim narzeczonym.

Odpowiedź ta napełnia serce młodego człowieka nową nadzieją, roi plany, ale nagle tejżesa-

mej nocy następuje straszny dramat, przypominający historyczną tragedję konaku belgradzkiego, Gawłow wraz ze swoją bandą napada dom Wilczkowa, morduje generała i służbę, Iwanę zaś uwozi ze sobą do Czarnego Zamku.

Rouletabille przysięga pomścić i uwolnić Iwanę, a jednocześnie podejmuje się odebrać z rąk Gawłowa kuferek, pokryty rysunkami w stylu bizantyńskim, zawierający cenne dokumenty państwowe, mianowicie, plany mobilizacyjne armii bułgarskiej. Przrzeka to wyraźnie generałowi Władysławowowi, szefowi sztabu generalnego.

Reporter zabiera z sobą swego wiernego pomocnika i przyjaciela, Candoura i pewnego Rosyanina, imieniem Włodzimierz. Towarzyszy im kuzyn Iwany, niejaki Atanazy Kietew. Kietew kocha się w swej kuzynce i jest z tego tytułu rywalem Rouletabille. Chciałby oczywiście również zabić Gawłowa i uratować Iwanę. Obaj rywale powstrzymują się jednak od rozprawy osobistej, w celu dopięcia zamierzonego dzieła.

Całe towarzystwo udaje się do Czarnego Zamku, gdzie Kara Selim, czyli Gawłow, sposobi się do zaślubienia branki swej, Iwany. Podają, że są dziennikarzami, którzy zabłąkali się w górach i biorą się odrazu do dzieła. Niema godziny do stracenia. Iwana zgodziła się zostać żoną Gawłowa, mordercy swej rodziny, aby wejść w posiadanie

kufierka bizantyńskiego, w którym mieszczą się plany mobilizacyjne. Należy tedy uwolnić Iwanę i porwać kuferek.

Rouletabille dokonywa czynów przechodzących poprostu siły ludzkie i udaje mu się wreszcie porwać Iwanę i ukryć ją w bastyonie fortecy, który zabarykadował w tak genialny sposób, że może wytrzymać oblężenie. Nie mógł jednak dostać w swe ręce kufierka. Przekonał się tylko, że tajna szuflada, którą zdołał otworzyć w sposób nadszodkowany, zawiera owe cenne dokumenty wojskowe. Gawłow nie wie tedy o tem, że tam są i nie może z nich uczynić użytku zgubnego dla Bułgarii.

Rouletabille namawia teraz Kietewa, by poszedł zanieść tę wiadomość generałowi Władysławowowi i uspokoić go odnośnie do tajemnicy mobilizacyjnej. Wojsko bułgarskie może, wedle planu, z całym bezpieczeństwem pójść przez Istrandżę Dag, na Kirkilissę. Wróg nie spodziewa się tego marszu zgoła, gdyż góry są zdawna uważane za niemożliwe do przebycia.

Atanazy przyrzeka pójść i powrócić z wojskiem bułgarskiem dla ocalenia Iwany, oraz dziennikarzy. W ostatniej chwili, przed wyruszeniem, udało się jeszcze Kietewowi pochwycić podstępem Gawłowa, którego zostawia w rękach Iwany. Mają go zabić oboje po powrocie Kietewa, do tego czasu Gawłow ma służyć za zakładnika.

Następuje oblężenie, pełne scen tragicznych i komicznych jednocześnie, a kończy się w sposób zgoła nieoczekiwany. Oto, Iwana, która zaprzysięgła zemstę, nietylko nie zabija Gawłowa, ale przeciwnie — uwalnia go, własną ręką spuszczać na dół winę z bastyonu — i to w chwili, kiedy Gawłow ma ponieść zasłużoną karę, w chwili, gdy na widnokregu zjawia się armia bułgarska. idąca oblężonym z odsieczą.

Straszliwa tajemnica. Rouletabillowi wydaje się teraz, że Iwana kocha tego potwora, który wymordował jej rodzinę i który ponadto zaprzysięgł zgubę własnemu krajowi.

Bandyci z Karakule uciekli, Gawłow z nimi, a Iwana, pod pozorem schwytania Gawłowa, dopadła konia i popędziła za rozbójnikiem. Iwana nie wie zresztą, że Rouletabille był świadkiem tego, jak spuszczała Gawłowa z bastyonu.

Rouletabille porywa konia i pędzi za Iwaną, a towarzysze jego pędzą w jego ślady. Oto sytuacja jasno skreślona.

— Czeka! Dopadnę cię! — mruczy Rouletabille, zgrzytając ze złości zębami.

Nagle przypomniał sobie słowa, wypowiedziane po turecku przez Gawłowa, w chwili, gdy był na dole, pod bastyonem. Obrócił się tedy na siodle i spytał Włodzimierza.

— Co znaczy: Benem ile guch?

— To znaczy — odparł Włodzimierz —  
Chodź ze mną... pojdź ze mną!

— Do kroćset! — wrzasnął Rouletabille. —  
I ja będę na tej schadzce! Bezemnie się nie obejdzie!...

Była mniejwięcej piąta godzina, gdy wynurzyły się przed nimi dachy większej jakiejś wsi, leżącej tuż pod Almadżikiem. Spostrzegli też odrazu to, co odtąd widzieć mieli zawsze, ile razy przyszło im przejeżdżać przez wsi, osady, czy miasteczka, położone nad granicą. Wydało się jadącym, że domy wiesniaków nawiedził jakiś straszliwy cyklon. Okna i drzwi powyrywane z ramami, gęste ślady ognia, wokół zaś tych smutnych resztek siedzib ludzkich, widniały trupy kobiet i dzieci, zmasakrowane, leżące w kałużach krwi.

Także wzdłuż drogi leżały teraz coraz częściej zwłoki ludzkie, tak, że konie jeźdźców rzuciły się ciągle ze strachu.

Wszystkie te trupy świeże, były to zwłoki chłopów bułgarskich, co poznać było łatwo po stroju. Jedni pokryli się w domach, czekając przyjsścia, zapowiedzianego niezawodnie, wojsk bułgarskich, od strony północnej. Inni włościanie wybiegli na powitanie nadciągającej armii. Ale jednych i drugich doścignięto w innej wsi, lub najbliższej okolicy i wymordowano. Dotychczasowi panowie tego terytorium, zmuszeni usuwać się przed na-

jeźdźcami, oczyszczali pole mieczem i wygładzali przedstawicieli wrogiej rasy.

Chociaż żaden z jadących nie miał złudzeń odnośnie do wojny i wyobrażał sobie do czego jest zdolny człowiek w takim czasie, jednak przy wjeździe do wsi z ust wszystkich wyrwał się jeden okrzyk grozy, na widok zwłok pozbawionych głów, rozprutych brzuchów i krwawych ochłapów porozrzucanych po ziemi.

— To okropne! — biadał Candeur, kryjąc się za Rouletabilla.

Rouletabille milczał, nie był zaskoczony wcale tym widokiem. Widział może straszniejsze obrazy czasu podróży swej po Marokku i Kaukazie, zwłaszcza w Baku i Bolakani podczas walk Tatarów z Armeńczykami.

Nagle przebiegł go prąd elektryczny. Oto tam w dali na skrawku uliczki wiejskiej ujrzał postać kobiecą na koniu. Iwana! Tak to ona. Nie ulegało żadnej wątpliwości. Ale czyż dostrzegła jadących? Niewiadomo, dość, że nagle rzuciła swego konia w szalony galop przesadziła kilka wielkich kup ciał ludzkich, wydała dziki okrzyk i wymachując ponad głową wielkim jakimś szablikiem sypiącym wokół skry, znikła jak widmo w drugiej uliczce wiodącej ku meczetowi, którego wysokie minarety osnute płomykami ognia widać było zdaleka.

Rouletabille pocisnął swego konia ostrogami nagląc do wysiłku największego, mimo, że wierzchowiec od niejakiego już czasu okazywał silne zmęczenie. Chciał go zmusić do galopu, ale zmęczone zwierzę potknęło się o stos trupów i zwało się na ziemię. Reporter stoczył się w trawę, a za nim runęli również jego towarzysze, gdyż konie ich wpadły na wierzchowca Rouletabille. Candaur, Włodzimierz i Tondor legli na ziemi i podnieśli się trochę potłuczeni.

Ale Rouletabille nie czekał na nich. Zaczął biec co sił w nogach w kierunku, w którym znikła Iwana. Towarzysze pospieszyli za nim kulejąc i postępując.

Zabrzmiały strzały, a od strony gdzie leżał plac targowy wioszczyny rozległa się wrzawa. Już mieli dotrzeć do owego placu, gdy nagle zjawiła się niespodziewanie Iwana. Biegła pieszo ku nim. Jej wierzchowiec spieniony leżał o kilka kroków na ziemi. Nogi biednego zwierzęcia poruszały się w powietrzu spazmatycznymi ruchami konania. Dostał kulę w brzuch.

Wrzawa bitewna nie ustawała, grzechotały wokół strzały karabinowe, a kule zaczęły teraz na dobre świstać koło ich uszu.

Iwana znajdowała się w stanie niezmiernego podniecenia.

Podniosła w górę obie ręce i ruchem tym wstrzymała wszystkich w miejscu.

— Tam biją się na dobre. Turcy są jeszcze we wsi. Ani kroku dalej. Nie uszedłby nikt z nas wszystkich.

— A Gawłów? — spytał Rouletabille.

— Połączył się z Turkami! — odparła głosem ponurym. Pędziłam w jego tropy i chwila jeszcze, a byłabym go dopadła...

— A więc Gawłów uciekł? — spytał tuż obok znany głos.

Wszyscy się odwrócili. Atanazy Kietew znalazł się właśnie przy towarzystwie w chwili gdy Iwana domawiała słów ostatnich.

Kietew zaklął, udając, że klnie swego konia okrytego pianą, stojącego obok na drżących nogach. Potem spojrzął z pogardą po dziennikarzach.

Iwana zabrała głos:

— Padliśmy ofiarą zdrady katerdżibaszy (przodownika mulników). On to dostarczył Gawłowskiemu liny, po której spuścił się z bastionu na dół. Gdyśmy tylko odkryli ucieczkę Gawłowa, podążyliśmy jego śladem, nie czekając nawet na pana, Atanazy Kietewie. Nie czekaliśmy, mimo pragnienia ujżenia pana, podziękowania ci i złożenia gratulacji.

Iwana przemawiała głosem słodkim, przy-



chlebnym, dziwnie odbijającym od tonu, jakim się dopiero odezwała.

— A więc, odwet! — rzekł Atanazy, który patrząc na Iwanę, poczerwieniał, jak wiśnia.

— Trzeba zaczynać na nowo! — wykrzyknęła niemal wesoło, wyzywająco.

— Żal pani pewnie, że nie ucięłaś mu głowy w chwili, gdy go przyniósł? spytał przytłumionym głosem Kietew i spojrzał dziwnie przenikliwie na Iwanę.

— Naturalnie... mój drogi!

Wykrzyknąwszy to głośno, odwróciła się do niego plecami i zajęła się niezwłocznie czem innym. Kietewa nurtowała widocznie złość, której nie mógł opanować. Rouletobille patrzył na oboje i słuchał, ale nie rozumiał dobrze o co idzie. Czuł tylko, że są tutaj niedomówienia, w których właśnie kryje się cała tajemnica. Sam zresztą trząsł się od pasyi wobec niesłychanego cynizmu Iwany, spojrzał na Kietewa; wejrzenia ich się skrzyżowały. Czy się zrozumieli wzajem, niewiadomo! Atanazy rzekł:

— Dostaniemy w ręce Gawłowa!

— Oczywiście! — potwierdził Rouletabille. I postaramy się, aby nam już poraz drugi nie uszedł.

Iwana zadrżała na całym ciele. Ale powie-działa głosem, który niedwuznacznie świadczył, że sili się na spokój.



— Cóż mamy teraz robić?

— Udacie się państwo ze mną. Taki jest rozkaz generała, komendanta dywizyi. Nie może dopuścić, by go ktoś poprzedzał. Obawia się, że byle nieostrożność a nieprzyjaciel dostrzeże nasze ruchy. Wziąłem za was odpowiedzialność. Pójdziecie, gdzie was zaprowadzę, to jest tam, gdzie mi generał kazał zaprowadzić.

— Drogi Atanazy! — zawołała Iwana. — Pójdę z tobą na koniec świata!

Rouletabille zbladł. Ale Iwana nie spostrzegła tego wcale. Nie zwracała nań zgoła uwagi.

— Gdzież mamy się udać? — spytał reporter, lodowatym tonem.

— Zrobimy małą wycieczkę, proszę panów, — odparł Atanazy — udamy się tam...

Wskazał pasmo gór, w kierunku wschodnim.

— Potem zejdziemy przełęczą, wygodnie na stronę południową, nie narażając się na spotkanie z armią.

— O, tego jestem pewny! — rzekł Rouletabille. — Nie zobaczymy napewne ani jednego żołnierza!

— Cóż panu na tem zależy? Daję zresztą słowo honoru, że wyprowadzę panów na pole bitwy w chwili najbardziej interesującej.

— Wyboźnie! — krzyknął Włodzimierz.

— Wolałbym nie być wyprowadzonym wcale,

o ile będzie tam niebezpiecznie... — zauważył melancholijnie Candeur.

Rouletabille odparł:

— Trudno. Musimy się zastosować do pańskiej woli. Jesteśmy w tej chwili jeńcami, czy czemś w tym rodzaju, prawda?

Dostrzegł w pewnej odległości za Atanazym niewielki oddział konnicy, pod wodzą podoficera.

— Jesteście moimi przyjaciółmi! — rzekł Atanazy spokojnie. — Uczyniłem, co trzeba, abyście odzyskali z powrotem swe namioty, muły i inne bagaże, pozostawione w Karakule. Widziałem je tam w przejeździe. Pozatem potrzeba wam świeżych koni.

— Pan nie zapomina o niczem... — zauważył ironicznie Rouletabille.

— Pyszny z pana człowiek! — entuzjazmował się Włodzimierz.

Wrócili w kierunku, skąd przybyli i około zmierzchu znaleźli się na przełęczy. Zanim zaczęli spuszczać się w dolinę, mieli sposobność widzieć przemarsz armii bułgarskiej, a nawet słyszeć ją, gdyż żołnierze śpiewali, maszerując.

Piękny był to dzień 21. października, 1913. Armia bułgarska wkroczyła 20 kilometrów w głąb kraju nieprzyjacielskiego, i to w miejscu, które znanem było tylko pasterzom trzód i mulnikom. Szły kolumny piątej dywizyi, nie czując wcale zmę-

czenia, mimo przebycia gór, uchodzących za nieprzekraczalne, szły bez odpoczynku, godzinnego bodaj, ku polom bitew Estri-Polos, Pitra, Karakof, ku słynnym stepom, po których nastąpić miał grom : wzięcie Kirkilissy. I oto, rzecz dziwna i niezapomniana ! Mimo, że działo się to przecież współcześnie, w wieku kolei żelaznych, telefonów, telegrafu bez drutu, nikt nie przypuszczał, by armia posuwała się tą drogą. Ogólnie mniemano, że znajduje się daleko na wschodzie, nad Maricą. Wojska szły, jak fala, a nad kolumnami płynęła pieśń narodowa, o tej rzece słynnej Maricy, gdzie od wieków mieszała się krew Bułgarów i Osmanlisów.

Ale piękna ta wizya znikła niebawem z przed oczu podróżnych, którzy posuwać się musieli w ślad za Atanazym, w krainę górską, dziką, najeżoną skałami, poćwiartowaną przepaściami, przypominającą na ogół krajobraz alpejski, ale owianą dziwną melancholią smutku. Atanazy i reporterzy, opowiedzieli sobie w krótkich słowach swe przejścia dni ostatnich. Zarówno Kietew, jak i Rouletabille, myśleli o Gawłowie.

W dogodnym miejscu rozbito namioty i zabrano się ochoczo do prowiantów, przywiezionych przez Atanazego. Po jedzeniu, Iwana, pożegnawszy towarzystwo, krótkiem i oschłym: dobranoc, udała się do swego namiotu, a Rouletabille zabrał się do dyktowania Candeurowi artykułu do „Epoki“.

Trwało to dość długo. Po skończeniu, Candeur wsunął artykuł w kopertę i napisał na niej datę i tytuł. Następnie, koperta umieszczona została w teczce z czerwonej skóry, mieszczącej już kilka innych prac Rouletabilla. Candeur nie rozstawał się z tą teczką ani na chwilę i chował w nią wszystko, od czasu, gdy opuścili Sofię i wstąpili na teren Istrandża Dagu.

Gdy Candeur schował teczkę, Włodzimierz zawołał:

— Już widzę, w jaką pasyę wpadnie Marko Wołoch, gdy nasz dziennik ogłosi szereg korespondencji Rouletabilla. Jestem pewny, że się biedaczysko rozchoruje.

Marko Wołoch, był to dziennikarz przygodny, bez kwalifikacji, jeden z wielu, jacy wynurzają się z mętów społecznych, w chwilach wielkich wydarzeń światowych. Zawodowcy pogardzali nim i słusznie, miał on bowiem już rozliczne zajęcia i zawody, a w żadnym nie objawił nawet średnich zdolności. Jednak zarozumiałości mu nie brakowało i uważał się za człowieka, któremu czasu tej wojny przypadło odegrać nader ważną rolę. Piastował narazie zastępczo — aż do przybycia rzeczywistego sprawozdawcy „*Nouvelle Presse*“, funkcje reportera tego pisma, posiadającego rzeczywiście bardzo szerokie koła czytelników i to go napełniało dumą niesłychaną. Wymienione pismo.

było rywalem „Epoki“, pisma, dla którego pracował Rouletabille, toteż, redakcja, znając zdolności Rouletabilla, przykazała Markowi Wołochowi, by się nie dał zdystansować i trzymał się ostro. Marko puszczał tedy sensacyjne telegramy, czyste kaczki dziennikarskie, od których trzęsły się giełdy całego świata. Marko był zmorą Włodzimierza, który go nienawidził i obwiniął wprost o brak wszelkich zasad moralnych.

— Dajże nam spokój z twoim Markiem! — oburzył się Candeur. — Myślisz o nim nawet przez sen. I cóż nam on może zrobić złego?

— Któż to może wiedzieć! — rzekł Włodzimierz uroczystym głosem. — To pewne, że nas śledzi. Zaręczam ci, że wieczór, poprzedzający dzień naszego wyjazdu na terytoryum Gawłowa, gdyśmy koczowali w namiotach, widziałem postać podejrzaną, wymykającą się z namiotu Candoura. Za chwilę Candeur zaczął desperować, że skradziono mu teczkę z artykułami. Dałbym sobie uciąć rękę, że była to sprawka Marka.

— Owa tajemnicza postać istniała jednak w twojej tylko wyobraźni! — odparł Candeur tonem pogardliwym. — Teczka, której szukałem w walizie, znalazła się w namiocie, obok posłania, gdzie ją prawdopodobnie sam położyłem przed zaśnięciem.

— A są wewnątrz artykuły moje? — spytał

trochę niespokojnie Rouletabille, który się przy-  
słuchiwał w milczeniu rozmowie.

— Oczywiście... oczywiście... — odparł Can-  
deur. — Wszystkie artykuły są w teczce.

— Uspokój się tedy Włodzimierzu! — po-  
wiedział Rouletabille. — Uspokój się i nie sądz,  
że każdy Wołoch musi być drabem.

— O, panie! — zareczał Włodzimierz. — Nie  
znasz pan Marka. Jest on zdolny do wszystkiego  
Nie zdziwi mnie żadne jego łajdactwo. Jest on  
w stanie sprzedać własnych rodziców za byle co,  
miał pozatem brzydkie sprawy z kobietami. Zare-  
czam panu, że ten człowiek nie posiada śladu za-  
sad moralnych!

— Już dość tego!! — zakomenderował nagle  
Rouletabille. — Wszyscy spać... natychmiast spać!  
Ja obejmuję straż.

Staął na warcie. Cisza wnet zapadła wokół,  
pustka go otoczyła i ciemność. Tylko gdzieś  
w dali wybuchały czasem, jakby snopy płomieni,  
otoczone dymem i zapadały natychmiast z powro-  
tem. Wsparty na lufie karabinu, Rouletabille, spo-  
glądał na biel płótna namiotu, pod którym spo-  
czywała Iwana. Czy spała? Czy śniła? A jeśli  
i śniła... o kim? Było to tajemnicą zupełną. Roule-  
tabille nie umiał rozwiązać tej zagadki.

## II.

### **Włodzimierz opowiada Rouletabillowi dziwną historię.**

Rouletabille udał się do namiotu, gdy został zluźwany przez Włodzimierza, jedyne jak wiemy służącego, jaki mu pozostał po śmierci Teodora i biednego przewodnika multańskiego, zgładzonego przez Iwanę. Namiot dzielił reporter z Kietewem, a Bułgar spał głęboko zawinięty w swój płaszcz w chwili gdy Rouletabille wślizgnął się ostrożnie do środka. Przy migotliwym blasku świecy utkwionej we flaszcze Rouletabille długo wpatrywał się w rysy swego rywala. We śnie twarz Bułgara była zupełnie spokojną. Wyglądał na spoczywającego snem sprawiedliwych, poczciwca nietrapionego najłżejszym wyrzutem sumienia. Nie pozostało na niej śladu przeżytych utrapień, wyglądały się zmarszczki, które w ciągu ostatnich lat dziesięciu żłobiły tę twarz młodą i pełną życia. Rouletabille przyznać musiał, że Kietew go-dzien jest miłości. Jednocześnie jednak przyszło mu na myśl, że Iwana nie kocha nikogo, że jest to zdrajczyni, oszukująca wszystkich wokół.



Rozmyślając nad tem rozebrał się, zagrzał wodę na maszynie naftowej, dokonał skrupulatnie oblucyi, jakby się znajdował u siebie w domu, poczem zgasił maszynkę i wśliznął się pod kołdrę swego polowego pośłania. Przez ostrożność położył tuż obok siebie nabity karabin, tak, by mógł go chwycić każdej chwili. Wreszcie zasnął spokojnie i marzył o św. Zofii chorej na oczy.

Spał może z godzinę, gdy nagle zbudził go wyraźny odgłos rozmowy. Usiadł na pośłaniu wyrażając słuch.

Głosy dochodziły z poza płóciennej ściany namiotu. Ktoś mówił szybkim, nerwowym szeptem. Czasem rozbrzmiewały stłumione wykrzyki. Rozpoznał głosy, mówili na przemian Candeur i Włodzimierz. Ale podczas gdy w głosie Włodzimierza wybuchało dzikie wzburzenie i podniecenie, wydawało się, że Candeur jest w humorze wyśmienitym.

— Ty dajesz!

— Nie, to ty dajesz!

Chwila milczenia. Potem wykrzyki przyciszone.

Rouletabille sięgnął omackiem po swe pantalony. Chciał się dowiedzieć co się tam dzieje obok i czemu ci dwaj jegomości, którzy zaraz z wieczora mieli miny tak bardzo znużonych drogą, nie śpią do tej pory.

Po cichu, nie budząc Atanazego, który chrapał, z cicha wyszedł z namiotu i zbliżył się do sąsiedniego. Przez szpary pozostałe między płatami płótna przesiewało się nagle światło.

Rouletabille rozwiązał zreżnięte taśmy przy-mocowujące zasłonę wejścia i nagle zjawił się jak duch pomsty przed rozpromienionym Candeuem i zboliałym Włodzimierzem. Spostrzegł zaraz, że Candeur był czerwony jak ćwik, podczas gdy twarz Włodzimierza posiadała trupio bladą barwę.

— A, to tak... — powiedział do nich. — To wy gracie moi panowie.

Rzeczywiście, pomiędzy oboma kompanionami widniał mały składany stolik, na którym leżała talia kart i kartka papieru pokryta zapiskami nakreślonymi pospiesznie ołówkiem.

Rouletabille rzucił się na karty. Skonfiskował im już dwie talie od początku podróży i był pewny, że nie mają ich więcej. Nałóg karciański nie dawał im wypocząć co było rzeczą niezbędną.

— Gracie zamiast spać? Czyście powaryowali? Nie wstyd wam? Wszakże zakazałem jak najsurowiej... zapomnieliście... co? Od pierwszej chwili zakazałem stanowczo. Przysięgliście, że nie tkniecie kart... No, gadajcie! Przysięgliście, czy nie?

— Rouletabille! Nie gniewaj się! — zaczął Candeur prosząco, — chcieliśmy spać, próbowa-

liśmy, ale w żaden sposób zasnąć nie byliśmy w stanie.

— Kłamstwo bezczelne! — krzyknął reporter. Posłania wasze nie tknięte nawet! Nawet nie zaczęliście się rozbierać! Nie rozumiem tylko skąd karty? Nie pojmuję? Przecież wam zabrałem już dwie talie!

— Podoficer, który towarzyszył panu Kietowowi, zgubił tę talię... wypadła mu z kieszeni... — tłumaczył Candeur nie patrząc na Rouletabilla.

Odkupiłeś je od niego gałganie! — wrzasnął Rouletabille, — albo skradł mu je Włodzimierz!

— O, proszę pana... za co mnie pan uważa! — obraził się Włodzimierz.

— W coście grali? — inkwirował dalej.

— W co? Oto w tę ruską grę, o której ci wspominałem. Rzecz całkiem niewinna.

— O cóż to gracie? badał dalej Rouletabille, biorąc w rękę papier, leżący na stoliku. — Bony? Bon Włodzimierza na 500 franków? Jakto? Ty bieżesz ten bon, Candeur? Bon z podpisem Włodzimierza Petrowicza? Wiesz co, że głupszy jesteś jeszcze, niż myślałem!

— Musi brać bony, bo wygrał całą moją gotówkę! — uzalał się Włodzimierz, dotknięty widocznie do żywego.

— Ile przegrałeś? — spytał Rouletabille poszkodowanego.

— Spytaj pan, proszę, Candoura! — odparł ponuro.

— Otóż, to tak było... — mruzczał, czerwieniąc jeszcze bardziej Candeur. — Z początku ja nie miałem pieniędzy, ale wiedziałem, że Włodzimierz ma sporo. Straszna to rzecz, podróżować bez pieniędzy. Zaproponowałem tedy, jako stawkę, moją szpilkę do krawatki. To ostatnia pamiątka po mojej siostrze. Co prawda, przeklęła mnie przed śmiercią.

— I za cóż cię przeklęła?

— Za to, że zostałem dziennikarzem. Otóż, pojmie pan, nie wiele mi zależało na tej pamiątce. Chciałem się tego pozbyć, jak innych rzeczy. Ale nie straciłem tej szpilki...

— I przy jej pomocy, ograłeś Włodzimierza! Gadaj zaraz, ileś wygrał od niego?

— Zaraz powiem, zaraz... — bąkał Candeur. Zaczęliśmy zrazu bardzo tanio. Ot, tak, dla zabawy. Moja szpilka warta w każdym razie 75 franków... prawda? Otóż, stawiałem jej wartość częściowo. Włodzimierz przegrał z początku dwadzieścia pięć franków, potem pięćdziesiąt, potem sto... A wszystko tylko dlatego, że się chciał odegrać. Mówiłem mu to ciągle! Wreszcie przegrał wszystko, co miał w kieszeni. Teraz... nie jestem ja tak głupi, jak się zdaje... teraz przyjmuję jego bony, bo na-

leży mu się jeszcze dużo pieniędzy, za wynalazek pancerza kulotrwałego!

— Candeur! — krzyknął Rouletabille. — Gadaj zaraz, ile wygrałeś gotówką od Włodzimierza!

— I cóż ci z tego przyjdzie?

— Chcę wiedzieć, skąd on miał pieniądze! Nie wiem, skąd je wziął!

— Dostał zaliczkę na wynalazek.

— Dość tego! Ile?

Candeur stał się wprost fioletowy.

— Sam dobrze nie wiem... Doprawdy...

Ale pod surowym spojrzeniem Rouletabilla, zaczął wyciągać z różnych kieszeni banknoty stufrankowe.

— Prędko! — przynaglał go Rouletabille.

— Dobrze, już dobrze! — powiedział i wyjął paczkę banknotów pięćsetfrankowych.

— No, proszę... interes ci się powiódł, jak widzę! sztychł reporter. — Dalej... wyjmuj resztę!

— Już wszystko! — jęknął biedny olbrzym i spuścił oczy.

— Kłamstwo! — wykrzyknął Rouletabille, rzucił się ku Candeurowi i począł opróżniać jego kieszenie.

Nie mógł wyjść z podziwu, znajdując niezliczoną moc banknotów. Candeur osłupiał, czerwony pozwolił się obszukiwać jęcząc tylko zcicha.

Rouletabille policzył. Było wszystkiego ra-

zem 40.000 franków. Wpatrzył się wzrokiem srogim w Candeur, który nie śmiał podnieść głowy.

— Pierwszy raz w życiu miałem szczęście...

— Poczekajno! Niebawem pomówimy o tem szczęściu i dodał:

— Więc te 40.000 franków ofiarowałeś tym drabom w Czarnym Zamku jako okup?

— Oczywiście! — odparł Candeur. — Przecież wiesz, że mam dobre serce!

— Łatwo jest mieć dobre serce za cudze pieniądze! — zauważył cicho Włodzimierz. Kiedy proponował okup, pieniądze te były jeszcze jego własnością, a Candeur dysponował już wówczas nimi, jakby były jego.

— Szło o życie nas wszystkich! — odparł Candeur.

— Masz dobre serce Candeur! — powiedział Rouletabille. — Ale w gruncie rzeczy jesteś taki sam gałgan, jak Włodzimierz.

— Proszę pana! — obraził się Włodzimierz. — Pan mnie dotyka.

Wstał i zwrócił się do wyjścia.

Ale Rouletabille go zatrzymał i spytał ostro, tak, że Włodzimierz zbladł jeszcze bardziej.

— Skąd masz te pieniądze?

— Zapewniam pana uroczyście — powiedział Włodzimierz — że pochodzą ze sprzedaży mego wynalazku, mojej zbroi kulotrwałej! Właściwie

wynalazku dokonał mój przyjaciel z Kijowa. Ulepszał tę zbroję, poprawiał, uczynił z niej prawdziwe dzieło sztuki technicznej i wydał na to cały swój majątek. Ale gdy czasu ostatniej wojny japońsko-rosyjskiej, rząd rosyjski nie chciał kupić wynalazku, przyjaciel mój popadł w rozpacz i wstąpił do biura cenzury w Odessie. Przedtem zaś podarował mi owoc całej swej długoletniej pracy i wysiłków, a zarazem to, co było powodem wszystkich jego utraień. Mnie powiodło się lepiej..

Rouletabille przerwał mu.

— Dość tego Włodzimierzu! — krzyknął. — Jeśli mi natychmiast nie powiesz skąd masz te pieniądze, każę cię związać i wydam cię władzom bułgarskim. Będziesz im mógł opowiedzieć szczegółowo dzieje twego wynalazku.

Włodzimierz poznawszy, że sprawa przybiera zły obrót zaczął jęczeć żałośnie. Wreszcie powiedział:

— A więc opowiem wszystko. Rzecz doprawdy dużo błahsza jak pan sądzi. A stało się to, słowo daję, jakby samo przez się, tak, żem się spostrzegł gdy już było po wszystkim.

— Więc...

Rouletabille pomyślał: Zdolny jest do wszystkiego. Był tylko nie zamordował kogo, o resztę mniejsza...

Candeur spoglądał melancholijnie na te pię-

kne bilety bankowe, które go niedawno jeszcze tak cieszyły i dumał nad sposobami, by je odzyskać. Tymczasem Włodzimierz zaczął opowiadać:

— Pamięta pan zapewne, że dnia pewnego w Sofii bezpośrednio przed naszym wyjazdem zastał nas pan okrytych w ciepłe okrycia, ponieważ było bardzo zimno. Candeur owinięty był kołdrą, ja zaś miałem na sobie wspaniałe futro. Sam pan podziwiał to futro...

— Tak, było to futro twej przyjaciółki, pewnej księżniczki... — odparł Rouletabille robiąc srogą minę.

Włodzimierz przeraził się.

— Przecież nie sądzi pan chyba, że sprzedałem cudze futro! — zawołał.

— Hm... nie sprzedałeś? Więc cóż dalej?

— Panie! Za kogo mnie pan bierze?

— Cóżeś więc zrobił? — badał Rouletabille dalej.

— Przedewszystkiem, — powiedział Włodzimierz, orientując się w sytuacji, — raczy pan łaskawie zauważyć, że mogłem je sprzedać. Czy pan zna księżniczkę?

— Tak... trochę, bardzo ekscentryczna, zdaje mi się, ale cóż dalej?

— Otóż, powiedziała mi raz: jeśli ci się podoba to futro, mój drogi, możesz je sobie wziąć. Pan nie zna księżniczek rosyjskich... one są bardzo ekscentryczne i hojne...

— Acha!... Więc korzystałeś z tej hojności!



— Proszę pana! — zawołał Włodzinierz to-  
nem oburzenia. — Nie ma pan prawa obrażać  
mnie. Wszystko jest w zupełnym porządku. Otóż,  
w samym dniu naszego odjazdu z Sofii, gdy nam  
pan objawił, że udajemy się w dalszą podróż,  
pierwszą moją myślą było biedz do księżniczki  
i zwrócić jej to futro, które stanowiło przedmiot  
zazdrości jej wszystkich przyjaciółek. Nie chciałem  
go dłużej trzymać na swoją odpowiedzialność. Kie-  
dym biegł do księżniczki z futrem, przypadek zda-  
rzył, że znalazłem się w ulicy, przy której mieści  
się bank zastawniczy. Nagle przyszła mi myśl:  
Doskonała sposobność dla dowiedzenia się, ile  
warte to futro. Wszedłem. Ofiarowano mi 43.000  
franków pożyczki.

— I wzięłeś?

— Nie! Powiedziałem: Nie!

— I cóż dalej!

— Fatalność. Urzędnik banku był widać bar-  
dzo roztargniony tego dnia. Wydało mu się, że  
powiedziałem: tak. No i wypłacono mi gotówką  
43.000 franków, zanim miałem czas zaprotestować.

— Ale wzięłeś pieniądze?

— Naturalnie, niech pan jednak o mnie źle  
nie sądzi! — rzekł Włodzimierz z godnością. Pierw-  
szą rzeczą była myśl, że muszę odnieść księżniczce  
pokwitowanie zastawu.

— Ach, tak? — zdziwił się Rouletabille, osłu-  
piały, wobec tej bezczelności.

— Oczywiście! — dodał Włodzimierz. — Futro jest jej własnością, przeto będzie, je mogła wykupić.

— Wykupić!

Wykupi z pewnością. Ręcę panu.

— Ależ w ten sposób winien jesteś jej 43.000 franków, człowieku! — wrzeszczał Rouletabille.

— Oczywiście! — powiedział Włodzimierz. — Czyż ja się tego wypieram?

— Przywłaszczyłeś sobie cudze pieniądze, drabie! — wrzasnął reporter, oburzony.

— Nie, proszę pana! — odparł chłodno Włodzimierz. Nie jestem drabem. Proszę spytać Candoura. Pożyczyłem mu z tego 1.500 franków, na sprawienie przyzwoitego wyekwipowania w drogę, czyż nie świadczy to o mojem dobrem sercu, potem pożyczyłem sobie takąż sumę na wyekwipowanie. Te pieniądze, to depozyt, rozumie pan, depozyt!

— A jednak przegrałeś je do Candoura!

— To mnie właśnie martwi! — westchnął ciężko Włodzimierz. Niema nic przykrzejszego, jak przegrać cudze pieniądze! O, to rzecz okropna... okropna!

Rouletabille zwrócił się do Candoura.

— Nie możesz przecież zatrzymać pieniędzy skradzionych!

— I dlaczegoż to? — jęknął Candour płaczliwie. — Przecież ja ich nie skradłem! Zarobiłem je uczciwie!

Rouletabille nie odrzekł nic. Szybkim ruchem zwinął plik banknotów i schował je do kieszeni.

— Oj!... jęknął Candeur.—Już po wszystkim!

— Tak jest! — odparł Rouletabille. Tych pieniędzy nie ujrzy żaden z was, moi zacni panowie! Zwrócę je księżniczce, za powrotem do Sofii.

— Tak będzie najlepiej! — zauważył rozweselony Włodzimierz. — Niech ten mój depozyt pozostanie u pana.

— Twój depozyt?! — krzyknął Candeur. To moje pieniądze!

Rzucił się na Włodzimierza z pięściami, tak, że Rouletabille musiał interweniować. Zwymyślał obu i wyszedł surowy, jak sama sprawiedliwość.

W namiocie spostrzegł, że Kietew nie śpi. Musiał słyszeć wszystko.

— Dobrześ pan zrobił, — rzekł Bułgar, — odbierając im te pieniądze! Mogą się nam przydać w naszych tarapatach!

Obrócił się do ściany i za chwilę zasnął snem sprawiedliwych.

Rouletabille stał, jak słup soli. Zdumienie unieruchomiło go na chwilę.

Wreszcie wsunął się pod kołdrę, mrużąc do siebie:

— Zaiste, daleki jestem od zrozumienia duszy, słowiańskiej rasy.

---

### III.

#### Komitadzi.

Następnego ranka, podróżni nasi ruszyli dalej, ku południowemu wschodowi.

— Wydaje mi się, — zauważył Rouletabille, — że zbyt oddalamy się od armii.

— Dałem panu słowo na to, że odnajdziemy ją w swoim czasie.

— A Gawłow? — spytała Iwana.

— Znajdziemy Gawłowa także, Iwano, — zapewniał Kietew. — Wysłałem oddział konnych, by wybadali, gdzie może znajdować się Kara Selim. Doniosą mi z pewnością.

Iwana pociśnęła konia i ruszyła przodem w milczeniu.

Atanazy jechał także bez słowa dalej.

Nagle Rouletabille zauważył postać nieznaną sobie dotychczas; był to starzec, okryty łachmanami, ale majestatyczny i zatopiony, jakby w rozmyślaniach jakichś. Przyłączył się do podróżnych, niewiedomo kiedy. Kroczył, z głową na piersi zwieszoną.

Rouletabille zbliżył się do Atanazego i spytał, co to za człowiek.

— To jest ojciec Cyryl, słynny ze swoich nieszczęść.

— O, tak! — Wygląda rzeczywiście rozpaczliwie! — odparł reporter.

— Przeciwnie! Teraz czuje się szczęśliwym! — rzekł Bułgar. — Ojciec Cyryl zdołał uciec z więzienia anatolijskiego i wrócił do rodzinnego kraju, którego nie widział od czasu wojny o niepodległość.

— Czemuż przyłączył się do nas?

— Ponieważ ma ku temu swoje powody! — odrzekł Atanazy tajemniczo i dodał: — ojciec Cyryl umie kochać wolność. Pracował swego czasu z Lawińskim, przy organizacyi komitetu rewolucyjnego, aby zaś być zupełnie niezależnym, zabił swą żonę, która sprzeciwiała się jego patryotycznej działalności.

— Czemu go pan nie wsadzisz na jednego z naszych mułów? — spytał Rouletabille.

— Muły są i tak przeciążone, — odpowiedział Kietew. — Zresztą, właśnie przybyliśmy na miejsce.

Podróźni znaleźli się na obszernej polanie, otoczonej lasem czarnych jedlin.

Gdy się pochód zatrzymał, ojciec Cyryl upadł na kolana i wyciągnął ręce ku wsi, widnej opodal. Z promiennym wyrazem twarzy, wpatrywał się

w to zbiorowisko nędznych dymnych chałup, o ścianach, lepionych z błota i płaskich dachach. Tuż pod wsią widniał nędzny mostek, rzucony przez potok.

Nagle ojciec Cyryl zerwał się na nogi, na widok starca pochylonego wiekiem, który wstępował z trudem na wzgórek. Starzec miał strzelbę na plecach.

— Iwon! — zawołał ojciec Cyryl.

Starzec zbliżył się, nie poznając wołającego. Po chwili jednak poznali się obaj i padli sobie w objęcia.

W tej chwili zjawił się niewielki oddział wojsk bułgarskich. Komendant, podoficer, zbliżył się do Kietewa i podał mu list.

Nastąpiła krótka rozmowa, poczem Kietew powiedział towarzyszom:

— Zjawię się niebawem. Jedźcie powoli tą drogą, w kierunku Almadżiku. Nawet, gdybym nie wrócił na czas, zanim przebędziecie dwa kilometry, znajdziecie się pośród armii bułgarskiej. Wystarczy przedstawić się w pierwszym spotkanym sztabie.

Powiedziawszy to, odjechał spiesznie.

Iwana przybiegła galopem.

— Co się stało z Kietewem, gdzie odjechał? — spytała.

Była bardzo zaniepokojona.

Nic się nie stało! — odrzekł sucho Rouleta-

bille. Jakiś ułan oddał mu pismo, a ponieważ jest oficerem, przeto udał się gdzieś, po służbie.

— Mamy jechać prosto do Almadziku! — rzekł Włodzimierz. — Atanazy Kietew nas dopędzi.

— Którędy odjechali? — pytała nerwowo Iwana.

— Przez las! — Włodzimierz wskazał ręką ku południowi.

— Pędźmy za nim i starajmy się go dogonić! — krzyknęła Iwana, dając koniowi ostrogi.

— W jakim-że to celu? — krzyknął za nią Rouletabille.

— Przynieśli mu niezawodnie wieść o Gawłowie! Pewna jestem! Pędźmy za nimi.

Rouletabille nie opierał się Iwanie, albowiem droga przez las biegła także ku południowi i zbliżała ich do armii, o co mu szło przedewszystkiem. „Zobaczę, jak daleko posunie się w zdradzie“, mruczał pod nosem. Jechali tak z godzinę po skalistym gruncie, aż wreszcie na prośby mulników, musieli się zatrzymać. Muły były strasznie znużone. Uczyniła się czarna noc. Nie było widać na kilka kroków.

Stali tak przez czas jakiś, niepewni, gdzie rozbić obóz, gdy nagle w dali rozblęły liczne pochodnie i niebawem spostrzegli, że są dokoła otoczeni bandą pomaków, wyglądających, jak bandyci.

Na plecach mieli długie fuzye, za pasami mnóstwo nożów.

Rouletabille krzyknął, by każdy wziął broń do ręki, sam też pochwycił karabin. Ale Włodzimierz uspokoił go gestem, oddalił się o kilka kroków, i rozpoczął rozmowę z drabem, który wyglądał na przywódcę przybyszów.

Po chwili wrócił.

— Co on powiada? — spytał.

— Powiada, że uprzedzeni o naszym przejeździe, przybyli ze swojej wsi, położonej na szczycie góry, w tym celu, by nas przestrzedz, że podróż w tych okolicach bywa czasem niebezpieczną.

— To widać wyraźnie! — odparł Rouletabille.

— Powiada, że sprawiłoby mu to niezmierną przykrość, gdyby nam się miało coś złego przydarzyć. Jesteśmy właśnie na ich terytoryum i aga pociągnąłby go do surowej odpowiedzialności.

— Więc?

— Więc zdecydował się wraz ze swoimi ludźmi pospieszyć nam z pomocą i obronić nas przed złodziejami i rabusiami, oczywiście, o ile damy mu pewną sumę.

— Tak? No, a ile żąda?

— Umówiłem się z nim na tysiąc piastrów.

— Tysiąc piastrów?! — zawołał Rouletabille. — To tyle, co dziesięć liwrów tureckich.



— Tak, to wynosi około dwieście trzydzieści franków. Nie jest to wcale wielka kwota.

— Nie wielka kwota? Przecież taki nocleg w hotelu, nie kosztowałby nawet połowy.

— Prawda! — powiedział Włodzimierz. — Ale nie znajdujemy się w hotelu. Wolno się zresztą zgodzić lub nie zgodzić.

— A gdybym się nie zgodził?

— Kosztowałoby to pana bez porównania drożej.

— Do licha!

— Prócz tego przywieźli nam jaja, trzy kury i jagnię i myślą, że zakupimy od nich te zapasy.

— Kupię jaja i kury. Ale cóż mamy zrobić z jagnięciem?

— Jagnię posłużymy im na kolację. O ile bierzemy tych ludzi dla własnej obrony, musimy ich, naturalnie, żywić. Postanowili strzedz nas przez całą noc, aż do rana.

— Wszystko zatem przewidziane. Musimy tedy rozłożyć się obozem.

— Naturalnie. Poza to droga jest tak zła, a noc tak ciemna, że nie posunęlibyśmy się daleko. Muły i konie odpoczną, a rano podróż pojedzie żwawiej. To także kazał dowódca panu powiedzieć.

— A więc rozpocznij z tymi pocziwcami

układy, skoro być inaczej nie może! — zgodził się Rouletabille.

Traktat pokoju szybko został zawarty. Wkrótce też, pomacy, nie troszcząc się wcale o podróży, rozpoczęli przygotowania do uczy. Rozpalili wielkie ognisko i krzatali się wokół niego. Przy tem świetle dziwacznie rysowały się na tle czarnej nocy ich twarze. Zwłaszcza Candeur nie był tym widokiem zachwycony. Gryzło go to, że stracił uczeiwie zarobione pieniądze. Podobnie też, lwana, nie miała dobrego humoru. Szybko znikła pod płótnem swego namiotu.

Candeur i Włodzimierz postanowili spać w jednym namiocie z Rouletabillem i rzucili się oczywiście w ubraniu na posłanie, stawiając między sobą skrzynkę, pełną wszelakiej broni.

Tondor pierwszy objął straż.

Czas jakiś panowała cisza i wszyscy pozamykali oczy do snu, gdy nagle zagrzmiały strzały. Rozegrzmiała się noc strzelaniną, która stawała się coraz żywszą, a kule świstały tak blisko, że Rouletabille co chwila oczekiwał, że dosięgną któryś z namiotów.

Reporter rzucił się ku wyjściu.

W tejsamej jednak chwili zjawił się Tondor i rzekł:

— Niech pan śpi spokojnie. To nasi straż-

nicy strzelają, by dać nam znać, że czuwają i dla odstraszenia złodziei.

— Powiedz im, by strzelali trochę dalej! — rozkazał Rouletabille.

Nie skończył zdania, gdy nowa salwa rozdarła powietrze. Candeur leżał brzuchem na ziemi.

— Nie ulega wątpliwości, — jęknął, — wymordują nas!

— To nieznośne! — krzyknął Rouletabille.

— Chcą uczciwie zarobić swe pieniądze, — zauważył Włodzimierz.

Nikt nie zmrużył powiek tej nocy. Rano, gdy zwijano obozowisko, pomacy wystąpili z nowemi żądaniami. Powiedzieli, że odparli wielką bandę rabusiów, którzy, gdyby nie oni, dostaliby się aż do namiotów, korzystając z ciemności. Skończyło się na tem, że trzeba było znów dodać pewną ilość piastrow.

Droga, jaką im tego dnia odbywać przypadło, była nad wyraz męcząca.

Musieli wspinać się po stromych zboczach, iść zygzakami ponad przepaście, wdrapywać się często po skalnych ścieżkach, dostępnych chyba tylko kozom. Przytem ludność była wrogą. Często posyłano ku karawanie, z jakiejś przyczepionej do skał wsi, grad kul na oślep. Tego rodzaju oznaki nie były zgoła przyjemne i nie zachęcały do dalszej podróży.

— Cóż za zawód! Cóż za kraj! — wołał co chwila biedny Candeur.

Powtarzał to co chwila i jechał z głową ukrytą w grzywę swego wierzchowca, a podnosił głowę tylko wówczas, gdy mu przysiągł Włodzimierz, że w pobliżu niema żadnej podejrzaney postaci.

Iwana jechała na przodzie, często nawet oddalała się znacznie, nie bacząc na wołanie i przedstawienia Rouletabilla. Widać było, że nią miota niepokój dojmujący.

Odbiła się od oddziału i znikła im z oczu, około południa, w chwili właśnie, kiedy Rouletabille zatrzymał pochód, by nieco spocząć i rozprostować nogi.

— Panna Wilczkow znikła! — zawołał Włodzimierz. — Trzebaby ją znaleźć!

— Nieznośna kobieta! — jęknął Candeur.

— Co ty gadasz?! — wrzasnął nań Rouletabille, czerwony, jak kogut.

— Panowie! — krzyknął Włodzimierz. — Nie sprzeczczać się, ale raczej spojrzycie przed siebie!

Spojrzeli przed siebie, spojrzeli potem w prawo i w lewo i skamienieli. Otaczała ich nówą banda rabusiów. Tym razem nie byli to nawet rabusie, ale nieregularne wojsko tureckie. Podróżni ujrzeli skierowane na siebie lufy karabinów.

Candeur wyciągnął zaraz z kieszeni swą

wielką białą chustkę i zaczął dawać znaki, by rozpoczęto parlamentować.

Ale nie było mowy o tem. Podróżni zostali niebawem wzięci w niewolę i zaprowadzeni do mieszczącego się opodal obozu. Obóz właśnie zaczęto urządzać, na niewielkim placu widniał piękny, pokryty czarnymi znakami biały namiot, przeznaczony widocznie dla dowódcy oddziału. Zaprowadzono ich do tego namiotu. Pośrodku na miękkich poduszkach siedział człowiek w białym turbanie, wysokim jak komin. Niebieski jego kaftan połyskiwał od srebrnych haftów, za pasem sutym i połyskującym również widniał cały arsenał nożów i jataganów o srebrnych głowicach, dwa olbrzymie pistolety kryły się napoły we frendzlach pasa, u boku zaś zwisała mu szabla na czerwonych pendentach zdobnych w złote ozdoby. Człowiek ten miał minę bardzo dumną i palił z nieopisanym spokojem wonny tytoń z nargilu wielkiej wartości.

Jeńcy skłonili się przed nim, ale on nie raczył zwrócić na nich uwagi.

Tuż obok siedzącego stał człowiek, wyglądający na sekretarza i trzymał w ręku rodzaj tacy. Był to tłumacz.

Przemówił do nich po francusku.

— Panowie, pan nasz, aga, został wezwany przez padyszacha, aby ujął i uwięził mały oddział

cudzoziemców, dziennikarzy francuskich, którzy pełnią funkcje szpiegowskie w górach Istrandży Dagu, a którzy bez pozwolenia przekroczyli granicę państwa otomańskiego.

Rouletabille zadrżał. Nie spodziewał się, że o nich władze wiedziały tyle i tak dokładnie, zabrał jednak zaraz głos i zaprotestował kategorycznie przeciwko zarzutowi szpiegostwa. On i jego towarzysze wysłani zostali zupełnie jawnie przez dziennik paryski, w celach reporterskich i właśnie ukończyli swe prace w Bułgarii. Zaręczył, że nie mają wcale zamiaru powracać do Sofii. Zapewnił agę, że mają właśnie zamiar uczestniczyć we wojnie po stronie armii otomańskiej, żaden tedy człowiek rozumny nie może się w tem dopatrywać szpiegostwa.

Ku wielkiemu swemu zdziwieniu Rouletabille usłyszał jednak, że aga wie bardzo dobrze, iż pan... Rouletabille (a więc znano nawet jego nazwisko) wraz z towarzyszami otrzymali polecenie tajne od generała Władysławowa, u którego byli na audyencji przed wyruszeniem w drogę.

— Tam do licha! — pomyślał Rouletabille — są doskonale poinformowani.

Wiedzieli istotnie wszystko, tak, że tłumacz nie tłumaczył nawet adze co mówią. Uważał to za zbyteczne, a aga palił dalej spokojnie swój nargil i milczał.

Rouletabile zwrócił się do Włodzimierza.

— Umiesz po turecku, więc przemów do agi!

— Jedyna przemowa jakiejby posłuchał chętnie to mowa o monecie. Jeśli pan chcesz, to daj mi tysiąc lewów.

Rouletabile wyjął z kieszeni żadaną sumę w monecie francuskiej, a Włodzimierz wziął pieniądze i złożył je na małym stolczku, obok nargilu.

Ale aga ani drgnął.

— No i cóż? — spytał Rouletabile.

Nic! Aga nie słyszał mojej mowy. Daj mi pan jeszcze tysiąc franków.

— Oto masz pięćset. Jest to reszta ze sumy, którą podjąłem w banku przed wyjazdem. Nie mam już ani grosza.

Włodzimierz złożył pięćset franków obok sumy poprzedniej.

Aga ani drgnął, siedział jak posąg.

Ale tłumacz, który podczas wszystkich tych operacji finansowych zachowywał powagę pełną dostojeństwa, rzekł wreszcie tonem wyrzutu:

— Zaiste, moi panowie, nie orientujecie się, widzę w sytuacji, bierzecie mego dostojnego pana za żebraka.

— Widzisz Włodzimierzu coś zrobił! — rzekł Rouletabile. Aga się pogniewał!

— Pogniewał się, bo nie widzi przed sobą sumy dostatecznie poważnej, aby wogóle móż zacząć traktować w sprawie naszego oswobodzenia. Jest pewny, że mamy pieniądze.

— Słowo honoru daję, że nie mam ani grosza! — zawołał Rouletabille.

— Przeciwnie! — odparł poważnie Włodzimierz. — Masz pan przeszło 40.000 franków.

— Te pieniądze nie są ani moją, ani twoją własnością! — powiedział Rouletabille.

— To prawda! — zgodził się Włodzimierz. — Te pieniądze są własnością Candoura.

— Rzeczywiście! — powiedział Rouletabille i uczuł ogromną ulgę. — Rzeczywiście! Zapomniałem!

— Naturalnie! Daj mu pan te 40.000 franków i niech nam da spokój. Zresztą gdybyś pan mu ich nawet nie dał, zabierze je sobie sam, to rzecz całkiem pewna! Wie doskonale co mamy w kieszeni, podobnie, jak wiedział, cośmy robili w Sofii.

Rouletabille wręczył Włodzimierzowi zwitek banknotów, a Włodzimierz położył pieniądze na stoliku.

To odniosło nareszcie skutek. Aga położył na kolanach węża z ogromnym bursztynem, sięgnął ku stolikowi, wziął banknoty i uśmiechnął się.



Policzywszy pieniądze, kazał przez tłumacza powiedzieć dziennikarzom, że są wolni, że mogą jechać gdzie chcą, zaś aga zanoszą modły do Allacha, by ich strzegł przed złymi przygodami.

---

IV.

**Walka pomiędzy Atanazym a Gawłowem  
i co z tego wynikło.**

Pierwszą myślą Rouletabilla, było teraz, do-  
pędzić Iwanę, która gdzieś przepadła. Był bardzo  
zadowolony, że Iwany nie było, gdyż nie wiadomo,  
czy odnośnie do córki generała Wilczkowa, sprawa  
nie przyjęłaby zgoła innego obrotu. Teraz jednak  
naglił swych towarzyszy do pośpiechu, pragnąc  
przed nocą doścignąć Iwanę.

— Prędej, prędzej! — wołał, — nad czemże  
to dumasz, Włodzimierzu?

— Dumam nad tem, że, jeżeli oni tak do-  
brze wiedzą, cośmy robili w Sofii, to jest to sprawa  
Marka Wołocha!

— Znowu wyjeżdżasz z tym Markiem! — krzy-  
knął Candeur.

— Nie byłby chyba zdolny do takiego łajda-  
ctwa, — zauważył Rouletabille.

— Ba... nie znacie go, panowie! — odparł  
Włodzimierz.

— Ależ nie mógł przecież wiedzieć, że Wło-

dzimierz ma przy sobie tyle pieniędzy! — powiedział Candeur:

— Wiedział, — rzekł ponuro Włodzimierz. Przypadek chciał, że zastałem go w banku zastawniczym. On dostał dwadzieścia lewów za jakąś drobnostkę, mnie zaś, przy nim wypłacono wiadomą kwotę.

— Do licha! — zawołał Rouletabille. Teraz rozumieć, dlaczego krążyło coś złowrogiego wokół nas w górach Istrandża Dagu.

— Marko Wołoch! — rzekł grobowym głosem Włodzimierz. Wpędził nas w zasadzkę, wprost, oddał nas w ręce Turków, by przejąć naszą korespondencję. Posłał anonimową denuncjację do władz w Adrianopolu, czy Kirkilisse i w ten sposób dowiedział się wszystkiego, ten dureń, aga. To jasne, to nie ulega wątpliwości!

— Wieczór zapada, a niema panny Iwany! — zawołał głośno Rouletabille, dając ostrogi swemu koniowi.

— Niech ją dyabli porwą... — mruknął pod nosem Candeur.

— Raczej, niech ją sobie odbierze Kara Selim... — dodał Włodzimierz.

— Cicho!... Gdyby Rouletabille dosłyszał, zabiłby cię niezawodnie.

Nagle, tuż, przed nimi, zagrzmiały gęste strzały. Znajdywali się u wylotu wąskiego wąwozu i nagle

buchły, od strony, gdzie się rozstypywały skały, płomienie. Paliła się wieś turecka. Rouletabille i towarzysze, ruszyli żwawiej naprzód. Nie ubiegli jednak daleko, gdy nagle ujrzeli Iwanę. Czekwała na nich.

Kazała im zsiąść, ukryć konie i powiodła ku domowi, zbudowanemu z kamienia. Posłusznie weszli do tego domu, przebiegli kilka komnat, wreszcie znaleźli się na tarasie. Ukryli się za baryerą z kamienia, by ich nie dosięgły kule syczące i gwizdzące wszędzie i patrzyli.

Zobaczyli bitwę. Bułgarzy walczyli z baszybożukami tureckimi. Tuż zaś, przed sobą, ujrzeli podróżni, rodzaj pojedynku. Atanazy walczył z Gawłowem.

Zachowanie się Iwany było dalej bardzo dziwne. Nie wiadomo bowiem, czemu ta gorąca partyotka, widząc, że Atanazy walczy z Gawłowem, nie sprowadziła mu pomocy w osobie Rouletabilla i towarzyszy, ale przeciwnie, zawiodła ich tutaj, skłoniła, by przyjęli rolę widzów tylko. Czyżby się obawiała, że inaczej pospieszą z sukursem?

Noc zapadła. Płomienie palących się domostw, jaskrawo oświecały plac, pośrodku którego, walczył Atanazy, z Kara Selimem. Obaj najeżdżali na siebie końmi i starali się dosięgnąć, to szablą, to nożem, a konie, jakby je ogarnął również szal bitewny, gryzły się, rwały i wierzgały nogami. Wo-

koło nich ścierali się Bułgarzy z Turkami. Strzelano do siebie z bliska, cięto nożami, ludzie zwarci w pojedynkę, szamotali się w zapasach wściekłych.

Zdawało się, że zarówno Atanazy, jak i Gawłow, są nietykalni. Mimo nadludzkich wysiłków, strzałów z pistoletów repetyerowych, rąbaniny na szable, żaden nie miał rany.

Iwana patrzyła na nich rozpłomienionym wzrokiem, drżała całym ciałem, zdawało się, że zemdleje lada chwila. Pochwyciła dłoń Rouletabilla i ścisnęła ją mocno, w miarę postępów, toczącego się tam, opodal, śmiertelnego pojedynku.

Rouletabille zrazu nie rozumiał tego wszystkiego, wkrótce jednak poznał z przerażeniem, że ilekroć uczuwał uściski silniejsze, tyle razy Gawłow był górą. Stała tedy po stronie Gawłowa. Wszystkie jej uczucia posiadał Kara Selim. Gdy pod niespodziewanym ciosem zachwiał się Turek, Iwanę ogarniało, jakby omdlenie, chwiała się na nogach, wydawała jęki. Nagle, broń Gawłowa upadła na ziemię, pociągając jeźdźca. Iwana wydała okrzyk trwogi i rzuciła się naprzód, jakby chciała biedz na ratunek. W tej chwili Atanazy skoczył ze swego konia i rzucił się z nożem na leżącego. Turek chciał się bronić, ale nie mógł wydostać się z pod swego wierzchowca. Atanazy zadał mu cios straszliwy, jeden, drugi, nóż błysnął krwano w powietrzu.

Czarny pasza, legł, jakby martwy, na placu, a Bułgarzy wydali okrzyk tryumfu. Baszybożuki zaczęli się cofać i wnet rzucili się do bezładnej ucieczki.

Candeur, Włodzimierz i Tondor, bili brawo i biegli wieszować Atanazemu, ale Rouletabille musiał zostać przy Iwanie. Była bardzo wyczerpana, chwiała się na nogach, wreszcie padła mu na ręce i ukryła twarz na jego piersiach.

— Iwano... — prosił — zbierz siły, nie trzeba się tak poddawać. To, widać, z radości tak ci słabo? Co? Zbierz siły...

Iwana podniosła głowę i uśmiechnęła się boleśnie i nie odpowiedziała ni słowa.

Walka ustała. Kotłowali się ludzie, jeszcze tylko koło meczetu, w którym skryli się baszybożukowie, w liczbie kilkunastu. Meczet podpalono, a zamknięci starali się wydostać, aby nie spalić się żywcem. Ale Bułgarzy czuwali, zaledwie który zjawił się na placu, chwyтали go, nieśli i z dzikimi okrzykami wrzucali w płomień.

— Chodź wieszować Atanazemu! — wołał do Rouletabilla Candeur.

— Idź sam, ja zostanę przy pannie Iwanie — odparł. Czyż nie widzisz, że zasłabła?

— Idźcie wszyscy... — prosiła Iwana — zostawcie mnie samą!

W tej chwili stało się coś dziwnego. Zwy-

ciężcy Bułgarzy zaczęli się grupować, siadać na konie, ustawiać w szeregi. Trąbka wzywała raz poraz tych, którzy się opóźniali.

— Cóż to takiego? — dziwił się Candeur.

— To znaczy, — odrzekł Rouletabille, — że Turcy nadszczą w znaczniejszej sile.

Nagle, oddział się uformował, zabrzmiała komenda i Kietew, ze swoimi, opuścił wieś, ruszając w stronę północną.

— Widzicie, że miałem rację! — powiedział Rouletabille. — Teraz kolej na nas. Uciekajmy, o ile jeszcze czas!

Zwracając się do Iwany, dodał:

— Droga panno Iwano, zbierz siły. Trzeba teraz jechać, nie mamy chwili czasu.

Uśmiechnęła się boleśnie, ale uczyniła wysiłek i poszła przodem, ku miejscu, gdzie zostawiono konie.

Rouletabille uczuł wprost nienawiść do Iwany: Więc ona kocha tego mordercę swej rodziny — myślał. — Cierpi, nie starając się nawet ukryć swego bólu. Myśli tylko o tem czarnem, okrwawionem ciele, które żołnierze włożyli w tryumfie, po placu, a potem unieśli ze sobą, jako łup wojenny.

— Prędko, prędko! — wołał Włodzimierz. Patrzenie, baszybożuki wychodzą z meczetu. Teraz sprawa z samymi Turkami!

Ale nie stało już czasu na odwrót.

Baszybożuki wrócili z regularnem wojskiem tureckiem, które zajmowało nanowo wieś, wśród okrzyków i klątw, pod adresem ustępującego nieprzyjaciela.

Podróźni nasi postanowili ukryć się i przeczekać do nocy, poczem, pod jej osłoną, ruszyć dalej. Opuścili tedy terasę i udali się do piwnicy tego samego domu, gdzie było nierównie bezpieczniej.

Iwana szła obok Rouletabilla, jak cień. Ruchy jej były sztywne, automatyczne, napoły tylko świadome. Zdawało się, że wraz ze śmiercią Gawłowa, postradała zmysły.

Ukrycie naszych podróźnych, okazało się jednak niebawem bardzo mało bezpiecznem. Oto, ludność wsi, zachęcona przybyciem wojska regularnego, powracać zaczęła do opuszczonych domostw. Podróźni widzieli przez okna, powracających. Spostrzegli niebawem właściciela domu (jakaś, widać, wybitną i znaczną osobistość miejscową), wracającego wraz z rodziną, dziećmi, kobietami, służbą i dobytkiem.

Spotkanie z agą i inne poczynione doświadczenia, pouczyły ich, że nie bardzo można ufać gościnności tutejszej ludności. Przytem mieli przy sobie paszporty i przepustki bułgarskie, mogli lada chwila zostać zrewidowanymi, potem zaś, groziło im, bez wątpliwości, rozstrzelanie. Próbowali wyjść,



ale za każdym razem musieli wracać. Sytuacja stawała się z każdą chwilą tragiczniejszą. Armia bułgarska nie mogła tu w najlepszym razie przybyć rychło, a gospodarz mógł lada moment zejść do piwnicy.

— Gdyby tu było przynajmniej wino, — biadał Candeur, — wówczas, byłoby tak z nami, jak z Atosem, w „Trzech Muszkieterach“, obłożonym w piwnicy... ale bez wina... cóż poczniemy?

Nagle, rozbrzmiała ponownie palba karabinowa, podniosły się krzyki, płacz i zawodzenie kobiet. Zawrzała nowa bitwa. Podróżni widzieli przez okienko piwniczne, sylwetki uciekających ludzi, ruch wozów, słowem, całą panikę ludności.

— Bułgarzy wracają! — zawołał Włodzimierz i chciał już wyjść, ale Rouletabille wstrzymał go.

Rzeczywiście, nie było wskazaniem, albowiem do wsi weszły właśnie kolumny trzeciej armii. Oficerowie byli bezsilni, żołnierze roz hulali się na dobre i zabijali w przystępie pierwszej wściekłości, na prawo i lewo. Najwięcej dokazywali komitadzi.

Słysząc było śmiertelne wrzaski kobiet i dzieci, tak, że podróżni drżeli w głębi swej kryjówki.

Musieli patrzeć przez okienko piwnicy na wszystkie okrucieństwa wojny, na krew, płynącą w odwet przelanej krwi. Widzieli już biednych chłopów bułgarskich, mordowanych przez Turków, teraz patrzeć musieli na mord ludności tureckiej

przez Bułgarów. Daremnie mówili sobie, że tak być musi, że są to nieodzowne konsekwencje wojny. Widok ten, przejmował ich grozą. Wspomnienie tej okropnej nocy, ścigało ich potem długo i nie mogli zapomnieć tego nieszczęsnego skrawka ziemi, gdzie nagromadziło się przez wieki tyle fermentu niezgody, gdzie rozegrało się tyle walk i tyle krwi popłynęło.

Iwana obróciła się twarzą do ściany, by nie patrzeć, a Rouletabille widział, jak zatyka uszy, by nie słyszeć.

Nagle spostrzegli małą dziewczynkę. Wyrwała się z rąk komitadżich i biegła z krzykiem po placu. Znalaziono ją pod stosem trupów — zapewne trupów jej własnej rodziny. Uciekała, a za nią biegł ogromny Bułgar z nagą szablą w ręku.

Rouletabille nie mógł powstrzymać okrzyku zgrozy, a Candeur wydał jęk przeciągły.

Bułgar już doganiał dziecko, które uciekało przerażone, z oczyma szeroko otwartymi.

Rouletabille powiedział:

— Muszę chyba strzelić do tego draba.

Wyjął z kieszeni pistolet repetyerowy.

Na dźwięk tych słów, zerwała się Iwana i chwytając Rouletabilla za rękę, zawołała:

— Nie popełnisz pan chyba tej zbrodni!

— Jakiej zbrodni? — spytał, starając się wyrwać rękę. To przecież jest dzieciobójca!

— On jest Bułgarem! W mojej obecności przynajmniej, nie ośmielisz się pan zabić Bułgara!

— Dobrze, — odparł, — posłucham, o ile pani ma odwagę patrzeć na śmierć tego dziecka.

Nagle, uciekająca dziewczynka potknęła się na czemś i upadła, tuż przed progiem piwnicy. Żołnierz zamachnął się, i, podniecany okrzykami towarzyszy, ciął straszliwie. Ale szabla jego świsnęła tylko przez powietrze.

W tej sekundzie, gdy mała upadła, Iwana rzuciła się ku wejściu i wciągnęła szybko dziecko do piwnicy.

Żołnierzowi wydało się, że ofiara jego zapadła się nagle pod ziemię. Stał osłupiały. Dziennikarze byli także zdumieni.

Dziecko tuliło się do Iwany. Drżało, na całym ciele.

Przed piwnicą utworzyła się grupa żołnierzy. Rozmawiali żywo. Z gestów ich można było wnościć, że są rozwściekani tem, co się stało. Za chwilę wpadli do domu. Słysząc było ich kroki po schodach.

— Ładnieśmy się urządzili!... — jęknął Candeur.

— Za chwilę przyjdą, by nas rozstrzelać! — powiedział Rouletabille. Trzeba wyjść stąd koniecznie. Wezmą nas niewątpliwie za Turków.

— Jeśli wyjdziemy z dzieckiem, — powiedziała Iwana, — będzie jeszcze gorzej.

— Niech pani zostawi tę małą, — rzekł Włodzimierz, — może zdoła gdzieś się ukryć.

— Nie! — krzyknęła. — Nie zostawię jej, wyjdźcie wszyscy, ja tutaj zostanę. Mówcie do nich, wyjaśnijcie... ja zostaję!...

Dziewczynka objęła za szyję swą zbawczynię.

— Zabiją was obie w piwnicy, — zauważył chłodno Rouletabille.

— Dobrze! — odparła Iwana, — wszak chciałeś pan ocalić to dziecko. Nie zostawię tej małej.

— Nie damy się przecież wymordować przez tę Turczynkę! — zawołał Candeur, który, zrazu zachwycony czynem Iwany, wpadł teraz w rozpacz i zdecydowany bronić swego życia, wyszedł z piwnicy, powiewając chustką:

— Francis, Francis! — wołał, chcąc dać w ten sposób poznać, że jest Francuzem.

Otoczyli go w tej chwili komitadzi i zaczęli wypytywać, a nie mogąc się z nim dogadać, poczęli go nawet szarpać. Sprawa przybierała zły obrót, bo Candeur zaciskał już pięści. Widząc to Rouletabille, wyszedł wraz z towarzyszami z piwnicy. Włodzimierz wystąpił naprzód i wygłosił mowę. Oświadczył, że jest przyjacielem generała Władysławowa, jego zaś towarzysze, są to najszynniejsi dziennikarze europejscy, a schowali się do

piwnicy przed Turkami. Powiedział dalej, że mają z sobą siostrzenicę generała Wilczkowa, zamordowanego przez pomaków. W zakończeniu zażądał, by ich zaprowadzono do oficera sztabowego.

Komitadzi, pod wrażeniem tej mowy, naradzali się między sobą i po chwili przyrzekli, że nie tkną nikogo.

Rouletabille uwiadomił o tem Iwanę, która zgodziła się wyjść z piwnicy.

Ukazała się u wejścia z dzieckiem na ręku. Komitadzi zaczęli jej robić wyrzuty:

— Nie jesteś prawdziwą siostrzenicą generała Wilczkowa, zamordowanego przez pomaków. Inaczej, czyż mogłabyś ratować dziecko tych, którzy pomordowali twoich rodziców i wuja. Oddaj nam to dziecko, a pomścimy cię, ponieważ nie masz odwagi uczynić tego sama.

Iwana odpowiedziała:

— Jestem siostrzenicą generała Wilczkowa i rozkazuję wam zaprowadzić nas, do waszego komendanta.

— Nie mamy komendanta, jesteśmy wolni obywatele, komitadzi! — odpowiedzieli i chcieli ją pochwyć.

Uczył się zgiełk straszliwy, dziennikarze chcieli Iwanę bronić, komitadzi chcieli ją dostać w swoje ręce. Candeur wołał ciągle:

— Francis, Francis! — i machał chusteczką,

zaś Włodzimierz groził karą ze strony generała. Rouletabille pewny był, że za kilka minut wszyscy zostaną rozstrzelani.

Iwana sama, jakby z rozmyślną i zamierzoną niezręcznością, drażniła komitadżich, rzucała im złóżczenia i przekleństwa w rodzimym języku. Jeden z nich wreszcie, odtrącił Rouletabilla, rzucił się na Iwanę z ogromnym nożem i pchnął ją w pierś.

Ostrze trafiło w dziecko, które jęknęło, zamknęło oczy i wysunęło się z ramion Iwany, na ziemię. Iwana stała z rękami opuszczonymi, przerażona, obryzgana krwią.

Natychmiast jednak, jakby krew przelana posiadała władzę uśmierzenia nienawiści i gniewu, nastąpiła cisza zupełna...

Komitadżi zaprzestali hałasować i napastować i oddali się na usługi podróźnych, proponując, że ich zaprowadzą do sztabu generalnego, czwartej kolumny, trzeciej armii, stojącego w Almadżiku.

Rouletabille zgodził się natychmiast i wszyscy udali się tam, otoczeni bandą komitadżich, niby jeńcy wojenni.

Postępowali w milczeniu. Nagle, Rouletabille spostrzegł, że Iwana płacze. Myśląc, że żał jej zabitego dziecka, powiedział na ten temat kilka słów pocieszających.

Odpowiedziała mu:

— Nie oplakuję tej małej. Taki los był jej pisany. Zginęło wiele dzieci bułgarskich i tureckich, podobnie, jak zginąć musiała Irena. Płaczę z żalu, że nóż tego człowieka nie trafił we mnie... tego tylko żałuję i dlatego płaczę.

Rouletabille zadrżał. Więc tak strasznie cierpiała z powodu śmierci tamtego człowieka? Nie ozwał się już ni jednym słowem, szedł obok lwany, jak zupełnie obcy człowiek, pewny, że wszystkie węzły zerwane raz nawsze i że ich nic już zbliżyć nie zdoła.

---

## V.

### **Dziwna opowieść Candoura.**

Zostali doprowadzeni w ten sposób do przednich straży wojsk, stacyonujących w Almadziku, gdzie zastali sztab generała Dymitra Sawowa, oraz jego samego. Przyjęci zostali gościnnie i z wielką radością. Zdarzyło się bowiem, że Atanazy właśnie do Sawowa zwrócił się swego czasu z przedstawieniem rzeczy i że odeń dostał oddział kawaleryi, z którym ruszył przodem, uprzedzając armię bułgarską, na ratunek, zamkniętym w Karakule dziennikarzom, oraz siostrzenicy generała Wilczkowa.

Sawow wiedział tedy, jakie zasługi położyli wszyscy nasi podróżni dla sprawy armii bułgarskiej i czuł się w obowiązku dostarczyć wszystkim wygod możliwych, pupilce generała Władysławowa.

Uszczęśliwiony był przedewszystkiem Candeur, wydawało mu się, że teraz ma za sobą wszystkie przygody i okropności i że może się oddać słodkiemu odpoczynkowi.

Rouletabile przyjął także z wdzięcznością życziwe propozycje generała, ale prosił go ponad wszystko, by mu ułatwił pełnienie funkcji repor-



terskich przy armii. Oświadczył przytem, że będzie się czuł zupełnie wynagrodzonym za wszystko, co wycierpiał w Karakule i potem, jeśli generał zechce przesłać w sposób zupełnie bezpieczny, obszerny skrypt, który powstał z artykułów, jakie pisał od czasu swego pojawienia się w górach Istrandża Dagu.

Generał oświadczył, że ma doń najzupełniejsze zaufanie, że przeto oszczędzi mu przykrości i opóźnienia przez cenzurę, o ile oczywiście zobowiąże się nie pisać, ani telegrafować wiadomości, któreby mogły szkodzić poruszeniom armii. Potem wręczył mu dokument, upoważniający go do podróżowania wraz z towarzyszami, gdziekolwiek będzie sobie życzył, oraz do używania wszystkich potrzebnych mu środków lokomocyi.

Generał nie ukrywał przed reporterem trudności, niepodobieństwa niemal komunikacyi z Paryżem, zanim armia bułgarska nie osiągnie linii Kirkilisse-Sylio-Lou, to znaczy, dopóki nie wydo stanie się z Istrandża Dagu. Turcy zniszczyli bowiem całą sieć telegraficzną tych okolic na kilkaset kilometrów wokół, a pochód Bułgarów był tak szybki, że nie miano czasu zabrać się do naprawy połączeń.

— Nie może pan telegrafować ani z Alma-dziku, — mówił generał, — ani z Kodikeu, gdzie staniemy jutro, ale naznaczam panu rendez-vous

w Akmadży. W tym punkcie tworzymy węzeł komunikacyjny dla całej armii, aż do Mustafa-Pasza, do kwatery głównej, a dopiero potem rozpoczniemy działanie ofenzywne na turecką linię obronną Kir-kilisse.]

— Doskonale, generale! — odrzekł reporter. Pójdziemy tam niezwłocznie, gdyż w ten sposób pewni będziemy, że zajedziemy na czas i nie rozminiemy się z panem.

— Dobrze, jak panowie chcecie, — odpowiedział, — ale ostrzegam, że droga to bardzo trudna, przytem podróż taka dla małej grupy osób cywilnych, wcale nie jest bezpieczna.

— Pan generał ma rację! — wtrącił Candeur. Rouletabille, ja mam, słowo daję, już dość tego wiecznego narażania się i to w kraju, gdzie ciągle deszcz pada. Pomyśl, Rouletabille, wojna trwa dopiero coś z dziesięć dni, a dwóch już z naszego grona nie żyje: Modest i Katardżibasza!

— Dobrze, — odparł Rouletabille, — Candeur tedy zostanie przy panie Wilczkow!

— Ja pojedę! — oświadczyła Iwana.

Zwróciła się do generała z prośbą, by jej dał strój Czerwonego Krzyża. Postanowiła widzieć wszystko, być blisko frontu i nieść pomoc rannym.

Candeur był w rozpacz.

Nazajutrz, koło południa, podróżni nasi znaleźli się równocześnie z jedną brygadą, piątą

dywizyi, w Kodikeu. Ale Candoura nie było z nimi.

Rouletabille dał mu tylko trzy godziny spoczynku, ale, gdy Tondor chciał go zbudzić, Candeur wpadł w wściekłość i oświadczył, że mu kości połamie, jeśli się poważy przerwać mu sen.

Rouletabille tedy, kazał swej małej karawanie gotować się do odjazdu, bez troszczenia się dalszego o Candoura, sam tylko udał się do jego miejsca spoczynku i zabrał tekę, pełną artykułów, która służyła Candeurowi zawsze za poduszkę.

Zjedli śniadanie w Kodikeu i ruszyli do Demirkapu.

Posuwali się zwolna, w ponurym nastroju.

Pierwszy jechał Tondor, niby szpica oddziału, potem Włodzimierz, dalej Iwana, w końcu zaś, Rouletabille. Wszyscy byli smutni, chociaż z rozmaitych powodów. Włodzimierzowi dolegała nieobecność Candoura.

Ze ścieżki swojej, widzieli posuwające się przez góry liczne oddziały armii bułgarskiej, była to awangarda którejś dywizyi. Żołnierze szli luźno, z trudem, po wązkich, skalistych drożynach. Czasem, rozległ się strzał, potem wszystko zapadało w ponure milczenie. Wokół nie było żywej duszy z pośród mieszkańców, wszyscy uciekli, nauczeni doświadczeniem pierwszych dni wojny. Gdzienie-

gdzie snuły się dymy, to dogasały zgliszczą popało-  
nych domostw pojedynczych.

Podróźni usłyszeli nagle za sobą tentent ko-  
nia, a Włodzimierz wydał okrzyk radości, rozpo-  
znawszy w dali postać Candoura. Jeździec zbliżał  
się szybko, nie szczędząc wierzchowca. Toteż, gdy  
dopał towarzyszków, koń Candoura zwałił się na  
ziemię. Candour zeskoczył i rzucił się na Roule-  
tabilla, krzycząc:

— Czy masz tekę z artykułami? Gadaj!

Otrzymałszy odpowiedź, odetchnął głęboko  
z ulgą i powiedział:

— Wyobraź sobie, śnił mi się Marko Wołoch.  
Przyszedł cichaczem w nocy i ukradł mi tekę. Bu-  
dź się, szukam... niema teki!... Wy odjechaliście  
także! Wpadłem w rozpacz. Jakże mogłeś mnie  
zostawić samego w tym dzikim kraju.

— Nad spoczynkiem twym czuwała cała dy-  
wizya wojsk bułgarskich!—odparł chłodno Roule-  
tabille.

— Wiedziałem jednak, że, choćbyś mógł opó-  
ścić mnie, nie mogłeś porzucić swej teki z artyku-  
łami. Jak widzisz, nie straciłem wcale czasu na to,  
by was dogonić.

— Przykro mi, że zadawałeś sobie ten trud!—  
rzekł Rouletabille. Zresztą, nie będę cię już fatygo-  
wał piastowaniem tej teki.

Nie będziesz fatygował? Cóż to znaczy?

— To znaczy, że nie oddam ci tej teki!

— A komuż ją oddasz?

— Komuś, godniejszemu od ciebie. Ty, już przestałeś, mój drogi, być moim sekretarzem. Nie jesteś już moim pomocnikiem, możesz sobie spać, jak długo chcesz, możesz jechać, wrócić do Paryża, uczynić, co ci się podoba... jest mi to całkiem obojętne. Włodzimierzu, weź tę tekę, mianuję cię moim kajmakanem, moim sekretarzem.

I podał mu tekę, na znak nowej godności.

Candeur wydał ryk desperacji. Włodzimierz uniósł się z radości w strzemiionach, a twarz jego, rozbłysła, jak słońce.

Zapadła cisza. Rouletabille pogрузzył się na nowo w cierpkich rozmyślaniach. Iwana jechała dalej obojętna, milcząca, jakby nie znała reportera zupełnie.

Rouletabille czuł się zranionym w samo serce. Daremnie silił się na to, by przyjmować obojętnie to, co czyni ta dziwna, niepojęta dziewczyna. Gryzł się straszliwie i nie mógł przestać myśleć o swej krzywdzie, Czasem wzbierał w nim gniew i wtedy rzucał dzikie spojrzenia wokoło siebie.

Spojrzenie takie padło właśnie na Candoura, który po chwilowej rozpacz, przyszedł do siebie szybko i kroczył obok konia Włodzimierza, wesoły, poświsując sobie nawet czasem.

Rouletabille uczył oburzenie, że ex-sekretarz

pozwala sobie na rodzaj kpin z niego. Było to wielką bezczelnością i reporter czekał tylko na sposobność, by Candeurowi powiedzieć coś niemiłego. Nagle osłupiał. Candeur niósł najspokojniej pod pachą tekę z artykułami.

— Candeur! — zawołał.

— Ha? A co tam takiego? — odparł Candeur, nieco arogancko.

— Chodź tutaj!

— O co idzie?

— Powiadam, chodź tutaj!

Candeur podszedł i spojrzał naiwnie na Rouletabilla.

— Czy znowu zrobiłem co złego? — spytał.

— Czy możesz mi powiedzieć, co niesiesz pod pachą? — spytał go surowo reporter.

— Naturalnie! To jest teka z artykułami.

— Skradłeś ją Włodzimierzowi?

— Ja? Broń Boże! Nie jestem złodziejem!...

— Jakże mógł Włodzimierz, któremu tekę powierzyłem, oddać ci ją z powrotem?

— Wziąłem ją od niego z litości, gdyż ma za dużo do dźwigania, — odrzekł Candeur

— Za dużo do dźwigania? Przecież nic nie dźwiga.

— To było tak: ja dźwigałem zrazu, idąc pieszo, swoje pakunki. Więc Włodzimierz ulitował się i wziął na konia] pakunki. Ponieważ potem

miał za dużo, bo swoje i moje pakunki, i tekę, przeto tekę wzięłem od niego.

— Dobrze! Zawołaj mi Włodzimierza.

Przysunął się Włodzimierz z miną zaambarasowaną i równie naiwną, jak Candeur.

— Włodzimierzu! — rzekł Rouletabille, — uczyniłem cię moim sekretarzem. Zdaje mi się, że jest to misya zaszczytna...

— Naturalnie, proszę pana... — odparł.

— Wiesz, że uczyniłem to, by ukarać Candoura, któremu bardzo zależy na tej tece.

— Naturalnie, proszę pana... — powtórzył.

— Więc jak się mogło stać, że Candeur nosi tekę, którą ci powierzyłem? — spytał reporter, zdumiony.

— Candeur kupił odemnie tę tekę, proszę pana! — odrzekł ponuro Włodzimierz.

— Kupił?! — zawołał oburzony Rouletabille. Powiadasz spokojnie: kupił; jakimże sposobem sprzedałeś rzecz, która nie była twoją własnością... jakże śmiałeś odstąpić za parę groszy pierwszemu lepszemu?...

— O, nie sprzedałbym jej pierwszemu lepszemu, za kilka groszy! — oburzył się Włodzimierz.

— Idzie tedy, jak widzę, o cenę!

— Proszę pana! — zawołał. — Pan mnie źle sądzi. Nie byłbym sprzedał pierwszemu lep-

szemu tej teki. Zresztą nikt nie byłby mi tyle za nią zapłacił co Candeur. Nie kryję się z tem wcale. Tylko tak poważna kwota, skłoniła mnie do tej sprzedaży.

— Co też ty opowiadasz! — rzekł reporter. Przecież Candeur niema ani grosza!

— Candeur jest bogaty... Przynajmniej był bogatym!

— Przypuszczam, że nie dał swych słynnych 40.000 franków. Z nich już niema ani śladu.

— Proszę pana, dał mi sto tysięcy franków... — odparł z dumą Włodzimierz.

— Sto tysięcy?

Candeur, który się dotychczas przysłuchiwał, rzekł poważnie:

— To nie jest wcale drogo, za zaszczyt noszenia teki, z artykułami, pierwszego reportera „Epoki“.

— Kpisz sobie ze mnie! — krzyknął Roulettebille.

— Nie kpię z nikogo! — zauważył Candeur. Uważam zresztą, że zrobiłem doskonały interes.

— Skądże wzięłeś pieniądze? — pytał Roulettebille, już bez gniewu. Wy tłumacz się.

— Dobrze. Oto, kiedy nam skonfiskowały pieniądze i karty, musieliśmy z konieczności zacząć inną grę.

— Z konieczności?



— Naturalnie...

— W czasie, wolnym od służby! — zauważył Włodzimierz.

— Teraz ja zacząłem przegrywać.

— Nareszcie...

— I niebawem Włodzimierz posiadał bony moje, na dość okazałą kwotę. Nie miałem bowiem gotówki. Ale te bony nie dawały mi spokoju, gdyż płatne były w terminie dosyć krótkim. Postanowiłem się tedy odegrać.

— I szachrowałeś?

— Po trochu. Dosyć na tem, że wkrótce nie tylko się odegrałem, ale Włodzimierz musiał mi wystawić za sto tysięcy franków swoich bonów. To go bardzo grzyło.

— Nie zauważyłem tego wcale.

— O, proszę pana! — rzekł Włodzimierz, — jestem człowiekiem dobrze wychowanym, pochodzę ze znakomitej rodziny kijowskiej. Zaręczam, że bony moje, to, jakby gotówka. Toteż, byłem w niej jakim kłopotcie.

— Tak, rozpacział nawet, gdy byliśmy sam na sam. Wobec tego, powiedziałem mu dziś: oddaj mi tekę, a ja oddam bony. Dał mi tekę, a ja mu najuczciwiej wypłaciłem sto tysięcy franków bonami, czyli gotówką. I zaraz Włodzimierz przestał się martwić. Widzisz, jaki wesoły!

Rouletabille miał ochotę śmiać się, ale rzekł poważnie :

— W gruncie rzeczy, teka powinna być oddana Włodzimierzowi, albowiem wygrałeś tę kwotę przez szachrajstwo.

— O, co do tego... — rzekł Candeur, spoglądając z pod oka na Włodzimierza, — to jestem zupełnie spokojny.

— On ma rację! — rzekł sprawiedliwy Włodzimierz. Wyznam panu, że i ja trochę szachrowałem.

— Widzisz! Włodzimierz wyznaje sam, jak przystoi człowiekowi dobrze wychowanemu...

— Tylko on szachruje lepiej odemnie! — westchnął Włodzimierz.

— W cóż wy jednak gracie? — pytał reporter, — skoro nie macie kart?

— A... proszę pana... to jest już nasza rzecz! — zauważył Włodzimierz i oddalił się nieco, by poprawić juki na swoim koniu.

Rouletabille, zostawszy z Candeuem, rzekł do niego :

— Nie wstydzisz się grać w karty, Candeur, i w dodatku jeszcze szachrować... powiedz!

— Rouletabille! — odparł Candeur, — nie pogardzaj mną! Karciarstwo, to ostatnia namiętność, z trzech moich namiętności, jakim ongiś podlegałem...

- Wymień te dwie, Candeur.
- Wino i kobiety... — odparł ponuro.
- Co?... Nie pijesz przecież, a kobiet, o ile wiem, nie cierpisz nawet...
- Dawniej, piłem z rozpaczy!..
- Rozumiem! Kochałeś bez wzajemności...
- Ale, gdzie tam. Miałem zawsze, tak zwane szczęście, do kobiet. Wystarczyło pokazać się tylko i sprawa była załatwiona.
- Wobec tego... nie pojmuje...
- Miałem za dużo powodzenia u kobiet i w tem całe nieszczęście!... — jęknął Candeur. Nietylko miałem kobiety, które pożądałem, ale dostałem kobietę, która mnie pożądała, a której ja nie chciałem widzieć na oczy.
- Ba... Czasem tak bywa...
- Nie była wcale brzydka. Nieszczęście chciało tylko, że była mała... rozumiesz, małeńka... rzadko się zdarza spotkać taką małeńką kobietę. Mogłaby się pokazywać w cyrku, ale nie wypadało, gdyż była hrabiną.
- Ładnie się prowadziłeś... — zauważył reporter.
- Słuchaj, Rouletabille... Opowiadam ci rzeczy z mego życia, których nikt nie zna, ale proszę cię o sekret, gdyż z tą hrabiną przytrafiła mi się naprawdę straszna historia...
- Cóż to takiego, na miły Bóg?!

— Ożeniłem się z nią!... — jęknął Candeur,  
— Doprawdy? Brawo! Będę cię odtąd nazywał hrabią!

— Nie czyn tego! Błagam! Nie czyn tego, jeśli ci zależy coś na mojem życiu.

— Zaciekawiasz mnie, Candeur. \*Opowiedz mi, w jaki sposób, ty, olbrzym, mogłeś ożenić się z małą kobietą, mogącą występować w cyrku, w dodatku z osobą, której nie mogłeś cierpieć. Czy ci szło może o pieniądze?

— Ależ, nie! Słuchaj. Wsiadłem raz do wagonu. Jechałem przez czas jakiś, nie wiedząc, czy jest tam jeszcze ktoś, prócz mnie. Tego maleństwa, tej hrabiny, nie zauważyłem nawet. Zasnąłem sobie w najlepsze... Nagle, budzi mnie wrzask nieludzki. Zrywam się. Przedemną jakąś maleńka osóbką, w podartych sukniach, Wrzeszczy, rzuca się, woła konduktora i oświadcza mu, że chciałem nadużyć jej niewinności, że chciałem ją zgwałcić... Przysięgam... Nikt mi nie wierzy...

— Biedaku!..

— Nie powiedziałem ci jeszcze, że działo się to w Anglii...

— Aj!... Teraz rozumiem!

— Nie długo trwała cała rzecz. Spisano protokół, który mnie tak obciążał, że musiałem ożenić się, aby nie pójść do więzienia.

— Ostrzegano mnie zawsze przed podróżami

koleją, po tamtej stronie kanału. Ale cóż ty robiłeś w Anglii?

— Zrobiłem poprostu wycieczkę, krótką wycieczkę, ale miałem taki pech, że kilka godzin wystarczyło, bym wpadł w nieszczęście.

— No, nie przesadzaj. Nie jest to znowu takie nieszczęście, ożenić się z hrabiną.

— Była nawet bogata...

— Tembardziej!

— Ale wszystko na nic... Była za mała! Poprostu, za mała.. Podczas ślubu, w kościele (była bowiem katoliczką), nie mogłem jej prowadzić pod rękę, ale musiałem trzymać za rękę, jak małe dziecko... Śmiano się w głos... ach, co ja przeszedłem! Ludzie biegli za nami, po ulicach, po sklepach, gdzie tylko się z nią pokazałem. A była przytem okropnie zazdrosna i nie opuszczała mnie ani na chwilę. Ile razy brałem kapelusz i laskę, mówiła zaraz: „wyjdę z tobą, „myłowe“. No, i szła, włóczyła się ze mną. Doszło do tego, że nie chciałem wychodzić wcale. Ale zmuszała mnie!...

— Jakże, taka karliczka, mogła zmusić do czegoś, takiego olbrzymia, jak ty?

— Biła mnie!...

— To niesłychane! Ha, ha, ha...

— Śmieję się, śmieję... Dawno już nie widziałem cię śmiejącym się. Ciesz się mnie to, ale ja nie śmiałem się, wierzaj mi!

Candeur miał rzeczywiście łzy w oczach.

— Więc biła cię?... — pytał rozbawiony Rouletabille.

— Biła, jak w bęben!

— A ty nie oddawałeś jej kiedy?

— Nie mogłem. Byłbym ją zabił jednym, jedynym policzkiem, i zostałbym napewno powieszony...

— Ale to pewnie nie bolało... prawda?

— Gdzież-tam! Szczypała mnie, że krzychałem w niebogłoso; szarpała mnie za włosy..

— Więc chyba musiałeś klękać?

— Nie... Ona wyskakiwała na stoły, na szafy, wszędzie. Bywało, wchodzę, ostrożnie uchylając drzwi, i widzę, że niema w pokoju mojej żony... Nagle... bęc!... dostaję w twarz, albo znowu czuję, że demon wisi u moich włosów. Czekwała na mnie, ukryta za drzwiami, stojąc na krześle, albo konsoli... Zrozumiesz, że takie życie było niemożliwością..

— Przyznaję!

— Przytem, zdradzała mnie!..

— Coraz, to lepiej..

— Zdradzała mnie z innym olbrzymem, z trębaczem, z oddziału hajlenderów, z którym do spółki zmarnotrawiła cały majątek. Oczywiście, znie-nawidziłem ją, jak zresztą i wszystkie inne kobiety...

— Czemuż nie chwyciłeś ją na uczynku i nie podałeś o rozwód?

— Myślisz, że to łatwo?

— Przecież ów hajlender był olbrzymem, więc zwracał uwagę, nie trudno go było przeto śledzić.

— Oczywiście! Zdarzało się z dziesięć razy, że przychwycił trębacza, ale cóż z tego... był zawsze sam... O, wściec się było można! Bywało, podchwytyję rozmowę, dowiaduję się o schadzce... wybornie, biorę komisarza, idziemy. Otaczam dom, zatykam wszystkie szczeliny, każę pilnować nawet dachu, komina, piwnic. Wchodzimy i zastajemy hajlendera w pobieżnym kostyumie. Skarży się na gorąco... Szukamy za nią, przewracamy wszystko... daremnie... nigdy nie było można jej znaleźć... Hrabina zniknęła, przemykała pomiędzy nasze nogi, jak mysz, czy przelatywała nam ponad głowy, jak wróbel... Wracam do domu, a ona siedzi przy herbacie i sendwiczach i wita mnie: „*How do you do, mylove?*“ (jak się masz, mój drogi?). Powiadam ci, że mało nie zwaryowałem!

— Prawda... prawda! — przytakiwał Rouletabile, — a jakże to długo trwało?

— Całe dwa lata... pomyśl tylko... Dwa lata! Dziwię się, że nie umarł.

— A jakże się skończyło?

— Zrezygnowałem z pomysłu przychwycenia jej z trębaczem, zrezygnowałem ze świata i zamknąwszy się w gabinecie, czytałem ciągle „Trzech muszkieterów“. To była moja jedyna pociecha. Stam-

tąd dowiedziałem się, że Atos, mając awanturę miłosną, zaczął szukać pociechy w winie. Uczyniłem, jak Atos. Piłem tak, że przez cały dzień byłem pijany. I to mnie ocaliło!

— Jakże to?

— Całkiem prosto. Pewnego dnia tak się spałem, że nie dostrzegłszy jej wcale, usiadłem na niej.

— Biedaczka!

— Masz rację, — powiedział Candeur, z miną skruszoną. Na drugi dzień, gdym się zbudził, zostały z mojej żony tylko resztki. Uczyniłem, co było w mojej mocy, by ją przywrócić do życia. Ale wszystko spełzło na niczem. Wobec tego przepawiłem się jak najprędzej na drugą stronę kanału, by ująć przed sprawiedliwą karą ustaw angielskich. Stanąwszy w Paryżu, przysiągłem, że nigdy nie pokaże się w Anglii!...

— I nie miałeś żadnych dochodzeń, żadnych przykrości?

— Nie. Żona moja, od śmierci swej, dała mi nareszcie pokój. Oczywiście, musiano mnie tam szukać, prawdopodobnie zostałem skazany na powieszenie. Ale nie wiem o niczem i nie chcę wiedzieć. Zmieniłem nazwisko; mąż pani hrabiny umarł...

— Więc jakże się nazywasz naprawdę?



— Cóż ci z nazwiska biedaka, którego może skazano na śmierć?

— To prawda Przykro mi, żem cię wyciągnął na tę smutną opowieść...

— Ty jeden ją znasz! — powiedział i dodał po ciężkiem westchnieniu: Oto masz kobiety! Strzeż się;

Rouletabile udał, że nie słyszy...

— Musisz być zmęczony! — powiedział — Wsiądź na mego konia, ja sobie trochę rozprostuję nogi.

— Z przyjemnością! — zgodził się Candeur.

Wsiadł na konia w ten sposób, że z ziemi przełożył jedną nogę przez siodło. Koń przysiadł w jednej chwili na kolana.

— Widzisz, jak się ugiął koń? — spytał reporter. Cóż się więc musiało stać z hrabiną? Łatwo sobie wyobrazić. Takby trzeba zgnieść wszystkie baby...

Rouletabile przyspieszył kroku; bał się instynktownie dalszej rozmowy. Ale Candeur go dogonił.

— Nie spiesz się tak, — prosił, — mój koń ma i tak co dźwigać. Wybacz, ale muszę ci coś powiedzieć dla twego dobra, choćbyś się miał nawet gniewać. Mówię, jako przyjaciel... ...Powiadam ci, ta kobieta, to twoje nieszczęście!

Oczyrna wskazał Iwanę, jadącą o kilka kroków dalej.

Rouletabille zadrzał i znów przyspieszył kroku.

— Słuchaj, mówił Candeur, — Powiadam ci, że ona cię nie kocha... nie kochała cię nigdy i nie pokocha w przyszłości. Jeśli ktoś uczynił dla kobiety tyle, ile ty dla niej uczyniłeś, nie zasłużył chyba na taką nagrodę. Mój drogi, nie jestem głupi i mam oczy. Tę dziewczynę porywa drab, morderca; ty pędzisz na złamanie karku, wyzwłasz ją w sam dzień ślubu... Potem morderca ginie. Oczywiście, powinnaby się radować, powinna cię okryć pocałunkami, zasypać podziękowaniami. Dzięki tobie, nietylko ocalała sama, ale oddała wielką przysługę swej ojczyźnie. I cóż się dzieje. Zamiast wszystkiego, wygląda na umarłą na poły... Oczywiście, żałuje swego mordercy i nie może ci przebaczyć, żeś jej zepsuł noc poślubną.

Rouletabille milczał uparcie, ale słowa Candoura padały mu ołowiem na serce.

— Nie odpowiadasz?... Powiedz, czy pytałeś przynajmniej, dlaczego jest tak smutna?

— Nie! — odparł Rouletabille, nie śmiejąc nawet podnieść na Candoura oczu.

— Otóż, to właśnie. Nie pytałeś, a więc sam dobrze wiesz, że tak się rzecz ma, jak mówię. Wspomnij, jak ona pędziła za tym swoim drabem,

jak mdłała, kiedy mu groziła śmierć, omal się nie rozchorowała, kiedy padł nareszcie.

— Więc to zauważyłeś? — rzekł Rouletabille.

— Oczywiście, zauważył też Włodzimierz i jest tego samego, co i ja, zdania. Ty kark kręcisz dla dziewczyny, która sobie z ciebie drwi... Pomnij, ona nosi żałobę po mordercy swej rodziny... Pomyśl tylko sam!

Głupstwa gadasz! — przerwał mu szorstko reporter. — Gdyby tak było, to pocóż uciekała ze mną z haremu. Mogła przecież pozostać z tym swoim, jak mówisz, drabem.

— Mój Boże! — zauważył Candeur. — W każdym stadle trafiają się sprzeczki i nieporozumienia. Pamiętasz, jak cię odesłała z kwitkiem, gdyś dostał się do jej więzy... naturalnie, chciała zostać. Na drugi dzień posprzeczali się, więc uciekła. W każdym razie, mieli czas pogodzić się znowu, w czasie, kiedy ten drapichrust był naszym więźniem. O, mieli na to dość czasu, byli ciągle razem.

— Kłamiesz! — krzyknął reporter.

— Kłamię? Spytaj Włodzimierza, czy ja kłamię! Spytaj Tondora! Tosamo powiedzieliby ci, biedny Modest i Katerdżibasza, gdyby żyli. Wszyscy o tem tylko gadali w „Hotelu przejezdnych“.

— Kłamiesz, kłamiesz! — wołał z wściekłością Rouletabille, a łkanie wstrząsało jego pierściami. — Milcz! Nie chcę słuchać ani ciebie, ani

Włodzimierza, ani nikogo! Oddaj mi zaraz mego konia, rozdusisz go jeszcze!

Nie czekał, aż Candeur zsiędzie, ale pchnął go kułakiem w bok, wskoczył na siodło, dał koniowi ostrogi i popędził przed siebie, byle jaknajdalej być od Iwany, jaknajdalej od wszystkich.

Słowa Candoura dotknęły go tem boleśniej, że były jeno echem własnych jego myśli, któremi się gryzł od dawna.

Gdyby jeszcze Candeur wiedział, że Iwana uwolniła Gawłowa i zabiła Katerdżibaszę, byłby chyba musiał nim pogardzać, bo, zachować uczucie dla kobiety, zdolnej uczynić takie rzeczy, mógł chyba tylko człowiek podły.

---

## VI.

### Pod Kirkilissą.

Rozpacz Iwany wzrastała z każdą chwilą i osiągnęła, zda się, swój punkt szczytowy, w dniu, kiedy cztery kolumny trzeciej armii bułgarskiej, stanęły frontem na przestrzeni Kirkilissy-Demirkapu-Schiolu i zaatakowały wojska otomańskie z zapadnięciem nocy.

Podróżnicy nasi znajdowali się na skrajnem lewem skrzydle i mieli sposobność widzieć dnia tego kilka mniejszych utarczek. Posuwali się wraz z armią, tak, że wieczorem znaleźli się pod skałami Demirkapu. Te skały i wogóle górzystość terenu, sprzyjały bardzo Turkom, tak, że wieczorem nie mógł być jeszcze przez Bułgarów osiągnięty żaden sukces decydujący.

Noc właśnie zapadła. Ukryte za skałami, wymieniały strony wojujące strzały. Grzmiały armaty, grzechotały salwy karabinowe.

Natrafivszy na jakiś wąwóz, Rouletabille dostał się bezpiecznie z towarzyszami w pobliże miejscowości Akmadża, gdzie generał wyznaczył mu spotkanie, celem wysłania korespondencji. Ale

Akmadża znajdowała się jeszcze w tureckiem rękę i szło o to, by stamtąd wyprzeć nieprzyjaciela. Sztab bułgarski postanowił atak nocny, który miał uprzędzić atak turecki, a który mógł, w razie powodzenia, posunąć front, aż pod same forty Kirkilissy. Dwu batalionom piątej dywizyi, polecono rozpocząć ten atak ze skalistej Kara Kaja, na prawo, od Akmadży. Udało im się to nadspodziewanie łatwo, a wówczas rzucono do ataku czwartą kolumnę. Reporterzy właśnie kończyli posiłek, wypróżnili kilka puszek konserw, ofiarowanych im przez Sawowa, gdy tuż, obok nich, przebiegły, idące w bój, bataliony pierwszej brygady, piątej dywizyi.

Iwana zerwała się biedz razem z żołnierzami. Popołudniu już uzbroiła się w karabin, wyjęty z rąk zmarłego, przepasała się ładownicą i oświadczyła, że przy pierwszej sposobności, weźmie udział w walce. Rouletabille zwrócił jej uwagę, że, jako siostra Czerwonego Krzyża, walczyć nie może. Usłyszawszy to, odrzuciła odznaki samarytańskie. Dotąd, chociaż nie kryła się przed kulami tureckimi, nie walczyła jeszcze bezpośrednio. Rouletabille zrozumiał, że powstrzymać się nie da.

Wybiegła bez słowa na siekący gwałtownie deszcz. Rouletabille wstał także, Candeur położył mu rękę na ramieniu.

— Co chcesz czynić? — spytał.

— Nie dozwolić, by ta szalona dziewczyna poniosła śmierć! — odparł.

— Ostrzegam cię, że zginiesz sam. Zginiesz napewno! — nalegał Candeur.

— Może i zginę! — odrzyknął.

— To twoja rzecz, — powiedział Candeur ponuro, — ale wiedz, że będziesz sprawcą także i mojej śmierci. Ja idę także!

— I ja także! — powiedział Włodzimierz. — Nie opuszczę Candoura.

— Candeur i Włodzimierz! — rozkazał Rouletabile. — Zostaniecie mi tutaj, aż do końca bitwy. Potem udacie się do biura pocztowego w Akmadży. Ja tam będę czekał!

— Nie będziesz czekał!...

— W każdym razie masz tekę. Oddasz ją generałowi i powiesz, że było moją ostatnią prośbą, by wysłał artykuły w drodze zupełnie pewnej do Paryża. Tak chcę! Rozumiecie?!... Aha! Poprosisz jeszcze generała, by ci pozwolił wysłać krótką depeszę o bitwie, do „Epoki“. Powiesz mu, że tę drobnostkę winien dla mnie uczynić sztab bułgarski.

— Rouletabile! — jęknął Candeur. — Widzę dobrze, o co ci idzie! Ty chcesz zginąć!

— Oszalałeś!... Nie mam najmniejszej ochoty umierać. Zostańcie! Przysięgam wam, że będę

ostrożny. Do widzenia Candeur, do widzenia Włodzimierz!

Zdaleka pożegnał ich skinieniem, nie podając ręki. Bał się wzruszenia, bo chwila była rzeczywiście groźna. Wybiegł śladem Iwany.

— Przekłęta baba! — warknął Candeur. — Nie pozwoli nawet zjeść człowiekowi! Ale go wzięła! Życzę jej, aby padła od pierwszej kuli.

— Zobaczysz, że wyjdzie cało, dyablica, a kopyta wyciągnie Rouletabille. Tak bywa zawsze!

— Stul gębę, idyoto! — wrzasnął Candeur — Skończ jeść i chodźmy. Nie możemy go przecież zostawić samego.

Gdy się znaleźli na dworze, ujrzeli zaraz Rouletabilla i Iwanę, stojących za skałą; oświetlały ich raz poraz strzały armatnie. Nie mogli iść dalej, wstrzymani naporem szeregów.

Iwana określiła głowę welonem, który powiewał w wiatrem, jak sztandar.

Nagle rozległ się krzyk Rouletabilla.

Przybiegli do niego.

— Czyś ranny? — spytał Candeur.

— Nie... Ale Iwana... gdzieś znikła.

Zaczął wołać, ale głos jego utonął w grzechocie karabinów maszynowych.

Iwana dała nagle nura w tę falę ludzką, płynącą ku śmierci i fala ta poniosła ją z sobą, gdzieś



daleko, aż na sam front bojowy, skąd dobiegały wrzaski:

— Na noże, na noże!

Turcy bronili się zażarcie.

Z natury niedostępne skały obwarowali jeszcze, otoczyli przejścia siecią drutów, otoczyli wilczymi dołami. Z tyłu artyleria turecka odpowiadała dzielnie bułgarskiej. Wszystko skąpane było w jakimś piekielnym świetle. Zgiełk i tumult szatański ogłuszał. Kotłowało w dali, jakby orkan się rozszalał straszny. Z góry sypały się kule pekających szrapneli, oderwane strzałami kawałki skał, latały w powietrzu, raniąc tylne szeregi. Ale nic oprzeć się nie mogło pracy naprzód ludzkiej fali.

Rouletabille nie wiedział, w jaki sposób znalazł się nagle tuż, obok Iwany, w samym zgiełku bitwy. Iwana miała bagnet na lufie karabinu.

Jak się stało, że oboje byli nietknięci wśród tego deszczu ołowiu i żelaza?..

Koncentryczny ogień turecki siał zniszczenie. Pociski padały w sam środek kolumn atakujących. Nagle, tuż, obok nich, padł oficer, granat rozszarpał go w kawałki, a członki zabitego rozleciały się na wszystkie strony, obryzgując ich krwią. Podbiegł zastępca i padł za kilka sekund. Turcy byli wstrzelani znakomicie.

Ale fala szła dalej.

— Naprzód! Marsz! Do ataku! — brzmiała komenda.

Iwana szalała:

— Na noże, na noże! — krzyk nieludzki wyrwał się z jej piersi.

Atakujący, nie bacząc już na porządek, parli przed siebie. Szli, deptając po trupach, nie zważając na ginących towarzyszków.

Nieprzyjaciel nie wytrzymał. Rozpoczęła się ucieczka. Łamały się zastępy obrońców, rzuciły się w tył całe oddziały, pozostawiając wszystko zwycięzcom, rannych, zabitych, amunicję, armaty i zapasy.

Niepodobieństwem było zresztą sprościć temu zalewowi, który szedł w dół, z wyżyn Istrandža Dagu.

Rouletabille nie spuszczał z oczu Iwany.

Nagle spostrzegł, że pada. Podbiegł, otoczył ją ramieniem. Oblana była krwią, nie wiadomo jednak, czy to była krew z jej rany, czy krew tych, których kłuła swym strasznym bagnetem.

Mówił do niej. Nie odpowiadała.

Wrywała się, chciała, by ją puścił.

— Chcesz więc zginąć?... — spytał rozpaczenie.

— Tak... tak!... Puść mnie! — krzyknęła.

Wydarła mu się z rąk i rzuciła się nanowo w zamęt bitwy, a Rouletabille odwrócił głowę, by

już nie patrzeć na tę furię i na tę rozpacz dziką, dziewczyny.

Tej nocy wziętą została Akmadża i Karakai. Gdy zwycięskie wojska legły na krótki spoczynek, oczekując dnia, Rouletabille miał wiele trudu, zanim zdołał powstrzymać Iwanę, by nie szła przez linię frontu tam, gdzie czuwały placówki nieprzyjacielskie.

Chciała dalej walczyć, szukać śmierci, która przed nią uciekała.

Ranna była w prawe ramię i utraciła dużo krwi. Broniła się przed opatrunkiem i trzeba było przemocą nałożyć jej opaskę. Nakoniec wyczerpana, padła w rów strzelecki i zasnęła.

Rouletabille czuwał nad nią, aż do świtu.

---

## VII.

### Wzięcie Kirkilissy.

Po dokonaniem zwycięstwa, Bułgarzy zatrzymali się, w przeświadczeniu, że osiągnęli bardzo wiele. Zresztą, spodziewano się kontrataku tureckiego, do odparcia którego, należało się przygotować.

Nie wiedzieli zwycięzcy sami, jaka panika zawładnęła armią nieprzyjacielską.

Rouletabille widząc, gdy się rozwidniło, że lwana ciągle śpi głęboko, udał się do pobliskiej Akmadży, gdzie się umówił z Candeuem i Włodzimierzem. Znalazł ich tam pod biurą pocztowym, ale niestety, w opłakanym stanie. Byli zupełnie podobni do tegoż biura, wpółrozwalonego, które nie nadawało się zgoła do wysyłania czegokolwiek. Candeur bił się potężnymi pięściami w piersi, jak penitent przy spowiedzi. Wyglądał, jak widmo, jak cień. Oskarżał się, że winien jest śmierci Rouletabilla, a Włodzimierz nie mógł go w żaden sposób pocieszyć. Zgubili go w nocy podczas bitwy i szukali, aż do rana, pomiędzy trupami.

— Ach, czemuż go odstąpiłem? — jęczał. —  
 Czemuż go nie broniłem? Czemuż nie zasłoniłem  
 go własnymi piersiami? Włodzimierzu, ty nie wiesz,  
 ile ja mu zawdzięczam! Pomagał mi zawsze! Ta-  
 kiego przyjaciela niema drugiego na świecie!

— Nie płacz, jestem! — krzyknął Roule-  
 tabille.

Padli sobie w objęcia. Radość dławiała Can-  
 deura. Nagle, wyprostował się i krzyknął:

— Nieszczęsny! Oto twoja klątwa, która cię  
 ściga!...

Rouletabille obejrzał się i spostrzegł Iwanę.

— Nie kochasz mnie Candeur, jak widzę! —  
 powiedział z wyrzutem.

Candeur zadrżał.

— Już dobrze... już dobrze! — mrucał. —  
 Widzę, że chcąc kochać ciebie, trzeba kochać także  
 i ją... ha, trudno, spróbuję!...

— Czuwaj tedy nad nią, jakgdybyś nademną  
 czuwał...

— Dobrze... będę czuwał! — westchnął Can-  
 deur.

— Mogę na ciebie liczyć?

— Naturalnie! Zapewnienia zbyteczne.

— Zbliżyła się Iwana. Była blada, jak upiór,  
 a oczy jej błyszczały gorączkowo. Welon na gło-  
 wie był potargany, krew przeciekła przez opatru-  
 nek i czerwieniła się na ramieniu. Iwana miała na

sobie fałdziste spodnie bułgarskie, przepasane ładownicą. Była straszna i piękna jednocześnie.

Rouletabille chciał spytać, jak się czuje, ale Iwana powiedziała, uprzedzając pytanie:

— Wojsko otrzymało rozkaz marszu. Przednie straże posuwają się już. Czy pan idzie zenną?

I odeszła.

— Znowu się zaczyna! — jęknął Candeur.

Rouletabille spojrział nań smutnie.

— Dobrze... już dobrze... idę — zapewniał Candeur z pośpiechem i ruszył ku Iwanie. Miał ciągle pod pachą tekę i dziwnie wyglądał teraz, na polu bitwy, w długim surducie, jedynym, jaki mu pozostał i jasnej krawatce. Wydawało się, że to notaryusz, zbierający testamenty konających.

Udali się w kierunku Raklicy, pierwszego większego fortu, broniącego Kirkilissy, od strony północno-zachodniej i wnet znaleźli się na linii straży przednich, które posuwały się ostrożnie, pewne, że lada chwila forty otworzą ogień na Kara-Koi i Kara-Kaję.

Ale Raklica nie dała ani jednego strzału.

Stała się rzecz dziwna. Oto, dziennikarze, wraz z Iwaną, pierwsi weszli do fortu. Znaleźli tam zaraz u wstępu, cztery działa wielkiego kalibru. Ale działa milczały, gdyż obsługa ich uciekła wraz z piechotą.

Dziennikarzom przypadło tedy w udziale zawiadomić komendantów, że mogą iść bez przeszkody. Oficerowie nie chcieli wierzyć, ale niebawem przekonali się naocznie.

Odtąd, w miarę zbliżania się do Kirkilissy, coraz bardziej rzucały się w oczy oznaki nieopisanej paniki, jaka ogarnęła nieprzyjacielską armię.

Pod fortem znaleziono przeszło pięćset armat bez koni, z wiszącymi u orczyków rzemieniami, mnóstwo skrzyń z amunicją, całe góry prowiantów, stopy pocisków armatnich, żółtych, eksplodujących po uderzeniu i czerwonych, szrapnelowych, wybuchających w powietrzu, które wydawały się kwiatami, wyrosłymi na tej glebie, uprawionej krwią.

Na drogach leżały karabiny, pistolety, paki, tornistry, w ogromnej liczbie, a cały ten materiał, nietknięty, wpadł w ręce zwycięzców.

Żołnierze wydawali radosne okrzyki. Podobnie, jak do fortu, dziennikarze weszli też pierwsi do miasta. Właściwie, objęła je w posiadanie Iwana, nie napotkawszy żadnego oporu, gdyż miasto było puste. Mijali szańce, reduty... nigdzie ni żywego człowieka... Reszta mieszkańców, jacy pozostali, udała się inną drogą, naprzeciw armii, z zawiadomieniem, że miasto opuszczone, oraz koszami kwiatów, dla zwyciężkich żołnierzy.

Dziennikarze udali się pustymi ulicami do

pałacu gubernatora. Chodzili po komnatach, po podworcach, znajdując wszędzie ślady pospiesznej ucieczki.

Dostali się wreszcie do wielkiego, pięknie urządzonego gabinetu, który mógł być gabinetem samego szefa armii tureckiej. Wszystko stało na miejscu. Gdy Rouletabille oglądnął się w koło, usłyszał w sąsiednim pokoju dźwięk srebra.

Pobiegł tam i znalazł Włodzimierza, napełniającego sobie kieszenie łyżkami i widelcami.

Zwymyślał go srodze.

— Więc nie wolno sobie wziąć nawet pamiętki? — żalił się Włodzimierz.

— Czy będziesz widelec nosił, jako pamiętkową szpilkę w krawatce? — powiedział mu.

Zabrał go do gabinetu, nie chcąc zostawić w niebezpiecznym sąsiedztwie z srebrem.

Gdy tylko wszedł do gabinetu, Włodzimierz zaraz rzucił się na leżące na biurku pieczątki i papier.

— Czy to także na pamiętkę? — spytał go reporter.

— Nie, to na coś innego! — powiedział dumnie Włodzimierz. — Może się panu niebawem spodoba spacerować pośród szeregów armii tureckiej, a wówczas przyda się bardzo papier i pieczęć tegoż sztabu.



Na to zgodził się Rouletabille bez wahania, a nawet musiał uznać spryt Włodzimierza.

Żołnierze dowiedzieli się z ust dziennikarzy, że miasto puste. Oba wielkie forty, Reklica i Skope, połączone z sobą podziemnymi chodnikami, mogące stawić czoło tygodniami całymi, zaopatrzone we wszystko, uważane nawet przez pierwszorzędnych znawców niemieckich, za znakomite, wpadły bez strzału w ręce Bułgarów. Nieprzyjaciel opuścił wszystko i cofał się tak szybko, że trudno go było dopędzić. Stracono kontakt. Generałowie złożyli radę i postanowiono zatrzymać się tutaj aż do czasu, kiedy rozesłane patrole kawaleryi nie dadzą dokładnych wieści, gdzie znajdują się nieprzyjaciele.

Kirkilissa została obsadzoną, ale uniknęła splądrowania. Żołnierze przedewszystkiem żądni byli snu, do czego mieli prawo po pięciodniowym marszu, w uciążliwym, górskim terenie, oraz po bitwie, trwającej, bez mała, dwa dni.

Dziennikarze nasi zaś, pożądali nietyle łóżek, co dobrego śniadania.

---

## VIII.

### Candeur popija.

Mijali właśnie jakąś oberżę, pustą do niedawna, teraz pełną gości, których jednak zatrzymał oddział prowiantowy, odbierający zapasy za spisem i rozdzielający wiktuały.

Już mieli wejść w podwórze, ale Iwana nie chciała być w tej ciżbie, więc Rouletabille poszedł z nią, krzyknawszy tylko, że niebawem wróci.

Włodzimierz wpadł w wyśmienity humor. Zamęt był jego żywiołem, niebawem też miał pod pachą ogromną szynkę i spory salceson, a w drugiej ręce niósł bochen chleba. Szukał po podwórzu Candoura, z którym się tu miał spotkać.

Zaczął się już niecierpliwić, gdy nagle ukazała się głowa olbrzyma w oknie wielkiego, starego dylizansu, stojącego pod daszkiem, umyślnie dłoń, widać, zbudowanym.

— Cóż ty tam robisz?

— Czeka! Właż... Czekamy na ciebie...

— Jakto czekacie? — zdziwił się.

— Mamy gościa... tutaj spokojnie, będzie nawet można popić.

— Cóż to za gość?

— Zobaczysz sam, chodź już raz!

Zaintrygowany Włodzimierz, wsadził głowę w okno.

Jakiś człowiek ustawiał na ławkach dylizansu talerze, kładł noże i widelce, słowem, sposobił wszystko do uczy. W kącie widniało nawet kilka butelek.

Naraz człowiek obrócił się.

— Pan Priski! — krzyknął Włodzimierz, a chleb wypadł mu z ręki, na widok tego kata ich wszystkich, z czasu pobytu w Karakule, czyli Czarnym Zamku, kiedy to dał im się tak okrutnie we znaki.

— Więc pan nie zginąłeś? — spytał wreszcie, podniósłszy chleb. — Przecież Candeur zabił pana! — dodał rozczarowany.

— Byłem pewny! — potwierdził Candeur.

— I ja także! — dodał pan Priski. — No, ale pan Candeur poprzestał na zabiciu mego jednego ucha. Coprawda, zobaczyłem wtedy, jak to mówią, sto tysięcy świeczek.

Majordomus z Karakule, miał głowę obandażowaną, ale nie pozbawiło go to wcale dobrego humoru.

— Miałem szczęście i panowie także, nie każdemu było danem wydobyć się z Czarnego Zamku! — gadał pan Priski z uśmiechem.

— Pan nie ponosi żadnej winy, Panie Priski, że się tak stało! — powiedział złośliwie Włodzimierz.

— Dosyć tego! — rozkazał Candeur. — Co było, to było! Teraz pan Priski jest naszym przyjacielem. Prawda, Priski?

— O, na śmierć i życie! — wykrzyknął Priski. — Nic nas już nie rozłączy.

— A w dowód przyjaźni, ofiaruje nam pan Priski, tę oto, pieczoną kurę!

— Cudownie! — krzyknął Włodzimierz, spoglądając łakomie na śliczną kurę tuczoną, którą Candeur ukazał na stole.

— Jest ją też czem pokropić! — powiedział Candeur. — Popatrz tam, przyjacielu. Widzisz te trzy butelki burgundu? To jest burgund, jak się patrzy, zdobyczny!

— Panie Priski! — zawołał Włodzimierz, — daj pan pyska!

I rzucił mu się na szyję, wołając:

— Przez całe życie piłem tylko burgunda krymskiego! Gdzieś pan to znalazł?

— Przedewszystkiem siadajmy do jedzenia! — powiedział Candeur, patrząc rozbłyśniętymi oczyma na wiktuały. — Zaczynamy od szynki... prawda?

— Nie, naprzód salceson!

— Na końcu przyjdzie kura!

— Napijmy się przedtem! Należy otworzyć

butelkę, ale tylko jedną... pomału, pomału... — doradzał Włodzimierz.

— Lepiej wszystkie trzy naraz! Każdy będzie miał swoją! — zauważył Priski.

— Jakto? — zdziwił się Włodzimierz. — A, Rouletabille, trzeba schować coś dla niego.

— Rouletabillowi nie chce się pić, — oświadczył Candeur, — ludzie zakochani nie jedzą, ani nie piją. Panowie, strzeżcie się miłości, radzę wam, poczem piję za waszą pomyślność.

Wypili i zamilkli, tonąc w rozkoszy.

— A co? — spytał Priski.

— Oświadczam, — zawyrokował Candeur, — że wojna zaczyna mi przypadać do gustu!

— Jak to dobrze, żeś nie zabił Priskiego! — rzekł poważnie Włodzimierz.

— Nigdybym tego nie odżałował! — odparł Candeur, dokończywszy szklanki.

— Ale powiedcież mi nareszcie, skądęście wzięli to wino? — pytał ciekawie Włodzimierz.

— Ano, łąziłem tu i ówdzie, — zaczął Candeur, — szukałem jakiejś piwniczki, gdy nagle słyszę głos, jakby z pod ziemi:

— Szkoda fatygi, panie Candeur, już mam to, czego pan poszukuje.

Zrazu cofnąłem się wstecz, myślałem, że spotkał ducha. Ale to był zacny Priski, żywy i cały. Podawał mi butelki przez okienko piwni-

czne, ostrzegając, abym nie zmaćił wina. Potem wylał i przyniósł kurę. Poprzyjaźniliśmy się rzeczywiście zaraz. Wytłumaczyłem mu potem, jak się to stało, że moja strzelba sama wypaliła wówczas w bastyonie, gdzie byliśmy oblegani i jak tego żałowałem.

— O, — zawołał Włodzimierz, — jakie to szczęście, że Candeur źle trafił.

— Oczywiście, wcale nie chciałem trafić! Czysty przypadek! — gadał Candeur pełnemi ustami, łykając szybko salceson, aby się nie spóźnić do szynki.

— Ale gdzież-to właściwie jesteśmy? — dodał Włodzimierz.

W hotelu „pod Wielkim Mogołem“. Jest to znana instytucya, gdzie także byłem swego czasu tłumaczem.

— Ach, teraz rozumiem! powiedział Włodzimierz. — Więc pan tutaj, jak w domu.

— Naturalnie! Spiżarnia i piwnice nie mają dla mnie tajemnic.

— Teraz, rozumiem! — mówił Włodzimierz.

— Nie wszystko jeszcze rozumiesz, mój drogi! — odezwał się Candeur. — Dowiedz się, że pan Priski nas szukał...

— Szukał nas? Jak to? Po co?...

— Przedewszystkiem poto, aby się dowiedzieć, jak się nam powodzi, powtóre zaś. poto, aby... —

tu pochylił się do ucha Włodzimierza, — aby... rozumiesz, idzie o to, by oswobodzić Rouletabilla od Iwany!...

— O, to rzecz poważna! — rzekł Włodzimierz.

— Naturalnie, że ważna! — potwierdził Candeur kończąc swoją butelkę, co mu dodawało wiele animuszu w rozmowie. Naturalnie, że ważną rzeczą jest ocalić człowieka, który się zabija.

— To prawda! — przytakiwał Włodzimierz. Od chwili spotkania z tą kobietą Rouletabille zmienił się zupełnie.

— Nie uśmiechnie się nigdy...

— Nic nie je...

— Nic nie pije... — zakończył Candeur, zapożyczając się z butelki Włodzimierza.

— Marnieje, ginie w oczach! — zaopiniował Włodzimierz. Ale to rzecz poważna, trzeba ją dobrze rozważyć... nie robić nic na oślep...

— Już wszystko rozważone! — zawyroko- wał Candeur. — Ja ocalę Rouletabilla!

— Ja także, ale wszystko zawisło od...

— Od czego?

— Mój Boże... — zawachał się nieco Włodzimierz — oczywiście od... od ceny, jaką pan Priski naznaczy.

— Co? — skoczył Candeur. — Co ty pleciesz?

— Pan mnie rozumie, panie Priski — zwrócił się do Priskiego. — Jesteśmy tu w kraju obcym, bez grosza, wśród wojny...

— Gałganie jakiś! — krzyczał Candeur — kazesz sobie płacić za przysługę oddaną przyjacielowi?

— Idyoto! — odparł Włodzimierz. — Czyż bierzesz mnie za szubrawca? Za przysługę oddaną Rouletabillowi nie biorę i nie chcę brać ni grosza. Ale za przysługę uczynioną panu Priskiemu mogę żądać zapłaty. Mam powody służyć darmo Rouletabillowi, ale nie mam tych powodów odnośnie do pana Priskiego! Nie zapominaj, że pan Priski kazał nas rozstrzelać swego czasu!

— A, to prawda! — przyznał Candeur, nieco zachwiany. — Rzeczywiście niema sensu oddawać Priskiemu przysług darmo!

— Ciesz się mnie to! — Przyznał Włodzimierz. — No, panie Priski, cóż pan na to?

— Wydaje mi się, że już ofiarowałem panom kurę i trzy butelki wina...

— I uważasz pan, że to dosyć za przysługę tej miary? — zaprófestował Włodzimierz.

— Mój Boże! — powiedział pan Priski. — Idzie tutaj właściwie o drobną przysługę.. o podanie pannie Iwanie listu w ten sposób, by tego nie zobaczył pan Rouletabille. Nic więcej. Reszta



jest rzeczą panny Iwany... Widzicie więc panowie, że jestto rzecz zupełnie prosta i łatwa.

— Właśnie ta prostota i ta łatwość pociągnęły mnie od pierwszej chwili! — powiedział Candeur gryząc łeb kury i wysysając mózdzek.

— I sądzisz pan, że przeczytanie tego listu wystarczy by rozłączyć na zawsze pannę Wilczkow z Rouletabillem?

Jestem tego pewny! — zapewnił pan Priski.

— Pan Priski wyjaśnił mi — powiedział Candeur — że jest to list miłosny, który pewien wielki magnat turecki napisał do Iwany i który przysyła za pośrednictwem tego eunucha, nazwiskiem Kasbek, któregośmy widzieli w Karakule.

— Tak jest rzeczywiście! — potwierdził pan Priski. — Kasbek przybył z tym listem do Karakule w sam dzień ślubu panny Iwany z Kara Selimem, którego wy zwiecie Gawłowem. Sprawa wtedy spelzła na niczem, ślub się odbył, ale to małżeństwo nie stało się jeszcze faktem, panna młoda uciekła...

— Prawda... nic jeszcze nie stracone! — zauważył Candeur zapożyczając się z flaszki Priskiego.

— I cóż takiego u licha może ten magnat pisać pannie Iwanie, by sam list mógł ją skłonić do porzucenia wszystkiego i do puszczenia się

w daleką, niebezpieczną drogę? — dziwił się Włodzimierz.

— Tego już nie wiem! — powiedział pan Priski. To rzecz nie moja. Podobno ofiaruje jej rzeczy niesłychane. Kasbeck powiedział mi sam: Priski, oddaj jej list i nie troszcz się o nic więcej. Ona przybędzie niewątpliwie! Zróbcie, jak ja, i nie pytajcie, co nastąpi. Cóż ryzykujecie Właściwie? Zwróciłem się do was, gdyż jesteście blisko niej i także dlatego, że narzekacie na to, że przez nią cierpi wasz przyjaciel. Powiedziałem sobie: oto moi sprzymierzeńcy...

— Panie Priski! — zdecydował Włodzimierz — Dasz pan za to 2.000 lewów.

— Oto tysiąc, — rzekł Priski, wyciągając portfel i wyliczając pieniądze w ręce Candoura. — Drugi tysiąc wypłacę po oddaniu listu.

— Weź te pieniądze, — rzekł Candeur do Włodzimierza. — Pałą mi ręce!

— Masz rację! — potwierdził Włodzimierz — Tobie nie wypada... — i schował pieniądze do kieszeni.

— Oto list! — rzekł Priski, podając opieczętowaną kopertę.

— Daj pan to Candeurowi, — powiedział Włodzimierz. — Z nim stanął układ, zresztą ja jestem jego sługą.

Ale Candeur wymawiał się grzecznie:

— Pan zrozumie, panie Priski, że nie mogę nawet dotknąć tego listu, gdyż przysiągłem Rouletabillowi, że będę czuwał nad Iwaną. Nigdyby mi nie przebaczył, że mogłem list taki, mimo przysięgi, podać pannie Wilczkow.

— Gdyby się zaś dowiedział, że to ja zrobiłem, niewątpliwie zabiłby mnie na miejscu! — dodał Włodzimierz.

Osobiście jest obojętnem, który z panów odda ten list. Ponieważ jednak wzięliście pieniądze, przeto powinniście dotrzymać układu.

— Oczywiście. Jestem tego samego zdania! — potwierdził Candeur.

— Więc weź list! — rzekł Włodzimierz.

— Nie brałem pieniędzy, — odparł Candeur — nie widzę tedy powodu, bym miał brać list!

— A więc, jakież będzie koniec? — niecierpliwił się pan Priski. — Zdecydujecie się nareszcie?

— Już jestem zdecydowany! — oświadczył Włodzimierz. — Nie biore listu!

— Ani ja! — dodał Candeur.

— Więc zwróćcie mi moje tysiąc lewów! — krzyknął Priski.

— Czyś pan oszalał? — powiedział Włodzimierz. — Mamy panu zwracać tysiąc lewów? Ależ to teraz cały nasz majątek! Nie mamy ani grosza więcej... Idźże pan z takim gadaniem do licha!

— Ależ dałem je panu, pod warunkiem, że

pan odda list! — wołał Priski, zaczynając się już gniewać naprawdę.

— Przepraszam bardzo!... Tak nie było. Mówiło się tylko o *ułatwieniu w doręczeniu* listu...

— No, tak!

— A to rzecz zmienia zasadniczo!

— Ułatwić doręczenie, — wyjaśniał Włodzimierz, — to całkiem co innego, jak doręczyć. Gdybym był na miejscu pańskim, panie Priski, wie pan, co bym uczynił? Otóż doręczyłbym list sam, a wówczas byłbym pewny, że list dostał się w właściwe ręce.

— Doskonale, — powiedział Priski, — zgoda! Ale pan Rouletabille ciągle towarzyszy panie Iwanie! Jakże mam się zbliżyć, by mnie nie widział?

— Widzi pan, tu zaczyna się nasza rola! — odparł Włodzimierz. — I w ten sposób możemy uczciwie zarobić pieniądze. My odwrócimy uwagę Rouletabilla, a pan tymczasem sam doręczysz list...

— Zgoda! — powiedział Priski. — Nawet wolę sam doręczyć.

— Więc pozostaje tylko omówić szczegóły! — zakończył Włodzimierz.

— I Rouletabille będzie ocalony! — wykrzyknął Candeur, potrącając ze smutkiem puste butelki.

---

## IX.

### Jeszcze raz mowa o kufierku bizantyńskim.

Rouletabille znalazł dla siebie, lwany i towarzyszów, niewielki domek, przy drodze, prowadzącej na zachód, gdzie mogli spocząć, nie narażając się na natręctwo żołnierzy, zdala, od ruchów wojsk.

Rzecz dziwna, lwana przestała nagle interesować się wojną i wojskiem i to właśnie w chwili, kiedy miała sposobność pracy w szpitalach. przy opatrywaniu rannych, jako siostra Czerwonego Krzyża. Prócz tego, poleciła Rouletabillowi, by nie mówił generałowi Sawowowi, gdzie mieszka, na wypadek zaś, gdyby generał spytał, miał ją Rouletabille niezwłocznie zawiadomić, że podał jej adres.

— Wówczas zmieni pani mieszkanie? — spytał reporter.

— Tak! — odrzekła nerwowo, — zmienię mieszkanie! — i zaczęła biegać po niewielkim pokoiku, tak prędko, że Rouletabille był pewny, że straciła zmysły.

Nie odstępował jej tedy i pisał przy niej depesze, wysławszy Tondora na poszukiwanie Candoura

i Włodzimierza, którzy niebawem przybyli, w stanie nieco podnieconym.

Gdy noc zapadła, Rouletabille przechadzał się smutny i zachmurzony, przed domkiem. Iwana nie wyszła z pokoju przez cały dzień. Wymienił z nią, tylko kilka, nic nie znaczących słów, potem zaś, pisał korespondencye do swego dziennika. Ale nie było nadziei wysłania ich, gdyż generał otrzymał rozkaz z głównej komendy, aby nie przedostała się żadna wiadomość o ruchach armii, a nawet narazie żadna wiadomość o dotychczasowych zwycięstwach.

Chodził tedy bardzo ponury, gdy nagle zjawił się Candeur i rzekł, biorąc go poufale pod ramię.

— Chodź, pokażę ci coś ciekawego.

— Cóż takiego?

— Zobaczysz... to ciekawe.

— Nie chcę się stąd oddalać. Iwana przez cały dzień była tak dziwną, że boję się o nią. Jest poprostu chora, biedaczka.

— To blisko!

— Cóż mi takiego chcesz pokazać?

— Zobaczysz...

— Więc zawołaj Włodzimierza, by pilnował domu.

— Kiedy właśnie chcę ci pokazać Włodzimierza.

— Znam go, to nie ciekawe!

— Tak, ale nie wiesz, co robi...

— Cóż takiego?

— Rozmawia tutaj, niedaleko, z nieboszczykiem...

— Tyś pijany, Candeur!

— Nie jestem pijany. Jadłem śniadanie i piłem, ale jestem trzeźwy.

— Więc cóż to za historia?

— Historia z sobowtórem... chodź!

Pociągnął go parę kroków za sobą. Rouletabille uległ powoli i szedł z Candeuem.

— Wyobraź sobie. Włodzimierz rozmawia z panem Priskim, czyli z jego sobowtórem.

— Z marszałkiem Karakule?

— Z nim właśnie! Moja kula nie zabiła go widocznie i z tego jestem zadowolony, bo nie zawsze dobrze postępowaliśmy wobec tego zacnego Priskiego. Ale chodźże raz!

— Jakim sposobem może się tutaj znajdować Priski?

— Nie wiem. Musi nam to powiedzieć sam, — skierował, mówiąc to, Rouletabilla, w stronę przeciwną domowi, — przytem, — dodał, trzeba się dowiedzieć, o czym rozmawia z Włodzimierzem.

— Dobrze! Gdy skończy rozmowę, niech tu przyjdzie Włodzimierz i opowie, co usłyszał. Nie

pójdę ani kroku dalej. Sam jeden mogę tylko ją obronić, a tyle wojska wszędzie.

Usiadł nad rowem tak, że mógł widzieć jeszcze domek, słyszeć wołanie i w razie potrzeby przybieść natychmiast.

— Ciągłe więc jeszcze jesteś taki głupi... to jest chciałem powiedzieć: zakochany? — rzekł chrapliwym głosem Candeur, siadając obok niego w ten sposób, by mu zasłonić domek.

— Candeur! Cuchniesz winem i gadasz głupstwa! — odparł Rouletabille, odsuwając się od niego.

— To możliwe, — przyznał Candeur, — gdyż piłem trochę. Mieliśmy z Włodzimierzem doskonałe śniadanie w hotelu „pod Wielkim Mogołem“ i żał nam było bardzo, że ciebie niema. Ale, oto i Włodzimierz! Jest sam... Dobry wieczór, Włodzimierzu... właśnie, opowiadałem Rouletabillowi o twej rozmowie z sobowtórem Priskiego.

— Widziałeś nas? — spytał Włodzimierz. — To nie był sobowtór, ale Priski, we własnej osobie. Priski nie poległ, — Włodzimierz usiadł po drugiej stronie Rouletabilla, zasłaniając domek do reszty, — ale zdumiony byłem bardzo jego widokiem.

— Czegoż on tu szuka? — spytał Rouletabille. — Poco przybył?

— Słowo daję, nie mogłem wybadać! Mię-



dzy nami mówiąc, pytania, jakie mi zadawał, były bardzo dziwaczne.

— Więc zadawał pytania?

— Tak. Wypytywał szczegółowo o naszą obronę w bastyonie, o ucieczkę... Wszystko to wydało mi się podejrzane, więc byłem ostrożny. Widząc, że ze mnie nic nie wyciągnie, poszedł sobie.

Rouletabille wstał i spytał:

— Gdzie on jest? Muszę się z nim rozmówić, sam, natychmiast.

— Nie może być daleko, uszedł, conajwyżej, pięćdziesiąt kroków, tą oto ścieżką, popod drzewami.

— I Włodzimierz wskazał kierunek.

Rouletabille ruszył przed siebie.

Gdy zostali sami, Candeur powiedział drżącym głosem:

— Nie będzie nam mógł niczego zarzucić. Upredziliśmy go, że Priski płacze się koło Iwany.

— Doskonale! I sam sobie będzie musiał przypisać winę, jeśli Priski mu ją porwie, — odparł Włodzimierz.

— Czy sądzisz, że Priski już tam jest? — spytał Candeur, wzdychając.

— Zdaje się...

— Powinien się pospieszyć...

— O, tak, bo Rouletabille zaraz wróci, nie znalazłszy go.

— Czuję wyrzuty sumienia! — westchnął Candeur.

— Wyrzuty?

— Tak ledwie mogę wytrzymać. To, co robimy, jest, zdaje się, szkaradne!

— To dla jego dobra...

— Pierwszy raz w życiu oszukuję go. Wydaje mi się to zbrodnią!

— Nie dowie się nigdy...

— Tak, ale ma serce wrażliwe przy wielkim rozumie, boję się o niego...

— Lepiej, że ty go oszukasz jak ta Iwana, z którą się chce żenić.

— Mój Boże! Wraca... widzisz go? Nie odważę się spojrzeć mu w oczy.

Rouletabille wrócił.

— To dziwne! — powiedział. — Nigdzie ani śladu Priskiego! Wracajmy prędko do domu!

Nagle zwrócił się do Candoura i biorąc go za ramiona rzekł:

— Candeur, co to wszystko znaczy? Pamiętasz coś mi obiecał? Powiedziałeś, że będziesz nad nią czuwał jakby to szło o mnie samego. Przecież nie zechcesz mi sprawić przykrości? Prawda? Nie jesteś do tego zdolny! Wiem, że jej nie lubisz, ale mnie kochasz. Odpowiadaj!

— Nie... nie, tobie żadnej przykrości... bąkał Candeur.

— Dziwnie jakoś obaj wyglądacie, jakoś mi się to wszystko wydaje nienaturalne. Cóż to za historia z tym Priskim, który krąży tu koło Iwany? Czyż byłaby z tej strony jeszcze zagrożona? W takim razie mówcie prędko;

— Mój Boże! — zawołał Candeur. — Nie mogę patrzeć na twój stan. To prawda, Priski wygląda podejrzanie.

— Tak! Chciałbym wiedzieć gdzie znikł tak prędko. Odpowiedzcie mi obaj za to, żeście mi nie przyprowadzili Priskiego, jeśli się coś złego stanie Iwanie!

— Rouletabille! — zawołał drżąc cały Candeur. — Może nas ten Priski oszukał... Może udał tylko, że idzie ścieżką a poszedł prosto do domu?

— Jeśli tak jest — biada wam! — krzyknął Rouletabille i pobiegł ku domowi.

We wnętrzu świeciło się, tak że Włodzimierz i Candeur, którzy dla pewności nie weszli do środka, zobaczyli cień Rouletabilla, wrzucający się na drugi cień, którym był zapewne Priski.

— Oto twoja robota! — rzekł Włodzimierz.

— Priski jest łajdak! — odparł Candeur. — Nie żal mi, że go wydał w ręce Rouletabilla. Ciekawym tylko czy zdążył oddać list Iwanie.

— Wątpię! — powiedział Włodzimierz.

— Zobaczymy...

Weszli do wnętrza i zaraz się przekonali, że Priski nie zdążył oddać listu. Iwana właśnie ukazała się w progu swego pokoju, zaintrygowana hałasem.

Pan Priski podnosił się z ziemi, a Rouletabille stał nad nim z rewolwerem.

— Cóż to takiego? — spytała Iwana głosem znużonym, świadczącym, że zubożniała już na wszystko.

— Nie wiem. Ale może ten pan będzie umiał wyjaśnić co tu robi. Nie zna go pani prawie, jest to były marszałek dworu Karakule i nazywa się Priski — odpowiedział reporter.

Pan Priski oczyszczał tymczasem swoje ubranie, potem zaś poprosił Rouletabilla, by schował rewolwer, skłonił się Iwanie i rzekł:

— Chciałem rozmówić się z Iwaną Hanum, dowiedziawszy się od tych oto panów — wskazał na Candoura i Włodzimierza, którzy nie wiedzieli co ze sobą zrobić -- o adresie pani. Udałem się przeto do tego domu i wszedłem do pokoju bez żadnych złych zamiarów, zaręczam.

— Czego pan chce? — spytała Iwana.

— Proszę pani, zostałem wysłany przez jednego z przyjaciół Kara Selima, przez pana Kasbecka znanego szacownie męża z Konstantyno-

polu i całym świecie, który żywi wobec pani najlepszą chęć.

Rouletabille przypomniał sobie nagle dziwną rozmowę podsłuchaną w Czarnym Zamku pomiędzy Kasbkiem a Gawłowem, potrząsnął tedy Priskim jak wiechciem i powiedział :

— Dziwna i bezczelna rekomendacja! Więc masz pan czelność przychodzić tutaj i opowiadać panie Wilczkow o Kasbku?

— Proszę państwa! Zaznaczam, że jestem jeno skromnym wysłańcem. Jeśli więc byłem niezręcznym, to tylko skutkiem szczerości. Tyle jest mojej winy w całej sprawie.

Iwana pobladła jeszcze bardziej, podczas kiedy Rouletabille był czerwony jak ćwik. Ale reporter nie przerywał, chciał wiedzieć, jak się to skończy.

— Rozumiecie więc państwo, że ja osobiście o niczem nie wiem. Polecono mi misyę i zapewniono, że zostanę przez panią życzliwie przyjęty. Zaczynam jednak wątpić w tę życzliwość.

Pan Priski obejrzał swe ubranie i starł plamę na łokciu.

— Jakaż to misya? zapytał Rouletabille.

— Zdaje się, że pani zależy bardzo na pewnym kuferku pochodzenia bizantyńskiego, który znajdował się podczas płądrowania Karakule w komnacie małżeńskiej.

— Tak, to prawda! — powiedziała Iwana i nabrała odrazu kolorów. — Zależy mi bardzo na nim, jest to rodzinna pamiątka.

— Właśnie. Ten kuferek wpadł przypadkowo w ręce pana Kasbeka, któremu nie obce są przejścia pani, i który wyraził swe wielkie ubolewanie. Powiedział, że wydaje mu się, jakoby odzyskanie tego kufierka było dla pani wielką pociechą...

— Rzeczywiście! — odparła Iwana.

— Polecił mi tedy oddać go pani w stanie w jakim go znalazł.

— A jakże go znalazł? — spytał Rouletabille.

— Znalazł go w komnacie małżeńskiej, ale na nieszczęście nie było już w nim klejnotów i pamiątek, jakie prawdopodobnie musiał zawierać dawniej.

— Jeśli tedy niema w nim klejnotów — powiedział Rouletabille — nie zależy nam już na nim wcale!

— Panu nie zależy! — odparła pospiesznie Iwana — ale mnie zależy na nim bardzo, choćby był pusty!

Rouletabille odprowadził ją w róg pokoju.

— Co to znaczy? Boję się tego człowieka, boję się Kasbeka, czemu się pani opiera przy posiadaniu tego mebla? Wie pani przecież, że dokumenty mobilizacyjne w tajnej skrytce nie mają

już teraz żadnej wartości, ponieważ Bułgarzy weszli do Kirkilissy.

— Ten kuferek sam w sobie jest dla mnie cenną pamiątką — odrzekła Iwana — więc chcę go mieć, koniecznie chcę go mieć!

Zwracając się do Priskiego dodała:

— Gdzież jest ten kuferek? Czy może mi go pan przynieść panie Priski?

— Pani, — odparł Priski szarmancko — za pół godziny znajdzie się w posiadaniu pani!

— Dobrze tedy! zadecydował Rouletabille — zrób użytek. Ja nie opuszczę pani, panno Iwano, gdyż wszystko to wydaje mi się niejasnem. Ale Candeur i Włodzimierz pójdą z panem Priskim i przyniosą kuferek.

— Doskonale! odparł Priski. — Domagam się tylko stanowczo, abym ja sam wrócił tu razem z kuferkim.

— Czy to jest konieczne? — spytał Rouletabille.

— Niezbędne proszę pana! — odpowiedział Priski. — Czegoż ja chcę? Niczego więcej, jak oddać powierzony mi przedmiot do rąk właściwych, jak mi to zostało zaleconem, potem zaś zniknę. To wszystko! Widzi pan, że nie było powodów przewracać mnie na ziemię...

— Cóż pani na to? — spytał Rouletabille.

— Jest to jakaś tajemnicza rzecz. Aby ją je-

dnak rozjaśnić, wystarczy wykonać plan, nakreślony przez pana samego. Niech więc wszyscy trzej pójdą po kuferek i przyniosą go tutaj.

Przez ten cały czas Candeur był na mękach, walczyło w nim sumienie z nienawiścią do Iwany, wzrastającą z każdą sekundą niemal. Poszedł wreszcie stosownie do rozkazu wraz z Włodzimierzem i Priskim. W pół godziny później wrócili, niosąc ostrożnie kuferek, a Candeur ledwo się trzymał na nogach.

Priski powiedział:

— Pani, oto kuferek. Mam zaszczyt pożegnać panią!

Wyszedł.

W tejsze chwili Candeur rzucił się na kuferek, wołając:

— Nie otwierajcie, nie otwierajcie!

Wzruszenie jego było tak wielkie, że Roulette zauważył.

— Góó to znowu? Ty coś musisz wiedzieć?

— Nic nie wiem, ale nie otwierajcie tego przekłętogo kufereka! Może tam jest maszyna piekielna. Ten Priski zdolny jest do wszystkiego!

— Więc biegnij i przyprowadź go tu. Otworzymy kuferek w jego obecności.

Obaj wybiegli, wołając:

— Panie Priski, panie Priski!

Ale nie mieli zamiaru go odnaleźć. Woleli



oskarżać go w jego nieobecności, gdyż mógł zdradzić, że byli z nim w zмовіе.

Candeur wrócił, nibyto zadyszany i powiedział:

— Znikł, jak duch, nigdzie go niema, ale pewny jestem, że kuferek kryje w sobie coś niedobrego. Muszę ci wyznać teraz, że Priski łąził za nami od rana.

— Jakto?! I dopiero teraz mi to mówisz?— oburzył się Rouletabille.

— Nie chcieliśmy cię niepokoić!— odparł.— Priski ofiarował mi, ni stąd ni zowąd, tysiąc franków... — dodał cichym głosem.

— A mnie chciał dać zlecenie!— powiedział Włodzimierz.

— Jakież to zlecenie, szybko rzekł Rouletabille.

— Bym doręczył pannie Iwanie list, w ten sposób, by pan tego nie spostrzegł. Oczywiście, odprawiłem go z kwitkiem.

Rouletabille, zaniepokojony, odtrącił obu, i szybko otworzył kuferek. Był całkiem pusty. Późniósł go, przewrócił, zażądał igły, posunął kataraktę św. Zofii,\*) otwarł w ten sposób tajny schowek, ale i ten schowek okazał się pustym.

\*) Patrz rozdział 17-ty „Czarny Zamek“.

Ale reporter sięgnął w głąb szufladki i wydobyl list. Nie patrząc nań nawet, rzekł:

— Oto list do pani, panno Iwano! — i podał jej. — Właściwie, tego listu nie chcieli ci dwaj panowie doręczyć pani przed południem. Tak, teraz widzę, — dodał, wstając. — Kuferek był tylko pretekstem, którego użył Kasbek, by pani doręczyć list, na wypadek, gdyby jego wysłannik nie mógł się zbliżyć sam, potajemnie.

Iwana drżącą ręką złamała pieczęć i zaczęła czytać list.

Przez ten cały czas, Candeur kręcił się, jak w ukropie. Ustawicznie chodził dokoła Iwany. Wreszcie, zaczął próbować, czy okna i drzwi dobrze się zamykają.

— Cóż to nowego? — spytał Rouletabille podejrzliwie.

— Przyobiecalem przeciez czuwać nad panną Iwaną!

— Boisz się, by nie uleciała w powietrze?

— Czy ja wiem?... — odparł Candeur. Ten przeklęty Priski, powiedział nam, że, gdy tylko przeczyta list, odjedzie od ciebie...

— Gałganie! — krzyknął Rouletabille. — Więc jesteś współnikiem Priskiego! A, teraz rozumiem twe wykręty, twe wyrzuty sumienia, twe dziwne zachowanie się! Candeur, przestałeś być moim przyjacielem! Idź precz!

Candeur padł na kolana z łkaniem.

— Łaski, łaski! — jęknął.

Ale Iwana położyła wnet koniec tej patetycznej scenie i podała ze swym, wiecznie bolesnym uśmiechem, list, Rouletabillowi.

— Ależ to pisane po turecku! — powiedział — Włodzimierzu, przetłumacz!

Włodzimierz wziął list i czytał:

— „Pani! Od samego Kara Selima dowiedziałem się, jaką wartość przywiązuje pani do tego pamiątkowego kuferka. Dla odzyskania go, nie zawahała się pani połączyć węzłem małżeńskim, z mordercą swego ojca, swej matki, swego stryja. Wszedłszy, po zniknięciu Kara Selima, w jego posiadanie, odkryłem tajemnicę jego skrytki. Odsyłam go pani pusty, ale zatrzymuję w stanie niekniętym wszystkie papiery, które znalazłem. Nie otwarłem dotąd kopert i nie naruszyłem pieczęci, pewny, że pani zależy na tem, by te rzeczy posiadać i że pani zechce sama przybyć je odebrać. Oczekuję pani najpóźniej do dnia 27. października, w Dedeagaczu“.

Rouletabille wybuchnął szalonym śmiechem, aż przykro było słuchać tego.

— Za późno! — wrzasnął. — Już za późno!...

— To prawda! — odrzekła Iwana i poszła do swego pokoju.

— Więc nie odjedzie? — rzekł Candeur radośnie. Więc można otworzyć drzwi i okna? Routabille, czy mi przebaczysz?

— Nie! — odrzekł reporter surowo.

---

X.

**Rouletabille otrzymuje wieści ze swego  
dziennika.**

— Józef Rouletabille! Rozkaz generała-majora Władysławowa!

Oficer sztabowy wymówił te słowa donośnym głosem po francusku, wyskakując jednocześnie z samochodu, który się zatrzymał przed domkiem.

— Czego pan sobie życzy? — spytał Rouletabille po przywitaniu.

— Nadszedł rozkaz z kwatery głównej, równocześnie z samochodem sztabu generalnego. Generalissimus Władysławow, życzy sobie pomówić z panem, jaknajprędzej. Mam polecenie dostawienia pana, razem z panną Iwaną Wilczkow, która się tutaj znajduje.

— Tak, panna Wilczkow bawi tutaj!—odparł reporter. — Jesteśmy gotowi jechać z panem. Ale pozwolę sobie zapytać, gdzie przebywa generał?

— W Starej Zagorze.

— To daleko!

— Będziemy tam jutro!

— Drogi są w stanie okropnym! — zauważył Włodzimierz melancholijnie.

— Gdyby były lepsze, stanęlibyśmy dziś w nocy jeszcze na miejscu. W każdym razie, pojedziemy jaknajprędzej. Panowie, stawię się tu za pół godziny i liczę na odjazd niezwłoczny. Proszę uprzedzić pannę Wilczkow.

— Rozumie się! — odparł Rouletabille i pożegnawszy oficera, zapukał do drzwi Iwany.

— Proszę! — zabrzmiał głos Iwany.

Stała przy drzwiach, trzymając się ściany. Była przerażona, nawpół żywa.

— Mój Boże! Co pani jest?... — spytał.

— Słyszałam wszystko!... — szepnęła.

— Czy przeraża panią tak perspektywa zobaczenia się z generałem?

— Czegóż on chce odemnie?

— Nie wiem! Ale po wszystkim, coś pani uczyniła dla swej ojczyzny, niema pani chyba powodu przerażać się...

Okryła się szczelnie płaszczem, usiadła i czekała powrotu oficera z miną taką, jakgdyby została skazana na śmierć. Drżała na całym ciele. Rouletabille spytał, czy jej nie zimno, ale nie otrzymał odpowiedzi.

Zerwała się na głos trąbki samochodu i wbiła we wchodzącego oficera, przerażony wzrok. Oficer wymienił swe nazwisko, pocałował Iwanę

w rękę i oświadczył, że przyjaciele rodziny cieszą się nadzieją przybycia jej do Zagory. Wymienił kilka nazwisk.

Słuchała go bezprzytomna, ledwie żywa.

Rouletabille prawie wnieść ją musiał do samochodu.

Przyjechali. Podróż była okropna. Mijały godziny za godzinami pełne trudów niewysłowionych. Nie wypowiedziała ni słowa skargi. Popołudniu, nazajutrz, po niezliczonych przeszkodach, które zdawały się czynić dalszą podróż daremną, po utrudnieniach, spowodowanych ruchami wojsk, przybyli nareszcie do Starej Zagory.

Samochód udał się wprost na dworzec, gdzie generalissimus mieszkał w pociągu, by móżdż każdego czasu udać się na dany punkt frontu bojowego, stosownie do potrzeby chwili. Tam dowiedzieli się, że generał Władysławow wyszedł do miasta, na przyjęcie, jakie dawał bogaty przemysłowiec, Anastazy Argelów.

Pojechali tam, ale okazało się znowu, że generał pojechał samochodem w kierunku Mustafa Paszy gdzie właśnie odniesiono znaczny sukces.

Po drodze jednak natknęli się na generała Sawowa, który ich zawiadomił, że generał Władysławow oczekuje ich z niecierpliwością i prosi, by się koniecznie zatrzymali w Starej Zagorze na

wypadek, gdyby przybyli tutaj przed jego powrotem.

— Generale! — rzekł Rouletabille, — zależy mi równie na złożeniu swego uszanowania generalissimosowi, jak na widzeniu się z panem. Żałuję bardzo, że go nie zastałem. Mam zamiar prosić go o wielką przysługę, mianowicie, by zechciał wyprawić niezwłocznie do Francji moją korespondencję i moje telegramy.

— To już moja rzecz! — odparł Sawow. — Mam zupełne zaufanie do pana. Generalissimus nie ukrywał przedemną, ile panu zawdzięcza nasz sztab generalny. Przeto sprawi mi to przyjemność osobistą, jeśli panu oszczędzę cenzury. Proszę o papiery, a zaopatrzę je moją pieczęcią i zezwoleniem

— Dziękuję, generale! — odparł reporter.

Rouletabille obejrzał się za Candeuem, ale Włodzimierz powiedział, że Candeur udał się na pocztę, gdyż pilno mu było dostać swą korespondencję osobistą.

— Generale, — powiedział Rouletabille. — Napiszę jeszcze parę słów i za godzinę stawię się z całą moją przesyłką. Liczę na pańską uprzejmość.

— Rozumie się! — odparł. — Przez ten czas zajmę się panną Wilczkow. Jest bardzo znudzona i trzeba jej jakie takie wygody zapewnić.



— Bardzo wdzięczny za to będę.

Rouletabille i Włodzimierz pożegnali generała.

— Znajdziecie tutaj, panowie, mnóstwo kolegów! — zawołał za nimi generał.

Włodzimierz podskoczył w górę z radości.

— Zobaczymy kolegów! Marka Wołocha, — będą nas wypytywać... Powiedziano mi u Anasztazego Argełowa, że są wściekli, trzymają ich krótko, nie wolno im nic wysyłać.

— Pilno mi dowiedzieć się czegoś o naszej budzie! — powiedział Rouletabille, poweselały odrazu i rzeźwieszy.

Przyspieszył kroku. Stara Zagora jest to ładne miasteczko, położone u stoku gór, nierówne jej ulice pełne wybojów i zakrętów znamionują, że tutaj panuje już wschód i jego obyczaje, oraz urządzenia. Kawiarnie, na wolnym powietrzu, pod portykami, otoczonymi winoroślą, mają wygląd czysto orientalny, spokojny i leniwy.

— Zdaje się człowiekowi, że stąd jest conajmniej tysiąc mil do frontu. Jeśli tyle tylko pozwalają korespondentom widzieć z całej kampanii, to nic dziwnego, że są niezadowoleni — mówił reporter.

Natknęli się na pewnego znajomego korespondenta.

— Nic nie wiemy — narzekał — komunikują nam dokument donoszący o zwycięstwie i na

tem koniec. „Jakże możemy dać na tej podstawie co dnia tysiące słów, na które czekają nasze piśma. A w telegrafii... Boże zmiłuj się. Trzy panny siedzą przy trzech starych naszych aparatach Morsego i szaleją z wściekłości. Niema tu nawet nowożytnych aparatów Hughesa. Co za straszny zawód. Wszyscy rozpaczają. Jeden tylko, Marko Wołoch, jest zadowolony.

— Z jakiegoż to powodu? — spytał Włodzimierz, który nienawidził Marka.

— Posłał cudowną korespondencję do swojej budy. Powiadam wam, coś niesłychanego!

— Niepodobna! Jakże do niej doszedł?

— Niewiadomo!

— Dobrze! Już czas posłać coś dobrego do „Epoki“. Muszą się tam dławić z wściekłości wobec tego, że konkurencja otrzymała takie wiadomości.

Dostali się do biura pocztowego. Koledzy powitali ich okrzykami radości i zdumienia. Pytania się krzyżowały: Co porabiali od dwu przeszło tygodni? Jakich doznali przygód? Byli zrazu, znając Rouletabilla, zaniepokojeni jego podróżą po Istrandża Dagu, ale pocieszyli się, nie napotkawszy w „Epoce“ artykułów, przezeń sygnowanych.

— Tylko Marko Wołoch umie sobie radzić! — mówili.

— Dziwny człowiek, dziwny człowiek! I przez niego-to właśnie, tak nas wzięli na postronek

Rouletabille odebrał swoją pocztę i otworzył naprzód list z „Epoki“. Wszyscy obserwowali go, podczas czytania.

Rouletabille zbladł.

— Niezadowoleni?... Co?

— Niezadowoleni!... — odparł reporter. —

Ależ to niepojęte!

Zaczął czytać głośno:

— „Milczenie pańskie jest tembardziej niezrozumiałe, że nie możesz pan zasłaniać się niemożnością przesłania korespondencyi, z podróży swej, po Istrandża Dagu, wobec tego, że kolega pański z „Nouvelle Presse“, opublikował wiadomości niezmiernie interesujące. Skutkiem tych publikacyi, podniósł się nakład wymienionego pisma, o przeszło 400.000 egzemplarzy. Korespondencye te, sygnowane „Marko Wołoch“, omawiają zdarzenia, które, chociaż może nie są historycznie wierne, jednakowoż olśniewają oryginalnością koncepcyi, a także autentycznością tła, na którym się rozgrywają. Krótko mówiąc, jest to nietylko „klapa“, ale, co gorsza, zwycięstwo konkurenta, a nasza przegrana i wstyd. Dyrektor jest rozgniewany i kazał mi wyrazić panu swe wielkie zdziwienie..“

— Ale ci wsypał?!.,

— Dostał i on za swoje!

Włodzimierz był zrozpaczony, jakgdyby wszystkie te wyrzuty dotyczyły osobiście jego samego. Gryzł wargi do krwi.

— Więc Marko podróżował też po Istrandża Dagu? — spytał Rouletabille.

— Mój drogi... — odpowiedział mu ktoś, — my tego nie wiemy, ale jest to pisane w ten sposób, że niepodobna przypuścić, by autor nie przeżył osobiście tych przygód.

— Czy długo był nieobecny?

— Najwyżej tydzień. Ale, co prawda, powiedzieć można, że nie zmarnował tego tygodnia.

— A macie tu panowie te korespondencye „Nouvelle Presse“?

— Oczywiście. Idź do hotelu „pod złotym lwem“, tam stoimy wszyscy razem, tam je znajdziesz.

— Dobrze... dobrze.

Przykro było patrzeć na Rouletabilla.

— Chodź, Włodzimierzu! A gdzież jest Candeur?

— Pobiegł do hotelu pod „złotym lwem“, chciał przeczytać korespondencye.

— Gdzież ten hotel?

— Zaprowadzimy cię.

Porażka Rouletabilla cieszyła ich, toteż postali nowili wszyscy towarzyszyć mu do hotelu.

Pierwszą osobą, jaką Rouletabille spostrzegł

w czytelnicy hotelu, był Candeur. Pochylony nad stołem, pożerał oczyma korespondencye „Nouvelle Presse“, a twarz jego była sina. Na odgłos kroków Rouletabilla, podniósł głowę i zachwiał się na nogach. Zdawało się, że padnie trupem.

— Czytaj... — powiedział, nie mogąc wymówić ni słowa więcej.

Rouletabille rzucił się do czytania. W kilka sekund przekonał się nareszcie o zbrodni. Tak, to były jego artykuły. Artykuły Rouletabilla, podpisane „Marko Wołoch“.

— A mówiłem wam! — powiedział Włodzimierz, — że ów gość, który był w naszym namiocie, w nocy, to Marko Wołoch! Krążył ciągle dokoła nas, by ukraść pańskie artykuły. Sam nie potrafi napisać dwu wierszy. Znam ja go dobrze... o, znam! Ale z tem wszystkim sprawa się przedstawia paskudnie!

Rouletabille czytał dalej. Była tam cała pierwsza część ich podróży po Istranazy Dagu, którą dyktował Candeurowi. Nie brakło jednego ustępu, ni przecinka, ni kropki.

Reporter, błydy z wściekłości, odezwał się do Candaura:

— Dawaj tekę!

Było to pierwsze słowo, z jakim się do niego zwrócił, od chwili sceny, w domku, w Kir-

kilisse. Candeur otworzył tekę i rzekł omdlałym głosem :

— Nie pojmuję. Wszystkie artykuły są tutaj...

Wydobył plik papierów. Każdy artykuł posiadał osobną okładkę, z numerem i datą.

— Pokaż-no!...

Candeur, drżący coraz bardziej, wydobył artykuły z okładek i rozłożył je. Okazało się, że to nie artykuły, lecz czysty papier! Artykuły powędrowały do kieszeni Marka.

— Bandyta! — wrzasnął Włodzimierz. — Dawać go!

— Tak... daj go tu! — powiedział ponuro Candeur, zaciskając pięści. — Czuję, że muszę go zadławić.

— Jest niedaleko! — odpowiedzieli koledzy. — Mieszka w tym hotelu.

Koledzy nie posiadali się z radości. Coś podobnego nie zdarzyło im się dotąd.

— Jakto... — pytali, — więc ty, Rouletabille, dałeś się w ten sposób wykić... to zadziwiające, to niepojęte!

Rouletabille zamknął im usta :

— Tak, zostałem okpiony i nie przynosi mi to hańby. Nie mogłem uwierzyć, by człowiek, który zwie się dziennikarzem, który wam codziennie podaje rękę i z którym obcuje, jako z kolegą, mógł być złodziejem i rozbójnikiem..

Podniosły się głosy oburzenia. W kilku słowach objaśnił ich Rouletabille, jak się rzecz miała. Marko Wołoch szedł ich tropem, przez Istrandżę Dag, zaintrygowany, czemu odbywają tę podróż, podczas, gdy wszyscy korespondenci zostają w Sofii. Po nocy wśliznął się do namiotu reporterów i porwał korespondencyę, którą potem wysłał do Paryża i ogłosił pod swoim nazwiskiem. Nie koniec na tem. Aby się pozbyć konkurencji reporterów „Epoki“, nie zawahał się zadenuncyować Rouletabilla i jego towarzyszków władzom tureckim, jako szpiegów generała Władysławowa, tak, że omal nie zostali rozstrzelani.

Opowiadał, jak zostali aresztowani przez agę.

Gdy skończył, podniósł się krzyk oburzenia i posypały się przekleństwa pod adresem Marka :

— To nędznik! Trzeba się na nim pomścić!

— Należy go wydać władzom, jako złodzieja i szpiega tureckiego.

Nagle powiedział Włodzimierz :

— Właśnie idzie! Uwaga, panowie!

— Zostawcie mnie to! — prosił Rouletabille. —

Jest moją rzeczą załatwić się z nim! Co do ciebie zaś, Candeur, oświadczam uroczyście i całkiem seryo, że nie wolno ci się mieszać w moje sprawy. Nic ci do tego; z nami wszystko skończone, raz na zawsze!

Schował szybko numery „Neuvelle Presse“

do teki, wziętej z rąk Candoura, który stał błydy, jak ściana.

Marko Wołoch wszedł do sali, nie spodziewając się niczego. Nagle spostrzegł Rouletabilla. Zbladł trochę, ale szybko odzyskał równowagę i zbliżając się do reportera, powiedział:

— Co widzę? Rouletabille! Cóż się z panem działo... Wszyscy byliśmy zaniepokojeni!

Rouletabille uściśnął jego dłoń w sposób zupełnie naturalny.

— Opowiadano mi już, żeście panowie byli zainteresowani. No, dzięki Bogu nie przydarzyło się nam nic złego. Zrobiliśmy małą wycieczkę po Istrandży Dagu i po kilku drobnych przygodach bez znaczenia, mieliśmy sposobność widzieć zbliżka zdobycie Kirkilissy.

— Doprawdy? — zawołali wszyscy chórem.

— Winszuję! Winszuję! — dodał Marko, który nagle spochmurniał. — Musiał to być piękny dla pana dzień. Słyszałem, że bój był zażarty.

— Straszliwy! — zawołał Rouletabille. Nie widziałem w życiu nic podobnego. Walka trwała przeszło dobę, bito się na noże po ulicach, krew płynęła, dosłownie, potokami... o... było to straszne!

— Opowiedz nam to! — zakrzyknęli chórem. — Możesz nam przecież udzielić kilku szcze-



gółów. To nie przeszkodzi ci zachować pierwszeństwa w podaniu wiadomości.

— Zawsze starałem się być dobrym kolegą. Nie odmawiam przeto przysługi. Otóż słuchajcie. Wojska Machmuda Mukdera oszańcowały się silnie na linii fortów Kirkilissy, a Bułgarzy musieli rzucać w ogień całe brygady, by sforsować forty Raklicę i Skopos. Oba zostały wzięte po walce na noże, która przeniosła się potem aż w ulice Kirkilissy. Turcy bronili się cofając się krok za krokiem w sposób iście bohaterski, zmieniając każdy dom w mały bastyon. Musiano szturmem brać pałac gubernatorski... musiano...

Rouletabille mówił w tym duchu przeszło kwadrans, malując imaginarną walkę o Kirkilisse, która nie miała nigdy miejsca. Było to wręcz sprzeczne z prawdą. Rouletabille rozwodził się szeroko, dawał szczegóły, sypał nazwiskami, przesuwiał i cofał całe brygady, strzelał z ciężkich dział, walił domy, masakrował dzieci i kobiety, wieszał starców. Wymieniał nazwy pułków, które się znajdowały w danej chwili daleko od Demir Kapu i Petry, wkładał w usta generałów bułgarskich historyczne słowa, które musiały potem okazać się śmiesznymi i okryć niesławą idyotę, który je podaje. Wszystko zaś było piękne, barwne, wprost żywe...

— Wydaje się człowiekowi, że tam był! —

zauważył jeden, z notujących szybko, reporterów.

— Czyś to już wysłał? — spytał drugi.

Rouletabille, skończywszy opowiadanie, obejrzał się wokoło i spostrzegł, że Marko uciekł już ze zdobytym skarbem notat o zdybyciu Kirkilissy.

— Nie panowie! — powiedział. — Nie posłałem ani słowa, gdyż wszystko to jest fałszem i wierutnem kłamstwem. Nic podobnego nie miało nigdy miejsca. Nie telegrafujcież, broń Boże, ani słowa z tego, co powiedziałem, a co zapelni najmniej trzy szpalty „Nouvelle Presse“ i pod czem będzie paradował podpis Marka Wołocha. To, co należy zatelegrafować i co Candeur doniesie odemnie „Epoce“, to wam wszystkim mogę podyktować. Piszcie! „Kirkilissa została zajęta przez wojska bułgarskie bez strzału. Wojska Radki Dymitriewa nie znalazły w mieście żywej duszy. Wojsko tureckie i ludność, opuścili miasto w panice nieopisanej, jakiej nie zna historia wojen“.

Zrazu, zdumieni, pojęli reporterzy niebawem, że Rouletabille w ten sposób chciał się zemścić na Marku. I udało mu się wspaniale! Dostał huczne brawo.

— Już po nim! Zostanie okrzyczany za błagiera i kłamcę. Stanie się niemożliwym i żaden poważny dziennik nie zechce go przyjąć. Nareszcie uwolniłeś nas od tej kanalii!

— A teraz pora brać nam się do roboty i to ostro, Candeur i Włodzimierzu! Czy jest tu jakiś wolny pokój?

— Więc chcesz bym z tobą pracował? — zawołał radośnie Candeur.

— Naturalnie, idyoto jakiś, — powiedział. Tylko tękę będzie nosił Włodzimierz. Nie jest tak straszliwie głupi, jak ty!

— Dziękuję ci! — odrzekł uszczęśliwiony Candeur.

— Dziękuję! — powtórzył Włodzimierz.

Znaleziono im pokój i pięć minut po tem, Rouletabille zaczął dyktować Włodzimierzowi artykuł, wysławszy Candaura do urzędu telegraficznego, z wiadomą depeszą o zajęciu Kirkilissy, a potem do Átanazego Argełowa dowiedzieć się, co słyhać u generała Władysława.

Artykuł zaczynał się w ten sposób:

„Nouvelle Presse“ zaczęło publikować seryę bardzo ciekawych artykułów i korespondencyi z podróży po Istrandża Dagu, sylwetek ludzi i rzeczy, oraz początku działań wojennych na tym terenie. Artykuły te nosiły podpis „Marko Wołoch“. Czytelnicy „Nouvelle Presse“ zapewne z wielkim żalem stwierdzić musieli, że owa serya urwała się nagle i niespodziewanie w najciekawszem miejscu, bez dostatecznego powodu. Pospieszamy pocieszyć ich. Będą mogli teraz czytać dalszy ciąg na

łamach „Epoki“, znajdują tam przygody dramatyczne trzech reporterów, w kraju, nawiedzonym wojną, przygody istotnie przeżyte. Tylko ten ciąg dalszy będzie nosił sygnaturę naszego współpracownika Józefa Rouletabilla, albowiem on to właśnie był autorem rzeczywistym części pierwszej jak jest autorem drugiej części. Nasz współpracownik poczynił odpowiednie kroki, by pan Marko Wołoch nie skradł mu rękopisu tej drugiej części, jak to uczynił z pierwszą“.

Po tym zabójczym wstępie, Rouletabille zagłębił się w bogatym materiale przeżyć własnych i kreślił żywymi barwami przygody swej ekspedycji w kraju Gawłowa, opisał dowcipnie „Hotel Przejezdnych“ i zabrał się właśnie do opisu przygód w haremie i walk w bastyonie, gdy nagle wszedł Candeur, zaniepokojony i zdenerwowany.

— Cóż tam słyhać? — spytał Rouletabille.

— Wrócił... Wrócił w kilka minut po naszym odjeździe

— Spieszmy więc!...

— Zbyteczne... Odjechał znowu.

— Jakto? Odjechał?

— Tak, odjechał autem. Kazał ci powiedzieć, że oczekuje cię wieczór, albo w nocy, gdy tylko wróci.

— To prawdziwa komedia! — zawołał reporter. — Sprowadza mnie tutaj, ponieważ koniecznie

chce mnie mieć, a zmyka natychmiast, gdy się dowiedział, że przybył. Jeśli mu nie zależy na mojej wizycie, niechże mi da święty spokój i nie przeszkadza w pracy! Na czym stanęliśmy, Włodzimierzu?

— Rouletabille! — powiedział Candeur, coraz bardziej zdenerwowany. — generał nie pojechał sam!...

— A cóż mnie to obchodzi, niech sobie jedzie z samym szatanem!

— Pojechał z panną Wilczkow!

— Co?!...

— Mówię, co mi powiedziano. Panny Wilczkow niema już u Anastazego Argełowa.

— Więc generał ją zabrał? Ale po co i dokąd?...

— Nie wiem... Nie pojmuję!

Rouletabille porwał kapelusz i wybiegł na miasto. W domu Argełowa zastał właśnie generała Sawowa.

— Iwana Wilczkow? — spytał.

— Pojechała z generalissimusem.

Sawow, widząc zmartwienie Rouletabilla, zaczął go uspokajać. Generał Władysławow zatrzymał się tylko na krótką chwilę w miejscu. Miał rozmowę ze swoją pupilką i odjechał na front. Panna Wilczkow prosiła go, by ją z sobą zabrał. Chciała zbliżka obejrzyć teatr wojny.

— Zbliża teatr wojny? — zdziwił się reporter. — Przecież wraca z samego pola walki, przecież sama brała udział w boju!

— Ot, kaprys kobiecy! — uspakajał go zacny generał. — Zresztą, zdaje mi się, że mieli z sobą do pomówienia, więc ją zabrał z sobą. Uspokój się pan, generał uważa ją za swoją córkę i kocha ją bardzo. Odda ją panu całą i zdrową, jeszcze dziś wieczór... — dodał z uśmiechem.

Rouletabille wrócił do hotetu „pod złotym lwem“, nieco uspokojony i w dalszym ciągu, przez cały dzień, dyktował Włodzimierzowi artykuły do „Epoki“.

---

## XI.

### **Jeszcze nie skończona historia kufierka bizantyńskiego.**

Rouletabille wychodził od czasu do czasu, dowiedzieć się, czy generał i Iwana nie wrócili. Ale nie przybyli ani tego dnia, ani w nocy, a czas ten upłynął reporterowi na pracy i niepokoju. Rano, nazajutrz, także nie zastał nikogo. Daremnie mówił sobie, że Iwana jest pod opieką generała, że się jej nic stać nie może. Niepokój i troska nie dawały się odpędzić.

Aby zapomnieć o tej nieobecności, która przedłużała się w sposób niewytłumaczony, rzucił się z zapałem do pracy i ślęczał nad korespondencjami.

Około godziny pierwszej, dnia następnego, reporterzy mieli właśnie siadać do obiadu, w hotelu „pod złotym lwem“, gdy powstał nagle tumult, w pustej jeszcze sali jadalnej. Zjawił się Candeur, z twarzą czerwono-siną, co mu się przydarzało tylko w chwilach najwyższego wzruszenia.

— Rouletabille! — wołał, — gdzie jest Rouletabille..

— Cóż takiego. Czemu wrzeszczysz? Czy Władysławow...

— Nie, to Marko Wołoch!

— No, cóż mu się stało?

— Dostał telegram gratulacyjny, z dodatkiem, że podwajają mu pensję i dyety, z powodu relacji o zdobyciu Kirkilissy.

— Niemożliwe!

— Przysięgam! On tańczy z uciechy! Kpi sobie z nas wszystkich! Rzeczywiście, to coś niesłychanego!

— Nieszczęście! — jęknął Włodzimierz. — Można się wściec ze złości!

— Pokazuje wszystkim depeszę... Ale to nie wszystko!

— Cóż jeszcze?

— Wszyscy inni są wściekli na ciebie! — powiedział Candeur. — Dostał każdy depeszę z besztaniną. Niektórym zagrożono wyrzuceniem za tę depeszę o obsadzeniu Kirkilissy bez strzału, podczas gdy „Neuvelle Presse“ zamieściła szczegóły z walk i ataków

— Depesza dla pana Rouletabilla! — oznajmił lokaj.

Rouletabille otworzył telegram i przeczytał głośno:

— „Jeśli pan jesteś chory, proś o zastępstwo



Marka Wołocha; relacya jego o wzięciu Kirkilissy jest wspaniała. Redaktor naczelny“.

Rouletabille stał pod wrażeniem depeszy, gdy drzwi się otwały i weszli wszyscy reporterzy razem, którzy przeklinali jednocześnie Marka, że wysłał tak piękną relacyę i Rouletabilla, że im odradził zrobić tosamo.

— Ależ, powiadam wam, że to fałsz! — tłumaczył Rouletabille.

— A cóż nas to obchodzi! Masz, czytaj...

Podano mu depeszę z redakcyi „Dziennika przedpołudniowego“, obszerną, do swego przedstawiciela: „Nie wysyłaliśmy pana do Kirkilisse po to, by się dowiedzieć, że tam się nic nie dzieje“.

Oświadczyli chórem, potrząsając ołówkami, że odtąd nie będą tak naiwni i ciągle coś się dzieć musi koniecznie.

Jeden z korespondentów wziął na bok Candoura i szepnął mu do ucha:

— Powiedz-no, Candeur, co się jemu, do licha, stało? Jakoś mu nie służy ta wojna bałkańska!

— Co mu jest!... — odparł Candeur. — To mu jest, że się zakochał... Widzisz... zakochał się!

— O, teraz rozumiem. To wystarczy, by ogłupić zupełnie człowieka!

W tej chwili wszedł oficer; powiedział do Rouletabilla:

— Generał-major powrócił i prosi pana do siebie.

— Spieszę! — odparł Rouletabille, przychodząc nagle do siebie. — Generał-major wrócił zapewne z panną Wilczkow?

— Nie... Zdaje mi się, że wrócił sam. To jest, wrócił, o ile wiem, tylko z oficerem ordynansowym.

— Masz tobie! To ci bal! — wrzasnął Candeur do siebie.

Ale Rouletabille posłyszał to odezwanie się i rzekł, zwracając się do Candaura.

— Proszę *pana*, może pan zechce mnie opuścić i nie pokazywać mi się więcej na oczy! Chodź, Włodzimierzu.

I poszedł z oficerem, blady, jak śmierć.

Włodzimierz rzekł w przechodzie do Candaura, który padł na krzesło:

— Nie trap się, Candeur. Możesz ofiarować teraz swe usługi Markowi Wołochowi!...

W dziesięć minut potem, stanął Rouletabille przed generałem-majorem Władysławowem, który nie szczędził mu jaknajgorętszych gratulacyj i pochwał, oraz podziękowania za to, co uczynił dla armii.

Reporter skłonił się i rzekł:

— Wybacz ekscelencya, ale radbym dowiedzieć się, co się stało z panną Wilczkow.

— Pana to niepokoi? — zapytał generał, z lekkim uśmiechem, gdyż domyślał się uczuć Rouletabilla dla Iwany.

— Muszę wyznać, że panna Iwana była w dniach ostatnich tak wyczerpana przebytymi przygodami i przejściami, o których zapewne opowiadała...

— Tak, mówiła mi!

— I w stanie tak głębokiego przygnębienia moralnego...

— Co?! Nie zauważyłem tego wcale! Przeciwnie, wydała mi się rzeźką, zdrową i pełną energii.

— Gdym ją widział po raz ostatni — powiedział Routabille, była niezmiernie przygnębiona, poprostu pół żywa. Dlatego to zdziwiłem się niezmiernie, czemu chce towarzyszyć ekscelencyi na front. Zaniepokoiłem się bardziej jeszcze na wieść, że nie wróciła.

— Panna Wilczkow istotnie wybrała się w drogę, na jakiś tydzień czy nawet dłużej może, ale wróci niezawodnie tutaj, lub do miejscowości, gdzie się będę ja znajdował.

— Dziękuję ekscelencyi za te słowa, ale wyjazd ten wydaje mi się wprost niewytłumaczalnym...

— Proszę pana... — rzekł generalissimus, po-

dając Rouletabillowi krzesło — proszę pana, to są sprawy sekretne! No, ale wobec pana nie mam tajemnic, prawda!

— O, ekscelencyo!

— Wezwałem pana przedewszystkiem, by panu powinszować i zapewnić, że tej przysługi nigdy nie zapomnę...

Rouletabille siedział jak na rozżarzonych węglach. Nie po to przyszedł, by mu gadano o zasługach, chciał się czegoś dowiedzieć o Iwanie.

— Właśnie, dzięki panu mogliśmy działać z zupełną pewnością siebie, wiedząc dość wczesnie, że o naszych planach mobilizacyjnych przeciwnik nie wie nic.

— Odnaleźliśmy je w skryrcie kufierka bizantyńskiego. Były nietknięte.

Rouletabille cierpiał męki niewysłowione zmuszając się do odpowiedzi.

— Opowiadała mi to panna Wilczkow, którą zastałem po powrocie i nakreśliła dramatyczne okoliczności, w jakich pan dokonałeś dzieła.

— Panna Wilczkow pewnie musiała powiedzieć ekscelencyi, że nie mieliśmy czasu zabrać tych dokumentów, ale stwierdziwszy, że są nietknięte zatrzasnęliśmy napowrót skrytkę, w której były nadal bezpieczne.

— Tak, wiem to. Ale panna Wilczkow uwiadomiła mnie także o tem, że przedwczoraj przy-

niesiono jej ten kuferek, że pan go sam otworzył i że nie było w nim już owych dokumentów.

— To prawda! Ale nie trapiliśmy się już tem ich zniknięciem, ponieważ jasne jest, że przeciwnik odkrył skrytkę za późno dla siebie, albowiem te plany są dzisiaj znane całej Europie i stwierdzoną została ich genialność, przez świetne zwycięstwa armii bułgarskiej.

— Całe nieszczęście w tem — powiedział generał poważnym tonem — że ten pakiet zawierał nie tylko same plany mobilizacji i pochodu wojsk...

— A cóż takiego jeszcze? — zapytał nagle Rouletabille, przerażony coraz bardziej kierunkiem rozmowy.

— Niektóre z tych dokumentów — ciągnął dalej Władysławow — zawierały najdokładniejsze wskazówki, odnoszące się do naszego systemu służby wywiadowczej wojskowej w Turcyi, a zwłaszcza w samym Konstantynopolu. Najgorsze, że znajdują się tam spisy imienne wszystkich naszych szpiegów, wraz z szyframi, służącymi do korespondencji z nami.

Rouletabille zerwał się.

— Nie wiedzieliśmy o tem! — zawołał.

— Jeśli nieprzyjaciel otworzył ten pakiet, to nie tylko zachodzi niezwłoczna konieczność zmiany całego systemu, co jest w czasach obecnych nie-

zmiernie utrudnione, ale oznacza to jednocześnie pewną śmierć kilkudziesięciu wiernych i oddanych sprawie ojczystej osobistości, których utrzymujemy w Konstantynopolu.

Wiadomość ta nie wywarła zbyt wielkiego wrażenia na Rouletabilla. Myślał o Iwanie.

— I cóż powiedziała, ekscelencyo, panna Iwana, dowiedziawszy się o tem? — spytał.

— Z początku była tak przerażoną jak i ja sam, potem jednak oświadczyła, że jest w jej mocy. by te dokumenty wróciły napowrót w stanie nietkniętym do moich rąk. Powiedziała, że może się do nawet stać wkrótce i nieprzyjacieli nie dowie się, co było w pakiecie. Oświadczyła, że wie gdzie się dokumenty znajdują i że je odzyska, o ile sama po nie pojedzie.

— Ach, mój Boże! krzyknął reporter — więc to tak?... Teraz rozumiem... ach, to rzecz straszna! Pojechała!

— Tak, pojechała i powiedziała mi, że wróci niedługo...

— Niedługo? — spytał złamanym głosem.

— Nie wróci, ekscelencyo! — powiedział nagle twardo. — Nie wróci.

— A więc skłamała?

— Nie. Ekscelencyo! Dokumenty wrócą, wywiadowcy zostaną ocaleni, ale ona nie wróci!

— Jakto? Dlaczego? — pytał zaniepokojony generał.

— Wyjechała do Dedeagaczu? Prawda?

— Tak, do Dedeagaczu. Żądała auta, dałem jej najlepszy wóz generalnego sztabu i dodałem jej trzech jeńców tureckich, notablów wysokich z okręgu Istrandży, którzy znali Kara Selima, męża Iwany Wilczkow, bo Iwana jest teraz Iwaną Hanum, jak mi to powiedziała.

— Tak, ekscelencyo!

— Ale mąż jej zginął..

— Tak jest.

— Ci notable obiecali mi, za cenę wolności, zaopiekować się Iwaną, która jest teraz tego samego co oni wyznania i oprowadzić ją w Dedeagaczu, gdzie trzeba.

— Ekscelencyo! — zawołał reporter. — Powtarzam: dokumenty przybędą, ale nie zobaczysz ekscelencyo więcej Iwany Wilczkow!

Wieść ta nie zdołała wzruszyć umysłu metodycznego ekscelencyi. Przeważał w nim patryotyzm. Wolał dostać z powrotem w ręce fatalne dokumenty, jak odzyskać Iwanę. Ale rozpacz Rouletabilla wzruszyła go nakoniec i zapytał z wyraźnym współczuciem, dlaczego sądzi, że Iwana nie powróci.

— Albowiem zaproponowano jej zamianę

tych dokumentów za jej własną osobę, za jej osobiste szczęście, za życie!

Opowiedział przygodę w domku w Kirkilisie, zacytował list włożony przez Priskiego do kuferka, przez Priskiego, który był posłańcem Czerkiesa Kasbeka.

— Co za szlachetna dziewczyna! — zawołał generał.

— Ekscelencyo! — powiedział reporter. — To jest czyn rozpaczy. akt bólu strasznego!

— Przepiękne poświęcenie!

— Byłoby to zupełnie zbyteczne ekscelencyo, gdybym był wszystko dość wcześnie wiedział... ale' teraz... teraz... kiedy panna Wilczkow może przybyć do Dedeagaczu? — spytał nagle Rouletabille.

— Sądzę, że już tam jest!... Tak myślę przynajmniej!

— Więc wszystko przepadło! jęknął Rouletabille. — Nie da się nic zrobić!

Skulił się w fotelu i zaczął płakać.

Generał zbliżył się, wziął go za rękę, starał się go pocieszyć, ale Rouletabille płakał i nie słyszał nic. Przeprosił za swę znalezienie się niewłaściwe i chciał odejść.

Ekscelencya odprowadził go aż do progu gabinetu i powiedział:

— Wspominał pan, że gdybyś wiedział



o wszystkim dość wczesnie, poświęcenie Iwany byłoby niepotrzebnem. Cóż to znaczy? czy możesz mi pan wytłumaczyć?

— Ekscelencyo! Gdybym był wiedział, to wprawdzie system wywiadowczy musiałby być zostać zmieniony, ale panna Iwana byłaby ocalała. Szpiegom nic by się nie stało, gdyż byłbym ich sam na czas uprzedził, byłbym zdążył i oni uciekliby przed odkryciem ich nazwisk. Czyż w tych warunkach nie byłbyś, ekscelencyo, sam powstrzymał panny Iwany?

— Niewątpliwie! — rzekł generał — żałuję bardzo, że się zobaczył z panem dopiero teraz.

Powiedział mu jeszcze kilka słów pocieszenia i wyekspedował go delikatnie za drzwi.

Rouletabille szedł jak pijany, Włodzimierz musiał go podtrzymywać. Nie daleko uszli gdy ich dogonił oficer sztabu generalnego

— Proszę pana! — powiedział. — Szukam pana wszędzie! Mam panu oddać list od panny Wilczków.

— Kiedy go panu dała? — wrzasnął.

— Wczoraj rano, przed odjazdem!

— I dopiero teraz go otrzymuję?

— Było to życzeniem, a nawet rozkazem

panny Wilczkow, bym wręczył panu list dopiero dzisiaj wieczorem.

Rouletabille rozerwał kopertę i przeczytał:

— Drogi Zo, żegnam cię na zawsze! Kochałam cię i ty wiedziałeś o tem.

---

**Candeur nie wąpi już, że Rouletabille oszalał.**

Ten krótki list wystarczył w zupełności, by w najdziwniejszy rozstrój pogrążyć Rouletabilla. Aż do chwili przeczytania tych dwu wierszy sądził on, że postępowanie Iwany w czasach ostatnich wywołane zostało rozpaczą z powodu tragicznej śmierci Kara Selima.

Wszakże właśnie od chwili tej śmierci objawiać zaczęła zupełne zubożenie do życia. Wszak w oczach jego szukała śmierci, wszak sama to powiedziała. Nagle natrafia się sposobność oddania przysługi ojczyźnie przed zniknięciem ze świata, a Iwana chwyta ją, może jeszcze dlatego, by się podnieść we własnej duszy, odnośnie do motywów tego postępowania.

Sprawa przedstawiała się w ten sposób reporterowi i chociaż tragiczna dlań, była jednak logiczna i zrozumiała.

Nagle pisze mu Iwana, że go kochała i że on o tem wiedział.

Kobieta idąca w grób, która ma przepaść

dla świata teraz w haremie Abdul Hamida, kobieta taka chyba nie kłamie!

Przeto Iwana go kocha! A więc pocóż ucieka i czemu rzuca się w śmierć? Skąd ta rozpacz? Skąd to szaleństwo?

Jak już wyjaśnił generałowi, nie zachodziła absolutna konieczność takiego poświęcenia, a cała ta awantura ze szpiegami... czyż warta aby przez nią marniała ich miłość?

Pozostawało jedno przypuszczenie. Oto miłość ich dotknął jakiś cios, stanęła pomiędzy nimi jakaś przeszkoda, której nie znał. Co to za przeszkoda? Kto stanął między nimi?

Tu było jądro całej sprawy i to objaśniać mogło rozpacz Iwany.

Pewny, że jest kochanym, Rouletabille zaczął znów trzeźwo rozumować. Przychodził zwolna do siebie, odzyskiwał swój „zdrowy rozsądek“. Ta pewność przywróciła mu bystrość umysłu, łatwość orientacyi, która mu dotychczas zapewniała stanowisko w świecie.

Wracając do domu, zaczynał się już po trochu orientować, macał niejako rękami w ciemnościach. Zamknął się na dwie godziny i siedział tak z twarzą ukrytą w dłoniach, starając się rozwiązać problem.

Tymczasem Candeur krążył dokoła niego jak pies wyrzucony kopnięciem z domu. Szedł za nim

do generała, towarzyszył w drodze powrotnej, ale nie zdradził niczem swej obecności. Patrzył weni tylko zdaleka, ale Rouletabille go nie widział wcale.

Włodzimierz, idąc na kolację, chciał go zabrać ze sobą. Candeur jednak odburknął tylko coś, potem poszedł i położył się pod drzwiami pokoju Rouletabilla na słomiance, wydając od czasu do czasu jęk, nie mający już w sobie nic ludzkiego.

Nagle z pokoju doleciał krzyk rozpaczny.

Candeur jednym pchnięciem wywalił drzwi i wpadł do środka.

Zastał Rouletabilla łamiącego ręce i wrywającego sobie włosy z głowy.

Przypadł i otoczył go ramieniem.

— Co ci to? Co ci to? — pytał.

— Kocha mnie! — jęczał Rouletabille, potem zaś zaczął płakać.

— Więc dlatego płaczesz? — uspokajał go Candeur. — Ależ to bardzo dobrze właśnie, że cię kocha! Niema czego płakać!

Rouletabille objął za szyję olbrzyma i położył mu głowę na ramieniu.

— Kocha mnie, ale jesteśmy na wieki rozdzieleni... rozumiesz... rozdzieleni przez jedną straszną rzecz... O biedna Iwano! Biedna! I ja mogłem ją obwiniać? Umrzeć! Umrzeć! Nie pozostaje mi już nic innego!

— Nie gadaj głupstw! Przestań! Powiedzże

mi po ludzku, rozsądnie, czemu nie możesz się z nią ożenić skoro się kochacie? Przecież małżeństwo z tym drabem jest nieważne i nie wchodzi w rachubę!

— Naturalnie, nie to jest przeszkodą... nie! Główną przeszkodą jest to właśnie, że ten jej mąż zginął!

— Jakże to? Nie możesz ożenić się z kobietą ukochaną dlatego, że jej mąż umarł? Nie rozumiem!

Nie mógł pojąć, złożył przeto Rouletabilla na fotelu, sam zaś poszedł, siadł na kanapie i zaczął szlochać głośno, był bowiem pewny, że reporter oszalał, czuł straszne wyrzuty sumienia i oskarżał się, że on to właśnie wszystkiemu winien.

— Moja wina! Moja wina! — mówił bijąc się potężnie w piersi.

Sam Rouletabille musiał go uspokajać.

— Ależ nie możemy tak siedzieć beczynnie! — zauważył wreszcie Candeur. — Musimy koniecznie coś przedsięwziąć!

— Nic się zrobić nie da! — oświadczył reporter. — Nawet gdyby tu Iwana w tej chwili była, nic by to nie zmieniło sytuacji... sam musiałbym jej zezwolić na odjazd!

— Biedaku!...

— Mój drogi Candeur...

Objęli się serdecznie.

W tej chwili rozległo się pukanie, wszedł tłumacz hotelowy i powiedział:

— Jakiś zakonnik chce pomówić z panem Candeuem.

— Zakonnik? Nie znam żadnego zakonnika!

— On powiada, że pana zna!

— A jakże się nazywa?

— Powiedział, że niema nazwiska ziemskiego, albowiem wszystkie swe aspiracje umieścił na tamtym świecie. Tak powiedział dosłownie.

— To niech wróci tu, gdy będzie miał nazwisko! Ja nie mam nic do roboty z duchami.

Ale w tej chwili drzwi uchyliły się zdaleka i ukazał się w nich zakonnik w wielkim kapiszynie na głowie. Suknia zakonna we fałdach spływała po jego ciele, różaniec wisiał u pasa.

Nagle kapiszon spadł a Candeur zawołał:

— Pan Priski! Pan Priski we własnej osobie!

— Pan Priski! Przychodzę, oddając się na pańskie usługi zarówno w tym, jak w tamtym świecie -- odparł Priski.

Candeur odrazu wpadł w złość.

— Wolałbym, by to nastąpiło w tamtym świecie. Mam wielką ochotę połamać panu kości. W ten sposób okupisz pan może swe łajdactwa!

— Przedewszystkiem racz pan odebrać swoje pieniądze! — powiedział Priski, podając mu zwitek banknotów.

— Bezcelność! — wrzasnął Candeur. — Przecież ja nie chciałem nigdy przyjąć od pana ni grosza!

— Taka wola pańska! — zgodził się szybko Priski chowając pieniądze do kieszeni. — Dam to biednym moim!

Rouletabille zbliżył się.

— Więc pan wstąpiłeś do klasztoru panie Priski? — zapytał.

— Tak proszę pana! — powiedział, cofając się o kilka kroków, gdyż nie spodziewał się widać zastać tu reportera. — Tak, wstąpiłem do klasztoru... było to zawsze mojem marzeniem...

— A do jakiegoż to klasztoru wstąpiłeś pan?

— Mam zamiar wstąpić w poczet braci solennych góry Athos.

— I pocóż wobec tego przybyłeś pan do Starej Zagory? Czy po to, by nam to oznajmić..

— Proszę pana.. — bąkał pan Priski — to zdaje się moja rzecz.

— Może i moja...

Rouletabille pociągnął go w głąb pokoju, zamknął drzwi, zaparł je sobą i dodał:

— Nie wyjdiesz pan stąd panie Priski, zanim nam nie wyjaśnisz swej obecności. Dyabeł jakiś stawia pana ciągle na naszej drodze, więc muszę z tem raz skończyć!



— Zareczam panu, że nigdy nie miałem zamiaru sprawiać panom przykrości...

— Dosyć tego! Gadaj pan! Inaczej żandarmerya generała Władysławowa uwięzi pana, potem zaś, zostaniesz rozstrzelany, jako turecki szpieg.

— A więc wyznam całą prawdę... jeśli panu tak na tem zależy... Jest to rzecz bardzo prosta! Rzeczywiście, pragnąłem zawsze wstąpić do klasztoru. Ale mnisi góry Athos żądają wkupu, czyli posagu, stąd moja żądza posiadania pieniędzy, toteż, gdy pan Kasbek, którego panowie znacie, zaproponował mi zarobek, zgodziłem się. Zarobek ten, pozwalał mi właśnie zapłacić wkup do klasztoru. Polecił mi oddać list. Zareczam, że nie wiedziałem, co list zawiera.

— A jednak wiedziałeś pan, że panna Wilczkow opuści mnie, przeczytawszy ten list?

— Powiedział mi to pan Kasbek. I tak się stało. Panna Wilczkow udała się do Starej Zagory, a stąd dalej.

— Pocóż pan tedy przybyłeś tutaj?

— Pan Kasbek dał mi połowę sumy z góry, drugą zaś połowę przyobiecał wypłacić, gdy panna Wilczkow wyjedzie. Przybył więc, aby się przekonać, że wyjechała.

— Podejmujesz pan więc teraz drugą połowę?

— Niezwłocznie...

— I wstąpisz do klasztoru?

— Naturalnie!

— Sumę tę podejmiesz pan w Dedeagaczu...  
prawda? — zawołał Rouletabille.

— Tak... ale skąd pan to wie? Mniejsza z tem.  
Spiesz się pan jednak, myślę, że pan Kasbek nie-  
długo zabawi w Dedeagaczu!

— A to dlaczego?

— Bo pan Kasbek czeka na pannę Wilczkow,  
nie na pana, ponieważ zaś panna Wilczkow już  
tam przybyła, więc może się zdarzyć, że oboje  
wyjadą, nie oglądając się na pańskie przybycie!

— Boże wielki! — wrzasnął mnich i rzucił  
się ku drzwiom.

— Panie Priski! — powiedział Rouletabille. —  
Jeśli pan chcesz, bym ci przebaczył to wszystko,  
coś mi zrobił, musisz mi oddać małą przysługę.

— Dobrze! Mów pan, mów pan!

— Pan umiesz oddawać listy pokryjomu.

— Zawsze to było poniekąd moim zawodem.

— Oddaj przeto mój list Iwanie Hanum.

— Z wielką ochotą, panie Rouletabille! —  
zawołał mnich. — Sprawa załatwiona! Może pan  
na mnie w zupełności liczyć.

— Więc zaczekaj pan chwilę...

Rouletabille zbliżył się do stołu i napisał  
szybko: „Najdroższa! Wszystko rozumiem. Wybacz  
mi. Twój Zo żegna cię na wieki. Nie przeżyje  
ciebie“.

Nagle usłyszał ryk straszliwy. To Candeur zawył ogromnym głosem, przeczytawszy poprzez ramię, co pisze.

— Rouletabille, Rouletabille! Ty chcesz śmierci! Rouletabille podał mu rękę i uściśnął serdecznie.

— Ano, zobaczymy, mój drogi, czy się umiera z miłości! — powiedział.

— Broń Boże, broń Boże! — zawołał nagle pan Priski. — Zaklinam pana, nie czyni pan nierozważnego! Religia zabrania! Religia!... Oo... niema nic ponadto, na tym doczesnym świecie!

— Więc tam dobrze, w tym waszym klasztorze, panie Priski? — zapytał Rouletabille, podając mu list.

— Na Boga! — krzyknął Candeur. — Czy zamierzasz wstąpić do klasztoru?

— Przewybornie! — zachwycał się Priski. — To istny, ziemski raj! Ogrody, pałace... Powiadam panom, czysty raj! A co za jedzenie! Oczywiście, gdyby klasztor przyjmował każdego obdartego, który chce zostać mnichem, nie długo by trwała jego wspaniałość, toteż trzeba mieć posag, zapłacić wkup.

— Więc nie będzie panu żal Karakule?! — powiedział Rouletabille.

— O, nigdy! — zapewniał Priski. — Kara Selim był hojny, ale czasem był brutalny i okru-

tny. Toteż go Pan Bóg pokarał. On, taki dumny, został teraz niewolnikiem Atanazego Kietewa.

— Kara Selim nie jest niczym niewolnikiem! — powiedział uroczyście Rouletabille. — On zginął!

— Zginął? Nie może być, widziałem go na własne oczy, nie dawniej, jak przedwczoraj.

— Co pan gada! — krzyknął reporter. — Kara Selim padł, w moich oczach, przeбитo przez Kietewa. Pan się myli!

— Nie, łaskawy panie, — zapewniał słodkim głosem Priski, — to pan się myli. Spotkałem pana Atanazego z małym orszakem. Wypytałem jednego z żołnierzy i dowiedziałem się, że on szuka wszędzie pana i panny Wilczkow. Z tyłu, przywiązany do konia, jechał Kara Selim, ubrany czarno i pokrwawiony. Ale żywy był, zamieniliśmy nawet kilka słów...

Rouletabille przyskoczył do mnicha i potrząsnął nim silnie.

— Jeśli panu miłe życie, powiedz pan prawdę! — zawołał ogromnym głosem.

— Na moje życie i to drugie, które mnie tam... — wskazał w niebo, — czeka, przysięgam, że Kara Selim był przedwczoraj żywy. Wiem też, dlaczego nie zginął. Oto, pod swoją czarną szatą, nosił zawsze pancerz, misternie splecionych łańcuchów stalowych. Sam mi to powiedział. Więcej

niczego się dowiedzieć nie zdołałem, gdyż z obawy, by nie wpaść w oczy panu Atanazemu, wziąłem nogi za pas.

Priski nie zdołał jeszcze skończyć, a już go Rouletabille objął ramionami i serdecznie przycisnął do piersi.

— Oddaj mi ten list, kochany, drogi Priski! Oddaj mi go!

— Oto jest! — rzekł Priski. — Ale czy nie może mi pan przypadkiem powiedzieć, gdzie mogę napewne spotkać hana Kasbeka?

— W Salonikach... Będzie tam niewątpliwie, będzie tam za dni parę. Ale teraz już żaden list niepotrzebny. Dlaczego zaś niepotrzebny, bo oto jedziemy razem do Salonik, ja, ty drogi Priski, Candeur i Włodzimierz... Będzie nam weselej razem! Jedziemy, jedziemy! W drogę! Candeur, Włodzimierzu! Pakować rzeczy... Chodźże tu, Candeur... dajże pyska... Oszaleję chyba z radości!

— Cóż to takiego, na miłość Boską? — dziwił się Candeur, otwierając usta na oścież.

— To znaczy, mój drogi, że nic nie jest jeszcze stracone, że istnieje możliwość mego połączenia się z Iwaną, ponieważ mąż jej żyje! Rozumiesz?

— Ja... oczywiście... to jest... Zresztą, wszystko jedno... byleś ty był zadowolony! — zgodził się Candeur.

Odwrócił głowę, westchnął i powiedział do siebie ponurym głosem:

— Jakaż szkoda tego człowieka! Boże, Boże!  
Jakiż to był umysł, co za talent..

---

### XIII.

#### **W drodze do Salonik.**

Podróżnicy nasi, wraz z panem Priskim, wyruszyli wieczorem w drogę. Dobry czas wybrali, wojska bowiem spoczywały po bardzo szybkich marszach pierwszych dni wojny i nadspodziewanie pospiesznych zwycięstwach na wszystkich punktach frontu. To bardzo ułatwiało podróż, bo nie było przemarszów, a list generała-majora Władysława sprawił, że w ciągu kilku godzin stanęli w Demotice. Nie mogli stąd jechać pociągiem do Dedea-gaczu, gdyż brzegi Maricy zajęte były przez wojska tureckie, ściągnięte z całej Macedonii, które miały przejść południową Trację i połączyć się pod Rodosto z armią główną, która przegrupowała się już na linii Czerlu-Burgas-Serai.

Wyjazd nastąpił tak szybko, że Rouletabille nie miał czasu zatelegrafować do „Epoki” po pieniądze. Oddał tylko pakiet z korespondencją na pocztę i ruszyli w drogę.

Byli tedy prawie bez grosza, a jedynym ratunkiem była im tylko sakiewka pana Priskiego, który nie mógł chyba odmówić zaliczki na kosztą podróży.

W Demotice próbowali kupić sobie w sposób uczciwy konie, ale nikt nie chciał sprzedać, ku wielkiej radości pobożnego mnicha.

W tych warunkach, Rouletabille musiał ją się rekwizycyi i polecił Tondorowi i Włodzimierzowi, którzy nie mieli skrupułów, wystarać się o wierzchowce. Niebawem przyprowadzili pięć wspaniałych koni. Zabrali je poprostu z podwórza jakiegoś starego zamku bułgarskiego, gdzie się pasły spokojnie, podczas kiedy mały patrol wojskowy obsiadł kocioł pełen jada i pożywiał się przy dźwiękach bałabajki.

Konie były posiadłane, skoczyli tedy na nie i ruszyli galopem. Zatrzymali się aż po godzinie, w miejscu, gdzie im nietylę już groził pościg bułgarski, co spotkanie przednich straży tureckich.

Rouletabille ukrył teraz głęboko w kieszeni list generała, a wy dobył ściągnięty w Kirkilissie przez Włodzimierza papier z nagłówkiem generalnego sztabu tureckiego i pieczęcią Mukmara Paszy. Zabezpieczywszy się w ten sposób dali koniom wythnać.

Rouletabille dowiedział się w drodze wiele od pana Priskiego. Zależało mu na szczegółach, gdyż zbliżali się do Salonik, gdzie mieszkał zdetronizowany Abdul Hamid. Wypytywał też o Kasbeka i jego stosunek do nowego rządu tureckiego. Kasbek był rodzajem pośrednika pomiędzy Abdul Ha-



midem a rządem tureckim i pozycja jego z tego powodu była silnie ugruntowaną. Zdradzał Abdul Hamida rządowi, a rząd byłemu władcy, który marzył o powrocie na tron przy sposobności zamieszek wojennych.

Pan Priski opowiedział przy tej sposobności kilka faktów, świadczących o okrucieństwie starego władcy. Wpadłszy raz w pasyę bez żadnego powodu, kazał zawołać ulubioną swą odaliskę, Czerkieską cudnej urody i zastrzelił ją z rewolweru. Innym razem, dziecko małe, w charemie, dotknęło rewolweru, leżącego obok niego na poduszce. Zastrzelił to dziecko natychmiast, twierdząc, że chciało go uśmiercić.

— Wogóle, Abdul Hamid nie odznacza się wysoką kulturą, jest złośliwy, podejrzliwy, niesłychanie skąpy i cierpi na manię prześladowczą. Zapomina łatwo o wszystkim tylko nie o sobie. Przez cały dzień spaceruje po ogrodach willi Al-latini, przeznaczonej mu na mieszkanie, paląc wonne, specjalnie dla niego robione papierosy. W przerwach naradza się z kuchmistrem nad doborem potraw. Jest wprawdzie pilnie strzeżony przez nowy rząd, ale mu na niczem nie zbywa i bajką jest to wierutną, jakoby go męczono i głodzono.

Opowiadanie pana Priskiego zostało nagle przerwane salwą karabinową.

Kilka kul świsnęło koło uszu jadących, którzy wydobyli natychmiast chustki i powiewając nimi, zaczęli wołać.

— Francis! Francis!

Otoczył ich po chwili oddział przednich straży tureckich, ale ponieważ wylegitymowali się jako reporterowie francuscy, przydzieleni do sztabu generalnego Muktara Paszy, którzy cofali się właśnie z pod Kirkilissy, przeto doznali wcale uprzejmego przyjęcia i odesłano ich do kaszefa. Ten odesłał ich znów do kaimakana, który ich odesłał z dodaniem eskorty do Dedeagaczu, gdzie właśnie zdążali.

Tutaj było nagromadzonych mnóstwo wojsk i tędy miała przebiegać nowa linia obronna. Należało się spieszyć, gdyż zachodziła obawa odcięcia od Konstantynopola, wobec krążących pogłoszek, że widziano już pod Rodosto oddziały konnicy nieprzyjacielskiej. Teren walki zmieniał się zresztą i zacieśniał ustawicznie, skutkiem niesłychanie szybkiego pochodu wojsk bułgarskich.

Prędko załatwili się w Dedeagaczu. Rozbiegli się po mieście szukać Iwany i Kasbeka i niebawem mieli pewność zupełną, że oboje dnia poprzedniego wyjechali z „Hotelu Egejskiego“, w kierunku Salonik, ze świtą, złożoną z kilku kawalerzystów albańskich. Pojechali konno, bo kolej zapchana była transportami wojsk. Rouletabille nie

mógł marzyć o dopędzeniu Kasbeka w drodze. Przedewszystkiem wyruszył 36 godzin po nim, powtórę zaś reporterom groziło co krok aresztowanie, śledztwo, meldunki itp. rzeczy. Tymczasem Kasbek najspokojniej zbliżał się z Iwaną do charemu w willi Allatini.

W porcie nie zdołał reporter znaleźć najędzniejszego nawet statku, któryby chciał, z uwagi na patrole floty greckiej, podjąć się drogi morzem, do Salonik.

Rouletabille wściekał się z niecierpliwości.

Nagle zwrócił się do Candoura.

— Dawaj prędko konie!

— Dokąd jedziemy? — pytał olbrzym.

— Do Konstantynopola!

— Jakto? Przecież to wręcz przeciwny kierunek?

— Mój drogi, — tłumaczył mu szybko po drodze. — Ponieważ nie możemy dojechać do Iwany, przeto Iwana wyjedzie naprzeciw nam.

— Do Konstantynopola?

— Tak jest.

— Oszalałeś?

— Nie! Posłuchaj! Iwana jedzie z Kasbkiem, Kasbek jedzie do Abdul Hamida. Sprowadzę tedy Abdul Hamida do Konstantynopola, a Kasbek z Iwaną przybędą tam niezwłocznie.

— Wyśmienicie! Ale jakże sprowadzisz Abdul Hamida?

— Oczywiście, wsadzi się go na okręt obcy, angielski lub niemiecki, który nie będzie miał powodów bać się patrolów floty greckiej.

— Mój drogi, pozwól sobie powiedzieć, nie leży w interesie rządu sprowadzać teraz do stolicy dawnego władcy, gdzie ma wielu zwolenników.

— Tak jest, ale jeszcze niebezpieczniej zostawić go zdala od władz centralnych, blisko teatru wojny, gdzie może zostać obwołany przy sposobnej chwili sułtanem.

— Rząd zdaje sobie z tego sprawę i nie byłby chyba czekał na Rouletabilla, by tenże przewiózł byłego władcę przez Bosfor. Oni nie ruszą go z Salonik, dopóki będą panami południowej linii obronnej.

— To samo myślę. Tedy należy spieszyć do Konstantynopola i uprzedzić rząd, żeby nie pozostawiał Abdul Hamida w Salonikach, gdyż bitwa pod Kargas może wypaść źle, więc w interesie Machometa V., leży, mieć pod ręką swego poprzednika, gdyby jego zwolennicy mieli podnieść głowę.

— Czyż cię posłuchają?

— Tak jest!

— Skądże ta pewność?

— Powiem im, że istnieje spisek mający na celu reintronizację Abdul Hamida.

— Powiesz, ale gdzie dowody?

— Mam je w kieszeni! Dam szereg nazwisk spiskowców, którzy chcą proklamować go w Salonikach. Zobaczysz, że w jednej chwili Abdul Hamid znajdzie się w Konstantynopolu, będzie to kwestya nie dni, ale godzin, może nawet minut. Ale my, naturalnie, także nie możemy stracić ni chwili.

— Rouletabille! Ty nie zrobisz tego, ty nie zadenuncyjesz tych ludzi.

— Oto Tondor i Włodzimierz! zawołał Rouletabille, gdzież jest Priski.

— Stara się dostać przepustkę do Salonik. Rozdaje pieniądze, ale daremnie.

— Gdzie konie?

— W hotelu „Egejskim“!

— Przyrowadź je. Włodzimierzu, pobiegnij zawizować nasze papiery u Ali beja i powiedz mu, że, stosownie do jego życzenia, udamy się do Konstantynopola.

— Doskonale! Uwiadomię też pana Priskiego.

— Nie czyn tego! Priski nam niepotrzebny w Konstantynopolu.

— No, a jego koń?

— Zabierz go razem z naszymi. Przyda nam się, zawsze, co pięć koni, to nie cztery. Poprowa-

dzi go Tondor, Spieszcie się, za kwadrans musimy opuścić Dedeagacz.

Pobiegli, a Rouletabille zwrócił się do Candoura, który miał minę dziwną.

— Biegnij na telegraf i daj depezę do „Epoki“, że wyjeżdżamy do Konstantynopola. Ale, cóż ci to? Cóż za mina?

— Nie błaguj, Rouletabille, ty tego nie uczynisz? Prawda? To byłoby paskudnie. Przytem nie znasz nazwisk spiskowców!

— Znam, mój drogi, a nawet znam ich adresy i cały plan.

— Skąd je masz?

— Sam Gawłow mi je dostarczył. On sam należy do spiskowców! Spisał wszystko ślicznie w małym notesiku, który zgubił w Sofii tej nocy, kiedy wymordował generała Wilczkova i jego służbę. Teraz wiesz... co? Czy ci się to jeszcze wydaje błagą?

— Rouletabille! — zawołał Candeur. — Ależ tych ludzi przyaresztują...

— Oczywiście! I przy tej sposobności znajdą się dowody spisku!

— Więc ich powieszają...

— Spodziewam się! Ale Iwana zostanie ocaloną!

— To prawda, to prawda!... Ale...

— Co „ale...“ Więc wolisz, bym wstąpił do klasztoru? Co? Albo, bym się zastrzelił?

— Ach!...

— No, więc przestań lamentować i biegnij do urzędu telegraficznego.

— Candeur poszedł, ale w drodze nie mógł się powstrzymać, by nie przeklinać losu, który na drodze Rouletabilla postawił Iwanę.

W pół godziny potem, wszyscy czterej pędzili gościńcem do Konstantynopola. W okolicach Rodosto natknęli się na oddział kawaleryi bułgarskiej. Nic nie pomogły wybiegi, zostali otoczeni i przeprowadzeni do stacyi straży przednich w Hejarboli, gdzie Rouletabille pokazał oficerowi papiery, naturalnie bułgarskie, w pierwszej linii list generał-majora Władysławowa.

---

## XIV.

### **Ruletka.**

Przybyli o zmroku do Hajorboli, małej wioski, zajętej przez oddział straży przedniej. Przyjęto ich bardzo życzliwie skutkiem listu głównodowodzącego generała i nakarmiono ich, czego bardzo potrzebowali. Dostali też osobny pokój. Rouletabille był nawet dosyć zadowolony, bo przecież bez odpoczynku ani sami, ani konie, byliby nie mogli odbyć tej dalekiej podróży. Włodzimierz i Candeur, zabrali się do otrzymanych prowiantów i zaczęli gotować wyśmienitą zupę; Tondor zajął się końmi.

Rouletabille wyszedł rozejrzeć się po okolicy, gdyż chciał w nocy po cichu przemknąć się przez linię placówek bułgarskich i ruszyć dalej. Mimo podwójnych dokumentów, sprawa nie była łatwą, należało więc zachować ostrożność.

Pochodził po podwórku domu, gdzie oddział wojska spożywał wieczerzę i podszedł do Tondora, przykazując mu nie wprowadzać koni w obejście, ale przywiązać je w miejscu niewidocznym, do drzew. Wokół były wąwozy, ciągnące



się przez puste rozłogi pól. Rouletabille spędził godzinkę na tem badaniu terenu. Wracał właśnie, idąc wzdłuż muru otaczającego podwórze, gdy nagle natknął się na dwóch oficerów. Z ust jednego z nich padło w tejże chwili nazwisko... Atanazego Kietewa.

— Rouletabille przystąpił do nich i spytał po francusku :

— Panowie wspomnieli nazwisko, znane mi dobrze. Co panowie wiedzą, jeśli wolno spytać, o Atanazym Kietewie.

— Atanazy Kietew szuka pana wszędzie!

— Szuka?! — wykrzyknął Rouletabille.

— Naturalnie. Pan jesteś zapewne reporter Rouletabille, a w towarzystwie pańskim znajdując się ma, jak nam mówił, panna Iwana Wilczkow, bratanica generała Wilczkowa, zamordowanego w przededniu wybuchu wojny.

— Tak jest! Wszystko w porządku! Panny Wilczkow narazie niema z nami, ale opuściła nas niedawno.

— Powiedziano Kietewowi, że biła się w pierwszych szeregach, pod Demirkapu...

— To prawda, widziałem to sam...

— I od tej pory ciągle znajduje się w pierwszych szeregach walecznej armii. Tak powiedziano, przeto Kietew szuka jej po całym froncie naszych wojsk. Ucieszy się bardzo, gdyż pan poda mu

zapewne wiadomość, gdzie się teraz znajduje. Niezadługo przyjedzie z powrotem.

— Z powrotem?

— Tak. Wyjechał tylko do Baba Eski i powróci o świcie.

— Czy to zupełnie pewne?

— Oczywiście, proszę pana. Zostawił nam nawet swego jeńca.

— Co? — powiedział reporter, starając się całą mocą ukryć wzruszenie, jakiego doznał. — Cóż to za jeńiec?

— Jest to jeńiec, na którym mu widać bardzo zależy, gdyż go nie spuszcza z oka. Zresztą może go pan zobaczyć!

Podprowadził Rouletabilla pod małe, silnie okratowane okienko.

— Spojrz pan!

Rouletabille ujrzał niewielką izbę. W kącie jej, ze związanymi rękami i nogami, siedział na ławce Gawłow, a dwu strażników pilnowało go z prawej i lewej strony. Drzwi były otwarte, a tuż pod nimi ujrzał reporter grupę żołnierzy, grających przy świetle ogniska w kości, ulubioną grę narodową, ludów bałkańskich

Rouletabille obrócił się i rzekł;

— Znam go dobrze! To ów słynny Gawłow, dawny władca Karakule. Rozumiem teraz dlaczego, Atanazemu Kietewowi zależy tak na tym jeńcu.

— Nie byłby go też opuścił, ale wezwany został do Baba Eski przez komendanta pierwszej brygady kawaleryi generała Sawowa.

— Dziękuję panom za informacye! — powiedział Rouletabille. — Przepraszam bardzo, ale idę coś przegryść.

— Smacznego! — odpowiedzieli obaj.

Wszedł w obręb podwórza i spostrzegł z radością, że izba, gdzie mieścił się jeniec, przytykała do stancyi, oddanej im do użytku.

W chwili, gdy otwierał drzwi, usłyszał wyraźnie wymówione, metalicznym głosem Włodzimierza, słowa:

— 36 rouge pair et passe!

— A to co? — zawołał Rouletabille. — Zupełnie, jak w Monte Carlo?

Wszedł do środka.

Na stole stała gotowa zupa, z której ulatywał wonny słup pary, a tuż obok, siedzieli Włodzimierz i Candeur. Gdy wszedł, Candeur odwrócił szybko kartę geograficzną, Włodzimierz zaś patrzył bardzo pilnie na swój zegarek.

— Znowu powtarzacie dawne głupstwa! — powiedział, śmiejąc się. \*) Był tego wieczoru w doskonałem usposobieniu. — Znowu te same hece z kartą geograficzną i zegarkiem.

\*) Patrz „Czarny Zamek“.

Zbliżył się i nagle podniósł kartę.

Cofnął się olśniony. Na stole leżała spora kupka złotych i srebrnych monet. Winowajcy stali jak posagi, nie wiedząc co czynić.

Spojrzał na kartę. Była podzielona na 36 numerowanych pól.

— Więc gracie w ruletę?

— Konfiskujesz nam karty, więc jakże mamy grać?

— Pokaż no ten zegarek, Włodzimierzu! — powiedział reporter.

Włodzimierz musiał podać zegarek, a Rouletabille przekonał się, że zegarek ten nie wskazywał godzin, ale posiadał pręcik kręcący się na osi, który przebiegał przez 36 pól, a zatrzymywał się za naciśnięciem uszka. Igła obracała się tak szybko, że nie można było przewidzieć na którym z pól się zatrzyma.

— Acha! Teraz rozumiem wasze zamięłowanie do geografii, które mnie tak dziwiło jeszcze czasu pobytu w Karakule, a także ciekawość Włodzimierza, który ciągle patrzył która jest godzina.

— Czy dawno masz ten zegarek? — spytał, chowając go do kamizelki.

— Proszę pana! Na zegarku tym zależy mi bardzo. Otrzymałem go od osoby, która mi jest drogą...

— Od księżniczki?

— Właśnie od niej. Był to jej pierwszy upominek. Miałem wyjeżdżać do Tomsku, gdzie trzeba było czekać wraz z innymi reporterami na automobile, przedsiębiorce podróż światową Paryż-Pekin. Pocziwa księżniczka obawiała się, że się będę nudził i podarowała mi tę ruletkę w zegarku, która mi zawsze przynosi szczęście. Przez całą drogę grałem. Ile razy pękła guma, zapraszałem towarzyszy podróży, siadaliśmy na gościńcu i ciągnęliśmy bank, podczas gdy szoferzy pocili się nad naprawą. Trafiały się gumy, które mi przynosiły sto franków, inne dwieście, na niektórych traciłem... bo, naturalnie, trzeba było czasem przegrać. Ale biorąc przeciętnie guma na gumę tak wypadło, że po powrocie do Paryża mogłem sobie kupić automobil.

— Winszuję...

— Zrozumie pan przeto, że zegarek, z którym związanych jest tyle wspomnień...

— Tak, rozumiem... — odparł. — A te pieniądze? Jest tego przynajmniej na tysiąc franków. — Tu schował pieniądze do kieszeni. — Skądże wy macie te pieniądze? Sądziłem, że jesteście obaj bez grosza!

— Proszę pała, — powiedział Włodzimierz, pod wpływem spojrzenia reportera, — to są pieniądze od pana Priskiego.

— Jakto? Przecie nie przyjęliście tych pieniędzy.

— Przepraszam! — rzekł Candeur. To ja nie przyjąłem pieniędzy!

— A ja przyjąłem, — dodał pospiesznie Włodzimierz, — ale odrzuciłem potem propozycję dopełnienia zlecenia.

— O, Włodzimierzu, jesteś uczciwym człowiekiem! — powiedział Rouletabille. — Zauważyłem to już kilka razy! No, mniejsza z tem, siadajmy do jedzenia!

— Proszę pana! — powiedział ponurym głosem Włodzimierz. — Zależy mi bardzo na moim zegarku, jak także na tych pieniądzech!

— To nie twoje pieniądze, to pieniądze Priskiego, — odparł. — Przecież nie dopełniłeś zlecenia.

— To przemawia za nim Rouletabille, — wstał się Candeur, — proszę cię nie oddaj ich Priskiemu!

— Ani mi się śni. Mam myśl, obrócę je na cel inny!

— Cóż takiego?

— Powiem wam po jedzeniu.

Jedli w dosyć ponurym nastroju, chociaż Rouletabille był bardzo wesoły.

Gdy skończyli, powiedział:

— Zwróć wam te pieniądze!

— Ach! — zawołali z uciechą.

— Ale pod warunkiem, że uczynicie dosłownie to, co powiem.

— Licz na nas!

— Będziecie grali temi pieniędzmi.

— Doskonale!

— I przegracie je...

— Czyż to konieczne? — spytał Włodzimierz ze smutkiem w głosie.

— Niezbędne!

— A do kogo mamy je przegrać?

— Uprzątnijcie stół i urządzcie tu swą ruletę. Zaczniecie grać, wykrzykując głośno stawki, by usłyszeli żołnierze, grający tu obok, w kości. Można też uchylić drzwi, niby z powodu zaduchu.

Gdy to przywabi żołnierzy, dacie im wygrać!

— Wszystko?

— Gdybyście ich ograli z wszystkich pieniędzy, jakie posiadają, odeszliby rychło i nie zajmowali się wami. Tu idzie o przytrzymanie ich przy grze jaknajdłużej, gdy będziecie przegrywać, rozochocą się na dobre.

— Rozumiem! — powiedział Candeur.

— Ale tysiąc franków! — jęknął Włodzimierz.

— Jest to bardzo mało, gdy idzie o rzecz, jaką mam na myśli. Chcę wyswobodzić pewnego

jeńca, który znajduje się tuż obok mnie, w sąsiedniej izbie.

— Cóż to za jeńiec? — spytał Candeur.

— To poprostu Gawłow, moi panowie!

— Gawłow?

— Jeńiec Atanazego!

— Mąż Iwany!

— Jakto, chcesz wyzwalać człowieka, który pomordował rodzinę twojej ukochanej?

— Poświęcając na to moje tysiąc franków?

Zapadło milczenie. Rouletabille spoglądał po nich, potem wziął nóż ze stołu i skierował się ku wyjściu.

— Dobrze, uwolnię go sam!

— Stój, stój! — zawołał Candeur.

Skoczył i zastąpił mu drogę,

— No, i cóż? — spytał reporter.

— Uczynimy, co chcesz!

— Ciężka to rzecz! — powiedział Włodzimierz ponuro. — Ale z chwilą, gdy pan żąda, nie należy się wachać, bo musi pan wiedzieć dobrze, o co idzie.

— Idzie o szczęście mego życia! — zawołał.

— Jeśli do tego szczęścia potrzebnem jest wyswobodzenie męża, twojej ukochanej, z niewoli, jeśli ma cię to doprowadzić do małżeństwa z nią, to, u licha, wyswobodźmy go! Ale kiep jestem, jeśli rozumiem choć odrobinę, z tego wszystkiego! — powiedział Candeur.



— Wyjaśnię ci to później! Weź ten nóż i chodź ze mną;

Poszli razem i znaleźli się za domem.

Rouletabille pokazał Candeurowi okienko, a Candeur rozpoznał Gawłowa.

— Siedzi tuż pod oknem. Wystarczy wsadzić rękę i pchnąć go nożem w piersi. Skończyłaby się cała awantura.

— Nie czyn tego, Candeur, proszę cię!

— Więc ten drab, jest teraz twoim przyjacielem?

— Przysięgnij, że go nje tkniesz.

— No, dobrze już! Cóż mam robić?

— Zacznesz grać z Włodzimierzem, aż się zbiegną żołnierze. Potem wmieszam się ja, a ty wyjdiesz. Potem, gdy się strażnicy oddalą, zwrócisz na siebie uwagę więźnia. Pokażesz mu nóż i dasz na migi znak, że chcesz rozciąć jego więzy. Zrazu będzie się dziwił, ale wnet poda ci związane ręce. Rozetniesz postronki i dasz mu nóż, którym już sam oswobodzi nogi, tak, by mógł uciec tym okienkiem.

— Ale jest krata! — zauważył Candeur.

— Bałwan jesteś! Gdyby nie było kraty, nie potrzebowałbym twej pomocy! Ty ją musisz wyłamać. Ale zrób to jaknajciszej.

Candeur pochwycił kratę w swoją łapę i zaczął ciągnąć ku sobie.

— Czuję, że się poddaje! — powiedział.

— No, to dobrze! Zostawiam cię. Za kwadrans ma być gotowe! W tym momencie, ja wykrzyknę tak, byś mnie słyszał:

— *36, para, czerwone, pas!* — to będzie znaczyło, że żołnierze są bardzo zajęci grą i że możesz działać z całą pewnością siebie. Pomożesz jeńcowi wyjść oknem, zaprowadzisz go pod drzewa do konia, którego każę Tondorowi osiodłać niezwłocznie. Właśnie, mamy jednego więcej. Doskonale się składa!

— A co potem?

— Potem, gdy ten człowiek pojedzie, wrócisz najspokojniej do izby i przyłączysz się do partyi. Reszta cię nie obchodzi!

— Rozumiem! Ale nie rozumiem nic a nic! — przyznał Candeur.

— Pamiętaj! *36, para, czerwone, pas!*

— Już wiem, już wiem!

Rouletabille poszedł do Tondora, który zaraz osiodłał wszystkie konie dla pewności i wrócił do Candaura. Olbrzym zdążył już uporać się z kratą i uczynił to tak cicho, że nie spostrzegli tej manipulacji ani żołnierze, ani nawet jeńiec. Wrócili razem do domu.

W izbie, Włodzimierz przygotował tymczasem wszystko. Gdy weszli, zaproponował im partryę. Rouletabille wydał wesoły okrzyk, rzucił wszyst-

kie pieniądze na stół i oświadczył, że trzyma bank.

Przybiegli natychmiast żołnierze, a nawet dwaj strażnicy ukazali się w progu. Zaczęła się gra. W ciągu pięciu minut, bank tracił ciągle. Każdy numer obstawiony, nakrywał Rouletabile złotymi monetami i tracił. Podoficerowie, zachęteni tem, zaryzykowali parę lewów i... wygrali. Według umowy, oddalił się Candeur, a miejsce jego zajął oficer. Wygrał odrazu. Dokoła stołu uczynił się w jednej chwili scisk, a dwaj strażnicy weszli do stancyi. Po chwili zapatrzyli się na grę i znaleźli się w pierwszym rzędzie gapiów. Rouletabile dał znak Włodzimierzowi, by obstawił numer 36 i wykrzyknął bardzo głośno:

— 36, para, czerwone, pas!

Bank przegrał!... Oficerowie i podoficerowie zaczęli klaskać w dłonie, Włodzimierz i żołnierze wtórowali im.

Rouletabile polecił Włodzimierzowi objąć bank, ale zatrzymał w rękę ruletkowy zegarek i sam wygłaszał numera, które powtarzali po bułgarsku oficerowie. Oczywiście, przy tej metodzie, wszystko złoto Włodzimierza, znalazło się niebawem w ich kieszeniach. Radość panowała w stancyi ogólna, żołnierze, chociaż w grze udziału nie brali, nie posiadali się z uciechy.

Niedługo wrócił Candeur i nieznacznie skinął

głową na znak, że sprawa skończona. W ostatniej stawce uporał się z resztą pieniędzy biednego Włodzimierza i wstał.

— To kiepski interes trzymać bank! — zauważył któryś z oficerów.

— To zależy! — odrzekł Candeur. — Czajem na jeden numer bank ściąga wszystko, co jest na stole.

— A więc obejmij pan bank! — odparł oficer.

Ale w tej chwili przybiegł Tondor, wołając:

— Panie, panie! skradziono nam konia!

— Jako?! — krzyknął Rouletabille. — konia? Więc nie dość że nas ogrywają, jeszcze kradną nam konie!

— Zobaczmy! Nie krzyczcie panowie! — powiedział oficer.

— Konie, nasze konie! — desperował Włodzimierz.

Wszyscy wybiegli za Tondorem, który udzielał objaśnień. Powiedział, że się zdrzemnął, a nie spał ani pięciu minut i to wystarczyło, by skradziono najlepszego z pięciu koni.

— Rzeczywiście, moi panowie! — mówił Rouletabille. — Widzieliście wszyscy, że mieliśmy pięć koni. Poskarżę się generałowi!

— Proszę pana, prosił oficer, — niechże pan da spokój. Zaraz zarządę śledztwo i ręczę, że znajdę konia pańskiego. Przysięgam!

Nagle usłyszano przeraźliwe wrzaski strażników!

— Jeniec, jeniec!

Oficer skoczył.

— Cóż z tym jeńcem?

Zbiegli się żołnierze, pokazywali wyrwaną kratę i tłumaczyli, że korzystając z tego, że strażnicy odeszli, jeniec wyrwał kratę i uciekł. Oficer przybiegł do Rouletabilla.

— Wie pan, kto skradł pańskiego konia? Oto jeniec Atanazego Kietewa. Uciekł przez okno i wskoczył na pierwszego napotkanego wierzchowca.

— Nędznik! Drab! — wołał Rouletabille. — A w jakimże kierunku pojechał?

— Niewątpliwie, w kierunku Konstantynopola! Zdaje się, że miał już dość Bułgarów. Ale cóż ja powiem Atanazemu Kietewowi? Nie mogę go nawet ścigać. Mam wyraźny rozkaz, nie ruszać się z miejsca.

— Panie! — zawołał Rouletabille. — Nie martw się pan! Pochwycimy pańskiego jeńca i oddamy go panu! Wsiadać, Candeur! Wsiadać wszyscy! Galopem!

---

**Jazda nocna.**

Rouletabille wskoczył na swego konia i popędził galopem, a za nim Tondor i Włodzimierz. Lecieli tak ze dwa kilometry, zanim reporter spostrzegł, że Candoura niema przy nich. Pędzili za Gawłowem z taką szybkością, że Włodzimierz nie mógł się powstrzymać od pytania :

— Czy pan go chce rzeczywiście schwytać ?

— Naturalnie! — odparł Rouletabille. — Musimy tylko zaczekać pięć minut na Candoura. Gdzie ten osioł został ?

Zatrzymał się i spojrzął za siebie. Ale nie mógł wysiedzieć na siodle, kręcił się, jak na rozżarzonych węglach.

Wreszcie rozległ się tętent i na równi zatopionej w półcień nocy niezbyt czarnej, zarysowała się sylwetka jeźdźca. Ziemia pod nim dudniła, cień wzrastał, aż dopadł ich olbrzym, wyrażając radość, że się nie rozminął z towarzyszami.

Chciał wyjaśnić przyczynę spóźnienia, ale Rouletabille nie dał mu przyjść do słowa.

— W drogę! W drogę!

Poleciał, jak wiatr.

— Poczóż my tak pędzimy? — zapytał Candeur Włodzimierza.

— Bo ja wiem? — oswobodził męża swej narzeczonej, a teraz go łapie. Sam mi to powiedział!

Nagle Rouletabille zatrzymał się na rozstaju. Przyszło mu na myśl, że możnaby zbadać według śladów któredy pojechał Gawłow, ale to badanie zabrałoby dużo drogiego czasu, rozkazał tedy:

— Candeur! — zmarnowaliśmy przez ciebie dużo czasu. Musisz to naprawić. Pędź tą drogą na lewo z Tondorem, ja jadę w prawo. Spotkać się musimy w Czorlu, które leży na naszej drodze. Punkt zborny przy linii kolejowej. Staraj się unikać oddziałów tureckich. Zresztą tu dosyć pusto.

— Więc naprawdę chwytny Gawłowa?

— Tak. Proszę cię, staraj się go schwytać koniecznie! Uczynić co w twojej mocy!

— A gdy schwytny?

— Zastrzel, jak psa, zabij, jak jadowitą gadzinę tego rozbójnika!

— Czyś oszalał? — Wszakże kazałeś mi przysięgać, że go nie tknę!

— Teraz proszę cię i zaklinam, jeśli mnie kochasz, zabij go!

— Słuchaj! Słuchaj!...

Candeur wołał, ale Rouletabille, nie czekając

dalszego ciągu, pomknął z Włodzimierzem, drogą, w prawo.

Candeur musiał ruszyć tedy na lewo.

Pod samem Czorlu zatrzymali się. Nie spotkali Gawłowa, chociaż byli już blisko linii kolejowej, w miejscu, dziś opuszczonem, gdzie stykały się trzy linie. Z oddali dolatywały nawoływania placówek tureckich. Od strony Sarai migąła biała smuga reflektora, przeszukującego teren. Teren ten, położony pomiędzy Bunarhissar, Burgas, Sarai i Czorlu miał się stać za czas krótki widownią straszliwej czterodniowej bitwy, która zadecydowała o losach Turcyi europejskiej.

Rouletabille i Włodzimierz zsiadli z koni i skryli się za przydrożnymi krzakami, z poza których obserwować mogli gościniec na znacznej przestrzeni.

— Jeśli Candeur nie złapie Gawłowa, to znaczy, że raz jeszcze udało mu się zemknąć! Ale idzie mi teraz o co innego. Pragnę, Włodzimierzu, abyś nigdy nikomu nie w spominał, w jakich warunkach odbyła się ucieczka Gawłowa. Mogę liczyć na ciebie?

— Z całą pewnością, proszę pana! — odparł. — Przedewszystkiem, nie sprawia mi zaszczytu cała ta przegrana, a powtóre nie wyniosłem z tej afery żadnych przyjemnych wspomnień.

— Radbym, by Candeur wrócił! — powie-



dział reporter. — Moglibyśmy w ciągu nocy posunąć się jeszcze ku południowi i wyminąć posterunki. Jutro przybylibyśmy na Czataldżę do Konstantynopola.

— Cóż tam będziemy robili?

— Odbiorę tam listy! — odrzekł wymijająco reporter. — Potem wrócimy popatrzeć na bitwę, która się tu odbędzie, prawdopodobnie.

— Słyszę galop! — powiedział Włodzimierz.

— Dwa konie idą! — poprawił reporter. —

To oni!

W dwie minuty później przybyli Tondor i Candeur. Reporter i Włodzimierz siedzieli już na koniach.

— Nie złapaliście? — spytał Rouletabille.

— Widzieliśmy go? — odpowiedział Candeur, bardzo zasapany.

— No i cóż?

— Opowiem ci potem. Stała się rzecz straszna! Uciekajmy!

— Nie zabiłeś go?

— Nie, ale zabiłem innego!

— Kogo?

— Atanazego Kietewa... Ale mówię ci, uciekajmy!

— Co? — wrzasnął Rouletabille, podskakując w siodle. — Zabiłeś Atanazego?

— No, tak! To rzecz okropna!

— Ale jakże się to stało?

— Powiadam. . . powiem ci później. Teraz uciekajmy, co tchu. Nie uspokoję się, aż będziemy pośród wojsk tureckich. Zrozum, że zabiłem ofi-cera bułgarskiego! Uciekajmy!

— Tak! Uciekajmy! To rzeczywiście straszna rzecz!

— Przedewszystkiem niezwykła!

I rzucili konie w szalony galop. Zwolnili dopiero biegu, gdy w dali dostrzegli na tle nieba czarne sylwetki gór Czataldży. Wówczas Rouletabille zwrócił się do Candoura!

— Opowiadaj! Prędko! Spotkałeś Kietewa i wziąłeś go za Gawłowa?

— Nie! O, to rzecz dużo dziwniejsza! Zareczam ci, że jeśli to dłużej potrwa, to ja także zwaryuję.

— Nie gadaj głupstw!

— Pędzimy drogą z Tondorem i mówimy sobie właśnie, że, albo wy, albo my napewne, dopędzimy Gawłowa, bo Tondor dał mu najgorszego konia, gdy nagle spostrzegamy w dali sylwetkę jego samego. Jedzie galopem, ale my sadzimy za nim i nie ulega kwestyi, że zaczynamy się zbliżać. Gawłow obrócił się kilka razy. Zwalnia. Dopędzamy. Nagle słyszymy za sobą szalony galop. Obracamy się, a, że noc stała się zupełnie jasną, poznajemy obaj Atanazego Kietewa. Leci, jak pio-

run. Zapewne, musiał się dowiedzieć w Hajorboli, co się stało, myślimy sobie i goni jeńca razem z nami.

Wołam do niego przeto :

— Mamy go ! Mamy go !

Przypominam sobie w tej chwili, żeś mi kazał zastrzelić Gawłowa, jak psa, daję tedy jeszcze koniowi ostrogi, mierzę w biegu i palę raz po raz do Gawłowa, najwyżej na jakieś siedmdziesiąt kroków. Potem wołam raz jeszcze do Atanazego:

— Nie ucieknie ! Nie ucieknie !

Nagle Atanazy nadlatuje i zamiast rzucić się za Gawłowem, wpada na mnie z szablą i tnie od ucha ! Świsnęło mi ostrze koło głowy i ocalałem tylko dzięki temu, że koń mój rzucił się w bok. Rozciąłby mnie był na dwoje, prawda, Tondor ?

— Święta prawda! — zaręczył Tondor poważnie.

— I cóż dalej ?

— Co dalej ? — kończył Candeur. — Rozwścieklony tą niesprawiedliwością ze strony człowieka, któremu pomagam łapać jeńca, a zarazem nie chcąc otrzymać drugiego cięcia szablą, palnąłem mu prosto w piersi i koniec. Miałem zupełne prawo. No i okazało się, że o ile chybiłem Gawłowa, o tyle nie chybiłem Atanazego. Zwinął się na siodle i spadł jak snopek siana z wozu.

Zupełnie, jak snopek — potwierdził Tondor. — Nawet nie krzyknął.

Zeszliśmy z koni, gdyż nie było już mowy

o ściganiu Gawłowa, który zyskał bardzo na czasie i zniknął wśród pól. Zbadaliśmy leżącego na drodze i przekonaliśmy się, że nie żyje.

— Nie żyje? Naprawdę nie żył już? — pytał natarczywie reporter.

— Jest to rzecz całkiem pewna! — potwierdził Candeur. — Badałem serce, przestało bić. Umarł na pewne. Czy mi to masz bardzo za złe, Rouletabille?

— Wszystko to jest rzeczywiście straszne! — rzekł reporter. — Wolałbym jednak, żebyś był zabił Gawłowa.

— Mój drogi, zrobiłem, com mógł..

— Tak, tak... — potwierdził Rouletabille, raczej zamyślony, jak zmartwiony. — Ale sądzę, że nie będziesz się tem chlubił?

— Oczywiście. Zamilczę, jeśli tak chcesz. Ale mnie osobiście nie przynosi to żadnej ujmę, jeśli zabiłem człowieka, który mnie chciał rozciąć szablą na dwoje. To jakiś drab, ten Kietew, to człowiek szalony!

Włodzimierz, który dotąd milczał, odezwał się nagle:

— Człowieka tego spotkał los zasłużony!

Zamilkli wszyscy i odtąd nie było już mowy o Atanazym Kietewie.

---

## XVI.

### Sprawy pieniężne.

Rouletabille jechał w milczeniu, ale Włodzimirz zaczął sławić Konstantynopol, jako miejsce rozkoszy wszelakich. Malował stolicę barwami z tysiąca i jednej nocy.

— Czy jest tam jaka dobra piwiarnia? — spytał Candeur.

— Wyśmienita i to niejedna! W Konstantynopolu znajdziesz wszystko, czego dusza zapagnie.

— Ja chciałbym tylko dobry bifszyk i bombę piwa. To mi wystarczy zupełnie.

— Tak, ale trzeba mieć pieniądze na zapłacenie! — zauważył Rouletabille, który, w miarę zbliżania się do stolicy, coraz bardziej zaczynał się niepokoić, z powodu zupełnego braku środków pieniężnych.

— Mniejsza o pieniądze! — mruknął Candeur.

— Nie mniejsza, mój chłopcze, — zaprzeczył Rouletabille, — bo, zanim nam nadeśle „Epoka“, potrzebujemy zaraz pieniędzy. Przedewszystkiem, musimy wysłać depeszę.

— Nie trap się, mój drogi! — odrzekł Can-

deur z lekceważeniem. — Mam przy sobie dwa tysiące franków!

— Masz dwa tysiące? — zdziwił się Roulette.

— Rozumiem! — powiedział Włodzimierz, — znalazłeś je w kieszeni Kietewa.

— Mam obrzydzenie do ciebie, ty, najmłodszy ze Słowian, — powiedział Candeur i odwrócił się od Włodzimierza.

— Więc skądże wzięłeś pieniądze?

— Od pana Priskiego.

— Jakto? Wszakże odmówiłeś i to przy mnie.

— No, oczywiście, odmówiłem. Ale, na drugi dzień, spotkawszy pana Priskiego, powiedziałem mu: Proszę pana, ja, jak wiadomo, nie przyjmę tej sumy, jaką nam pan obiecał wypłacić, natomiast przyjmie ją chętnie Włodzimierz. Włóż pan w kopertę tysiąc franków, a ja mu je doręcę; a pan Priski, jako człowiek uczciwy i w dodatku mający zamiar wstąpić do klasztoru, powiedział: Słowo, rzecz święta! I dał mi tysiąc franków. Nosilem to przy sobie i nie spieszyłem się z doręczeniem, gdyż wiem, że Włodzimierz jest utracysz, a zresztą miał swoje tysiąc franków. Kiedy Włodzimierz przegrał pieniądze z Bułgarami i był smutny, wyjąłem kopertę z kieszeni i właśnie miałem mu ją podać, gdy zaczęła się ta awantura ze

skradzionym koniem Nie było czasu na nic innego. Włodzimierz wybiegł, a ja zostałem w stancyi. Wtedy krzyknął jeden z oficerów: Trzymasz pan bank? Żal mi się zrobiło przegranych pieniędzy, bo i na cóż pieniądze tym oberwańcom, więc siadłem i pociągnąłem raz i drugi. Wszyscy powrócili, po waszym wyjeździe i gra się rozpoczęła. Poszczyściło mi się i tym tysiącem Włodzimierza, odegrałem sobie tamten tysiąc.

— Wiwat, Candeur! — zawołał Włodzimierz.

— Teraz rozumiem twe opóźnienie! — zawołał Rouletabille, również bardzo ucieszony postępkiem przyjaciela.

---

## XVII.

### Konstantynopol.

W ambasadzie francuskiej było przyjęcie. Zgromadzili się tutaj tylko ludzie zaufani, rozmawiano też otwarcie o najświeższych wydarzeniach, a zwłaszcza o ostatniej klęsce tureckiej pod Burgas.

Rouletabille, który od kilku dni bawił w stolicy, zdołał się wydobyć stąd i był obecny na polu walki. Opowiadał ciekawe szczegóły czterodniowej, zacieklej walki, a wszyscy przysłuchiwali się z wielkim zainteresowaniem... Rouletabille opisywał, co się działo z głównodowodzącym armią turecką, Abdulach paszą. Zamknięty został w małym domku, w Sakiskei, gdzie się mieściła główna kwatery. Tam to znalazł go Rouletabille po wielu przejściach. Generał ginął dosłownie z głodu. Oficerowie wygrzebywać musieli korzonki z ziemi i żywili się zupą gotowaną z nich, z dodatkiem odrobiny mąki, jaka im pozostała jeszcze. To było całym pożywieniem komendanta ogromnej armii.

Rouletabille dał generałowi kilka puszek konserw i żywił go swymi zapasami przez kilka dni.



— Tak, ale zato byłeś pan na samym froncie, miałeś wiadomości z pierwszej ręki.

— Ani mowy, nie miałem żadnych wiadomości! — odparł. — Ten biedny generał dowiadywał się zawsze o wszystkim na samym ostatku. Nie posiadał ani telegrafu, ani telefonu, ani aeroplanów... nic! Drogi były tak złe, że nie mógł nawet wysyłać sztafet. To ja, po przezwyciężeniu strasznych trudności, przyniosłem mu wiadomość o klęsce jego wojsk pod Turkbey.

— A więc, jest to ruina państwa!

— Ruina? Nie przesadzajmy, proszę państwa. Należy umocnić teraz linię obronną Czataldży. Wszystko może się jeszcze odwrócić!

— W każdym razie stoimy wobec blizkiej rewolucyi, — zawołał ktoś z obecnych.

— Krążą wieści, że Abdul Hamid wstąpi ponownie na tron! — powiedział inny.

Zbliżył się ambasador.

— Winszuję panu! — rzekł uprzejmie. — Właśnie otrzymałem telegram, gdzie jest wzmianka o pańskich, nader ciekawych, sprawozdaniach wojennych.

Rouletabile poczerwieniał z uciechy.

W tej chwili wszedł do salonu Candeur, zaplątał się w dywan, nastąpił na suknię ambasadorowej, wziął ją za rękę i całował, jak to czynić zwykł był Rouletabile. Aby nie upaść, ręką trzy-

mał się rękawa, któregoś z gości. Potem stanął ogłupiały i patrzył. Spozrzegłszy Rouletabilla, przystąpił doń czerwony, jak ćwik i powiedział, podając mu pakiet:

— Tondor wrócił...

— Doprawdy? — odezwał się reporter. — Państwo wybaczą, — oświadczył najbliżej stojącym, — wieści z Paryża...

Naprzód otwarł list od dyrektora „Epoki“, czytał i z trudem jeno mógł uitać radość, wobec powin-szowań, jakie zawierał. „Epoka“ zarobiła tylko na tej całej awanturze z Markiem Wołochem, albowiem czytelnicy „Nouvelle Presse“ przerzucili się tłumnie do „Epoki“, dla czytania dalszej seryi, zaczętych tam artykułów i korespondencji. Znano też już fakta odnośnie do rzekomego zdobycia Kir-kilissy. Dyrektor kończył: „Pisz pan więc, drogi Rouletabille i nie puszczaj w dalszym ciągu żadnych kaczek. Zostawmy to indywiduom, w guście Marka Wołocha“.

— Cóż słyhać w Paryżu? — pytano reportera.

— W Paryżu, — odparł, — opowiadają sobie, że Bułgarzy będą tu za tydzień i że odprawią nabożeństwo u Świętej Zofii.

— To sprawka Młodoturków! — powiedział ktoś.

— Proszę państwa! — ozwał się pewien oficer marynarki. — Czy wiecie, że oczekujemy po-

wrotu Abdul Hamida? Otrzymaliśmy na pokładzie „Leona Gambety“ radyogram, że ex-sułtan wraz z haremem znajduje się w Salonikach na pokładzie okrętu „Loreley,“ a okręt ten ma lada chwilę podnieść kotwicę, z przeznaczeniem jazdy do stolicy.

Rouletabille wziął na bok Candoura:

— Czy Włodzimierz jest na swoim stanowisku?

— Tak, widziałem go. Niema nic nowego! Jeden z dziennikarzy zauważył:

— Rząd uczynił dobrze. Zrazu nie chciano cierpieć Abdul Hamida w stolicy, ale nadeszło zawiadomienie, że w Salonikach istnieje sprzysiężenie na jego rzecz. Natychmiast kazano go dostawić tutaj.

— Czy przyaresztowano spiskowców?

— Bagatela. Będziemy mieli dla rozrywki małe przedstawienie z katem w głównej roli! — powiedział młody, jeszcze gołowąsy dyplomata.

— Okropne rzeczy! — odparła ambasadorowa.

Candour poblądł i patrzył na Rouletabilla, który zachowywał się, jakby go to wszystko wcale nie obchodziło.

Ale oficer odezwał się znowu:

— Niech się pani uspokoi. Tym razem nie będziemy nic takiego mieli. Rząd otrzymał wprawdzie wiadomości i znalazł dowody spisku, ale

sami spiskowcy znikli gdzieś, jakby się zapadli pod ziemię...

— Czyż pan pewny?

— Najzupełniej. Jednocześnie z zawiadomieniem rządu musieli zostać i oni zawiadomieni, gdyż zdołali, jak wiadomo, uciec do Trebizondy i odjechać stamtąd statkiem do Odessy.

Candeur odsapnął głośno, a Rouletabille uśmiechnął się nieznacznie.

— Całym nieszczęściem Abdul Hamida jest, że nie wie, co się dzieje, że może przyjdzie stracić stolicę i Ildis-Kiosk. Inaczej, zapewne odniechciałoby mu się tronu!

— A co się stanie ze skarbcem?

— Ach tak... z tym słynnym, bajecznym skarbcem! — zawołali wszyscy chórem.

— Czyż on istnieje naprawdę? — spytała ambasadorowa.

— Istnieje niewątpliwie! — zapewnił pewien młody dragoman. — Nietylko, że sam w to wierzę, ale jeszcze mnóstwo osób, między innymi sam dzisiejszy rząd, który nie szczędził zabiegów, by skarbiec ten odkryć.

— Niepodobieństwo! — zawołała ambasadorowa.

— I znaleźli co? — spytał Rouletabille, którego ten temat zainteresował nagle.

— Dowiedziano się, przy pomocy szpiego-

wania pewnej damy tureckiej, blisko Abdul Hamida ongiś stojącej, dawnej Kadiny Ildis-Kirku...

— Założę się, — zawołał młody attaché, że mowa o Kanende Hanum!

— Tak jest! Kanende Hanum jest ową damą. To niesłychana kobieta. Dokazała tej wielkiej sztuki, że postarzała się, zachowując dalej sympatyę i zaufanie Abdul Hamida. Otóż Kanende Hanum pewną jest, że skarbiec istnieje!

— Czy widziała go?

— Nie, nie widziała!

— To bajki!

— Ale widziała kilkanaście razy, jak ex-sułtan udawał się do skarbcza i wówczas przechodził zawsze chodnikiem Durdane. Wracał także tamtędy.

— I szukano w tem miejscu?

— Szukano, nie znalazłszy jednak nic.

— Tak! Mówił mi to Zeki bey, sekretarz ministerium spraw wewnętrznych. On jest przekonany, że wszystko polega na bajce!

— Gdzie się kończy ten chodnik? — spytał sekretarz ambasady.

— Tuż koło domu, ukrytego pośród wielkiej cieplarni. Przewrócono go do góry nogami i nic nie odkryto.

— Mnie zaś — oświadczył oficer marynarki, — mówiono co innego. Pewnego dnia jeździłem kajakiem po Bosforze i nagle w pobliżu ruin Czera-

ganu ujrzałem rodzaj pomostu pływającego na wodzie. Na tym pontonie była budka gdzie mieściły się przyrządy nurków, t. zw. skafandry. Ponieważ ponton ten stał tuż pod ogrodami sułtańskimi, powiedziałem żartem do Mahomeda Machmuda effendiego, z którym robiłem tę małą wycieczkę. — A może oni szukają skarbcza pod wodą? — Machmud effendi kazał bliżej podjechać by się przyrzyć skafandrom i budce, gdy nagle zbliżył się do naszego kajaku bacik rządowy z komisarzem policyi, który nas prosił byśmy się oddalili z tego miejsca.

— To jest ciekawe! — zawołał ktoś z obecnych!

— A może Kanende Hanum ma rację? — dodał ktoś drugi.

— Chciałbym widzieć tych nurków, a nawet chętnie spuściłbym się na dno! — rzekł Rouletabille.

— Czy po skarby?

— Nie, nie po skarby, ale po to, by widzieć co tam jest na dnie. Muszą tam leżeć skarby pamiątek i dokumentów. Pomyślcie państwo, ile ludów przeszło przez Bosfor w ciągu lat niezmiernie długich. Tam musi być prawdziwe...

— Śmietnisko! — wtrącił swe trzy grosze Candeur.

— A zarazem złoże skarbów dla uczonego,

dokończył reporter — dla badacza i wogóle kulturalnego człowieka!

— To grób straszny, zbiorowisko szkieletów! — powiedział ktoś. — Pomyślcie państwo, ilu to ludzi wrzucono do Bosforu, z kamieniem, przywiązany do nóg, w worku skórzanym. Otóż worki pogniły, a te trupy, raczej szkielety, tkwią w mule dna i chwieją się wraz z prądem w tę i ową stronę. To musi być coś przerażającego!

— Skafander dzisiejszy — objaśniał ktoś, to nie dawny niezdarny przyrząd. Nurek może się zupełnie swobodnie poruszać i nie jest połączony rurą z powierzchnią wody. Na plecach ma magazyn ze zgęszczonem powietrzem, które wystarcza na kilka nawet godzin.

— To coś wspaniałego! — zachwycał się Rouletabille.

Nagle rozległo się ze wszystkich stron:

— Kermorek! Kermorek!. . skądże pan tutaj. Sądziłyśmy, że pan stale w Salonikach.

— Dopiero co przybyłem... a to jak... razem z Abdul Hamidem, ale o tem jeszcze ni słowa!

— Abdul Hamid w Konstantynopolu? — krzyknął nagle ze zdziwieniem Rouletabille. — Ach, wybaczcie państwo łaskawi! Ale obowiązki reporterskie tego wymagają... moje uszanowanie... muszę pchnąć depeszę...

---

## XVIII.

### „Loreley“.

W minutę potem biegli obaj z Candeuem w kierunku wielkiego mostu; minęli go. Zostawiwszy za sobą Złoty róg, zagłębili się w labirynt ulic Stambułu. Ale co chwila musieli teraz przystawać. Natłok emigrantów był taki, że komunikacja została zatamowana. Wózki ciągnięte przez woły, pełne sprzętów domowych i pierzyn, wśród których widniały kobiety i dzieci, szły całymi karawanami. Nieboracy, uciekający z spalonych i zdevastowanych wsi, spadli, jak szarańcza, chmurą, na stolicę. Nocowali pod gołym niebem, po ulicach, placach, w meczetach, zalali całe dzielnice wzniecając zamieszanie i budząc panikę. Rouletabille i Candeur dostali się jednak jakoś do Serai, niedaleko linii kolejowej, gdzie ich oczekiwał Tondor.

— Gdzie Włodzimierz? — spytał Rouletabille.

— Odjechał kajakiem, gdy tylko sygnalizowano „Loreley“ w porcie. Naznaczył punkt zborny u przystani Dolma Bagdze.

Rzucił okiem wokoło, widocznie zadowolony.



Właśnie zapalano światła na stacyi kolejowej, na morzu migotały liczne latarki kajaków, krążących od brzegu azyatyckiego do europejskiego i z powrotem.

Rouletabille był zamyślony, nie miał czasu cieszyć się długo widokiem nowego życia na Bosforze. Zabrał Tondora i wszyscy trzej poszli w stronę Galaty. Wstępując w górę Pary, nie zwracał uwagi na muzykę, pełne kawiarnie, oświetlone teatry i cały ruch uliczny stolicy państwa, które otrzymało niebezpieczną ranę, od której mogło zginąć. Myślał tylko o jednym: czy Iwana wpadła już w szpony Abdul Hamida. Wydawało mu się, że dość wczesnie doniósł o spisku i miał nadzieję, że Abdul Hamid opuścił Saloniki przed spotkaniem się z Kasbkiem i Iwaną.

Candeur chciał koniecznie wstąpić do piwiarni, ale Rouletabille zmusił go do pospiechu i niebawem znaleźli się w Dolma Bagdze. U samego wstępu do portu usłyszeli wołanie. Był to Włodzimierz, siedzący w kajaku.

— No, i cóż? — spytał reporter wskakując do kajaku.

Włodzimierz wskazał czarną sylwetę wielkiego okrętu na kotwicy.

— To „Loreley,” — powiedział.

— I cóż? Mów prędko!

— Widziałem go...

— Widziałeś Kasbeka? — zapytał popędliwie.

— Tak, wysiadł z „Loreley“.

— Sam?

— Sam!

— Boże Wielki! — zawołał Rouletabille, chwytając się za głowę.

Była to dla niego katastrofa... a cóż dopiero dla Iwany. Nie mógł wymówić ni słowa, rozpląkał się tylko. Nie ulegało teraz żadnej wątpliwości, Kasbek zdążył na czas, oddał Abdul Hamidowi Iwanę i uczyniwszy ten prezent ex-sułtanowi, wysiadł sam z okrętu.

Towarzysze otoczyli Rouletabilla i milczeli. Nareszcie reporter podniósł głowę i spytał:

— Gdzie jest Kasbek?

Włodzimierz ponownie wskazał „Loreley“.

— Jakto? — spytał reporter. — Przecież mówiłeś, że wysiadł?

— Pojechał na ląd, a potem wrócił.

— Czy cię spostrzegł?

— Nie!

— Dowiedziałeś się czego?

— Tyle tylko, ile wszyscy wiedzą, to jest, że za parę godzin wysadzą Abdul Hamida i jego żonę na ląd, by go zamknąć w pałacu Belerbeya, po stronie azyatyckiej. Wiem też, że Abdul Hamid ma ze sobą jednaście kobiet.

— To prawda, to prawda! Miał tylko dziecięć, jednąstą znamy wszyscy.

— Jednaście kobiet, dwóch eunuchów i najmłodszego swego potomka, noworodka.

— Koniecznie muszę się zobaczyć z Kasbekiem! — wykrzyknął Rouletabille z energią.

— Przed kwadransem mogłeś go pan spotkać na tym oto debarkaderze.

— Cóż robił na Perze?

— Szedłeś może za nim?

— Oczywiście. Zwrócił się bez namysłu ku placowi Top Hane. Po drodze zatrzymał się w małym domku, obwarowanym, jak forteca, otoczonym potężnym murem i zabawił tam najwyżej przez pięć minut. Potem zawrócił, przywołał kajak i odjechał zaraz na „Loreley“.

— Czy trafisz do tego domu?

— Oczywiście. Dom ten zresztą zamieszkuje bardzo wpływowa i znana osobistość, dowiadywałem się.

— Kto taki?

— Kanende Hanum.

— Ach, tak! Dziękuję ci, drogi Włodzimierzu! — zawołał Rouletabille, ściskając jego dłoń. Może jeszcze nie wszystko stracone! W każdym razie musimy tak postępować, jakgdyby istniała jeszcze możliwość ratunku. Potem... jakkolwiek byłby stan rzeczy, musimy wydostać biedaczkę

z tego, przekłętego miejsca! Wszak prawda, przyjaciele? Czy chcecie wraz ze mną uczynić ostatni wysiłek?

— Rouletabille, — odpowiedzieli mu chórem. — Jesteśmy ci oddani z duszą i ciałem!

— Wyzwolimy ją, wyzwolimy! Może jeszcze tej nocy nie będzie za późno! Musi się nam udać tej nocy!

— Przypuszczam, tej nocy nie przepędzisz znowu w Ildis-Kiosku? — protestował Candeur.

— To ostatnia noc, Candeur. . przysięgam ci, że nam się powiedzie tej nocy!

Candeur zaprzeczył ruchem głowy.

— Sam wiesz, żeśmy wszystko przetrzasnęli, wszystko zbadali... wszystko. I na cóż jeszcze szukać dalej. Tyle jest skarbów w Ildis-Kiosku, co w mojej kieszeni, słowo ci daję! Jeśli zresztą chcesz, to raczej spróbujmy szczęścia na samym „Loreley,” albo, ostatecznie, w pałacu Berberleya paszy.

— To absurd, Candeur! Nie brak wojska w otoczeniu Abdul Hamida, strzegą go i jego haremu, jak oka w głowie. Urowadzać kobietę, w chwili lądowania? Głupstwo, zatrzymałyby nas natychmiast te kajaki, których pełno na wodzie! Szaleństwo! Wracajmy do Ildis-Kiosku. Powiadam ci, że mi się powiedzie tej nocy! Gdy będę miał w rękę skarby Abdul Hamida, odda mi bez wahania Iwanę!

Włodzimierz potrząsnął głową.

— Jestem tego samego zdania, co Candeur.

Reporter, stanąwszy na stałym łądzie wraz z Candeurom, polecił Włodzimierzowi nie wysiadać z kajaku, ale udać się pod dom Kanende Hanum.

— Przypuszczam, że Kasbek wróci tam jeszcze, lepiej zaś czekać go tam, niż w porcie, gdyż nie wiadomo, w którym miejscu wysiądzie. Pilnuj go, Włodzimierzu! Nie spuszczaaj z oczu!

Powiedziawszy to, pociągnął Candoura za sobą, w labirynt uliczek, wijących się w górę, w kierunku Ildis-Kiosku. Candeur szedł posłuszny, ale naraz zdziwił się bardzo, bo Rouletabille skręcił nagle w prawo i zawrócił ku wybrzeżu, tuż, obok ruin Czeraganu. Zaulek ten był teraz pusty i ciemny.

Znaleźli się niebawem, tuż, nad wodą. Candeur zapytał przyjaciela, co ma dalej czynić, ale nagle zobaczył, że Rouletabille ciągnie za łańcuch jedno z czołen, stojących tu na kotwicy. Gdy stuknęło o brzeg, reporter kazał wsiąść Candeurowi, odcepił łańcuch z haka, wziął wiosło i pchnął silnem uderzeniem łódź na morze.

## XIX.

### Bosfor w nocy.

Po cichu przemknęli koło ruin i ogrodów Ildis-Kiosku i trzymając się brzegu, sunęli ku Orta Keui.

Nie dojeżdżając do stacyi parowców, zatrzymali się. Ukryci w oparze, podnoszącym się z wody, zataili się pod łukami jakiejś starej budowli, schodzącymi aż ku wodzie.

Bosfor, o tej godzinie, był czarny i pusty. Zdala tylko świeciły oczy latarni okrętowych, nieruchome teraz, jak gwiazdy na niebie. Cisza panowała zupełna, czasem tylko powiał silniejszy prąd wiatru, idący od Morza Czarnego.

Rouletabelle wpatrzył się w jeden punkt, a gdy Candeur poszedł za jego spojrzeniem, zobaczył rodzaj pomostu, pływającego po wodzie, uciepionego do łańcuchów, które zgrzytały z cicha. Minął tak dobry kwadrans.

— Nie słyszałeś nic? — spytał reporter pochylając się do ucha Candoura.

Candeur zaprzeczył ruchem głowy.

Rouletabelle wziął wiosła i podpłynął bliżej

pomostu zachowując wszelką ostrożność. Ale pomost zdawał się opuszczony i bezpieczny.

Przybyli, wydostali się na pomost, i poczęli iść na czworakach. Po chwili znaleźli się pod czemś, w rodzaju budki. Miała okno, które było na pół otwarte.

Księżyc wypłynął w tej chwili z chmur — a obaj wędrownicy instynktownie położyli się na brzuchach. Rouletabille, gdy tylko księżyc zatonął napowrót za chmurą, podszedł do okienka i spojrział do środka.

W tejże chwili cofnął się, padł na ręce Candoura i wydał głucho westchnienie. Candeur spojrział także.

— O! — szepnął cicho... — Gawłowie!

— To on, prawda?

— Nie ulega wątpliwości!

Rouletabilowi błysła w myśli rozmowa, między Kasbekiem a Gawłowem,\*) kiedy to Kasbek przymawiał Gawłowowi, że także poszukuje skarbów sułtańskich od strony ruin Czeraganu. Teraz mieli przed sobą dowód prawdy.

Na czworakach obeszli obaj budkę i ukryli się w cieniu, rzuconym przez wybrzeże.

Po chwili drzwi budki otworzyły się i ukazał się człowiek, w ubraniu nurka, czyli skafandra.

\*) Patrz „Czarny Zamek“.

Wyglądał potwornie, a ciężkie, ołowiem obciążone obuwie, włókł z trudem po deskach pomostu. Zwolna zbliżył się do drabinki, zanurzonej w wodzie i zaczął zstępować na dół. U pasa wisiał mu rodzaj motyki, o długim trzonku. Zanurzał się miarowo, niedługo wszedł w wodę po pas, potem zakolysała się ogromna bania miedziana, okrywająca głowę, wreszcie znikło wszystko...

Rouletabille zaczekał, aż woda się uspokoi i morze odzyska nieruchomość, potem zbliżył się do drabinki i przyłożył ucho do jednej z poręczy. Czekał tak z pięć minut.

— Moznaby go było ubić! — szepnęła Candeur. — Sposobność doskonała!

— Byłby narobił hałasu, a nam potrzebna cisza zupełna! — odparł reporter, odwiązując szybko sznur, którym drabinka była przywiązana do pomostu. Gdy była już wolna, obaj, z Candeuem, wyciągnęli ją do połowy z wody, położyli na fali i puścili wolno. Spłynęła zaraz z prądem.

— Racya! To lepszy sposób! — Powiedział Candeur. — Nieprzyjemnie mu się robi, gdy, chcąc wyjść, nie znajdzie drabinki! Już o nim nikt nie posłysz, jak się to przydarzyło wielu osobom w Bosforze!

— A teraz żwawo do roboty! — rozkazał Rouletabille.



Weszli do środka i znaleźli mnóstwo przyborów nurkarskich, które znali obaj dobrze, bo przezorny Rouletabille zwiedził wraz z oficerem marynarki z ambasady oddział nurków okrętu „Józef Gambeta“.

Szybko tedy zbadał reporter, ile jest aparatów ze zgęszczonem powietrzem i zarezerwował po dwa dla siebie i Candoura oraz po dwie pary ołowianych podeszew. Wręczył mu to, sam wziął dwa ubrania gumowe, dwa hełmy miedziane i dwie motyki, nie zapominając o lampkach elektrycznych i innych przyborach potrzebnych.

— Cóż z tem zrobisz? — zapytał Candeur.

— Cicho bądź! Nieś to do łodzi!

— Czy chcesz, bym włąził w wodę? Ani mi się śni!

— Cicho bądź!

— Przysięgam, że wolę kulę w łeb, a nie będę lał w wodę! — protestował rozpacznie.

— Stul pysk! Zdradzisz mnie!

Candeur szedł, jak skazaniec.

Podpłynęli ze swoim dziwnym balastem pod ogrody Ildis-Kiosku, wyszli z łodzi i dostali się pod mur. Pomagając sobie wzajem, przenieśli przybory przez mur, a także sami przeskoczyli na drugą stronę. Pewność ruchów i szybkość, wskazywały, że nie pierwszy raz znajdują się w tem miejscu.

Idąc przez ogrody, w dobrze sobie znanym

kierunku, nie ryzykowali żadnego spotkania. Pałac był w tej części opuszczony, nie zastanawiali się też teraz nad jego rolą historyczną.

Pałac i ogrody Ildis-Kiosku leżą na szczycie i stokach wzgórzy Bekszichtach i Orta-Keui. Przestrzeń nim objęta jest ogromna. Tutaj to spędził, więzien z własnej woli, Abdul Hamid, trzydzieści dwa lata swego życia, w otoczeniu całego wojska dworaków, szpiegów i pasożytów. Z Ildis-Kiosku wychodziły co dnia wyroki śmierci lub wygnania, tutaj zostały zorganizowane słynne, masowe mordy Ormian, tutaj też dnia 26. kwietnia 1908. roku, podpisał Abdul Hamid swą abdykację, oplakując, jak dziecko, swe skarby, których jednak nie znaleziono dotąd i których poszukują ciągle...

Po przekroczeniu bardzo wysokiego muru ogrodów wewnętrznych, z wprawą, świadczącą o ćwiczeniu. Rouletabile i Candeur stanęli nad „sztuczną rzeką,” której budowa pochłoneła sumy straszne, a po której Abdul Hamid lubił przejeżdżać się łodzią motorową w towarzystwie faworytek swoich.

Dużo mogła opowiedzieć ta rzeka, wyśpiewać niezliczone opowieści tragiczne, ale reporterzy nie przybyli tu dla wskrzeszania pamięci zmarłych, ale dla ratowania osoby żywej, celem poszukiwania dla niej okupu i posagu.

---

**Candeur żałuje gorzko, że ma za dużą głowę.**

Niedaleko „sztucznej rzeki,” widniał kompleks budynków, połączonych tajemnym — niegdyś — podziemnym chodnikiem pałacu. Były tam dwa kioski, połączone z sobą kurytarzem, zwanym „chodnikiem Durdané”.

Abdul Hamid lubiał przebywać w jednym z nich, położonym dość wysoko, tak, że mógł z górnej terasy tego domu, przy pomocy lunet, skomplikowanej konstrukcyi i teleskopów, bardzo szczegółowo widzieć, co się dzieje w Stambule, obserwować, co robią na ulicach i w kawiarniach oficerowie. Drugi budynek zamieniony był w cieplarnię.

Reporterzy dostali się przez piękny portyk do opuszczonego teraz budynku pierwszego i weszli w „chodnik Durdané,” kierując się omackiem ku cieplarni. Tutaj było jaśniej, bo poświata księżycy, ukrytego za chmurami, wpadała przez wielkie okna w dachu i okna boczne, ogromnych rozmiarów.

Rouletabille pociągnął Candoura w głąb, aż

ku olbrzysiemu basenowi, pełnemu wody, po której pływały lilie wodne.

— Dajże spokój! Proszę cię! — błagał Candeur. — Przecież zbadaliśmy wszystko już, opukaliśmy każde drzewo, zwiedzili wszystkie kąty. Wszystko znamy na pamięć.

Jednego jeszcze nie znamy! — powiedział Rouletabile.

— Czegóż-to?

Reporter wskazał na wodę basenu.

— Jestem pewny, że droga do skarbcza idzie przez tę wodę. Tutaj kończy się „chodnik Durđane,“ a zaczyna skarbiec sultana.

— Rozumiem! Racya! — powiedział Candeur.

— Prędko więc! Ubierajmy się!

— Jakto? Mamy włązić do tej wody?

— Naturalnie! Na cóż bym dźwigał te przybory.

— Sądzisz, że Abdul Hamid zawsze dawał nurka, by zobaczyć swe skarby?

— Idyoto!

— Dziękuję!

— Oczywiście istniał, a może istnieje jakiś sekretny sposób opróżniania tego basenu. Ale sposobu tego nie znam. Jestem tylko pewny, że na dnie znajdują się drzwi, prowadzące do skarbcza. Pamiętają, że Kanendé Hanuin wspominała, że sult-

tan może, gdy zechce, zatopić swe skarby, w jednej chwili! Więc prędko! ubieraj się!

— Nie chcę! Za nic!

— Dobrze, pójdę sam!

— Nie chcę! Za nic!

— Więc cóż?

— Dawaj-że już ten skafander!

Zaczęli się ubierać pośpiesznie.

— A gdy znajdziesz drzwi? — zapytał Candeur, przymocowując na plecach przyjaciela rezerwoar, ze zgęszczonem powietrzem.

— Będę się starał otworzyć je.

— Nie będzie to łatwe.

— Nie wiem, chcę naprzód znaleźć drzwi.

„Sztuczna rzeka,“ system basenu i przejście od strony Bosforu, wszystko to musiało być zbudowane jednocześnie. Jeśli zatopił skarby, bądź-to wodą sztucznej rzeki, bądź wodą Bosforu, to przypuszczam, że drzwi nie zostały zamknięte. Architektonicznie, jest to dzieło wspaniałe i godne podziwu, a opowiadano sobie po cichu, że wszystkim architektom i robotnikom, którzy budowali te rzeczy, przytrafiło się coś złego. Także przedsiębiorcy, wraz z rodzinami, zostali bądźto oskarżeni o różne zbrodnie i powieszani jawnie, bądź-też znikli po cichu ze świata.

— Psia-krew! — krzyknął nagle Candeur.

— Cóż ci to?

— Mam za dużą głowę!

— Co?

— Nie włązi do hełmu!

Rzeczywiście. głowa Candoura nie mogła przesunąć się przez otwór dolny hełmu.

— Pójdę więc sam! — oświadczył Routetabelle.

Candour płakał, błagał, zebrał, kłął, wyłamywał palce ze stawów, ale nic nie pomogło. Musiał skończyć wyekwipowanie Routetabilla który się już na dobre niecierpliwił.

Nakoniec spróbował rezerwoaru z powietrzem. Oddychał doskonale. Spróbował latarki i był już gotów zupełnie.

Popychany przez Candoura, który mdlał ze strachu, posuwał się na ołowianych podszwach ku wodzie, nareszcie wstąpił w nią, szukając nogą schodów.

— Wracaj prędko! Uważaj na siebie! — powiedział Candour, jakgdyby przyjaciel mógł go dosłyszeć.

Routetabelle znalazł wreszcie schody w jednym miejscu obwodu basenu. Schody prowadziły bystro w głąb. Opierając się na swej motyce, zaczął zstępować powoli w dół.

Candour widział przez chwilę jeszcze jego hełm na wodzie, potem pod wodą, potem zamajaczyło coś, rozbłysło światło latarki, zaczęło ble-

dnąć, ...znikło, i na toni zostały tylko koła drgające, niespokojne. Wreszcie uspokoiła się zwolna powierzchnia, wygładziła się szyba wody, znikł ślad wszelki, Candeur został sam.

Rzucił się na kolana i zaczął cicho płakać.

---

**Skarby.**

Rouletabille poczuł niebawem pod nogami dno. Ołowiane jego podeszwy sunęły po podłożu równym i trwałem. Ruchy jego stały się teraz prawie zupełnie swobodne.

Nie potrzebował nawet latarki. Woda wokół niego posiadała szklisto-mleczny odblask, tak, że mógł widzieć o kilka kroków przed sobą.

Naraz krzyknął, aż zahuczało w hełmie miedzianym. Wprost przed sobą zobaczył otwór kurytarza, w murze okrężnym basenu.

Kurytarz ten oczywiście musiał prowadzić do właściwego skarbcza i być zamykany szczelnie drzwiami, które teraz stały otworem. Osadzone były na osi pionowej i obracały się wkoło. Teraz stały zwrócone półobrotem do Rouletabilla. Mógł wejść stroną prawą, albo lewą. Obszedł je w koło i zbadał ich obrót, nie mógł jednak dostrzedz mechanizmu, którym się dają poruszać z zewnątrz.

Przyszedł do przekonania, że sułtan otworzył je w ostatnim momencie i nie miał czasu wprawić w ruch mechanizmu po raz drugi, tak, że zo-



stały otwarte po zatopieniu skarbca. Gdyby je Abdul Hamid był zamknął, byłyby się tak przypasowały do muru, że wszelkie poszukiwania musiałyby prawdopodobnie, wobec nieznamomości mechanizmu zewnętrznego spełznąć na niczem.

Utwierdził się w tem, obejrzawszy drzwi, które były po jednej stronie pokryte płytą brązową, po drugiej zaś, skierowanej normalnie ku wodzie, płytami marmuru, zupełnie identycznymi z płytami ścian basenu.

Uszczęśliwiony pomyślnym zbiegiem okoliczności i pewny, że znalazł skarbiec, zagłębił się w kurytarz.

Woda ustępywała lekko pod parciem jego ciała, podpierał się motyką, oddychał swobodnie, był szczęśliwy.

Obliczył, że rezerwoar wystarczy mu na dwie godziny, co było aż nadto, przeto nie zachodziło żadne niebezpieczeństwo, a jeśli serce jego biło żywo, to tylko z radości wewnętrznej.

Nagle stanął. Znikły ściany kurytarza. W około siebie widział tylko mleczną połyskliwą wodę... Zdumiał się i przeraził potrochu.

Ale postąpił naprzód, uczynił kilka kroków, przystanął... i poszedł dalej...

W okół była tylko woda i nic pozatem.

Nagle umysł jego pracujący żywo, znalazł przyczynę.

Poprostu kurytarz prowadził do obszernej sali, której ścian nie mógł dostrzedz.

Zboczył tedy na lewo, pod kątem prostym, od kierunku dotychczasowego.

Zrobił dziesięć kroków, zrobił dwadzieścia... i nie natrafił na nic. Sala ta musiała być ogromną.

Nakoniec światło latarki odbiło się zlekka na połyskliwej, marmurowej ścianie. Zbliżył się do muru i dojrzał spojenia tafli. Zrobione były z prześlicznego, zielonego marmuru, podobnego do materiału kolumn bazyliki Św. Zofii. Może zostały wyłamane ze świątyni słońca w Heliopolis? Ich bogactwo jednak było dobrem świadectwem, przeto reporter ruszył wzdłuż muru, dotykając go ręką, próbując motyczką, badając szczegółowo spojenia, dla odkrycia, czy któraś z płyt nie stanowi drzwi do skarbcza właściwego. Ale płyty szły jedna po drugiej miarowo, bez śladu różnic i nie ustępowały pod uderzeniem motyki.

Zaczął tracić otuchę. Objął go strach na myśl, co będzie, jeśli wróci z pustymi rękami.

Szedł dalej, aż nagle ujrzał przed sobą czarny otwór kurytarza, który zdawał się nęcić go do wejścia.

Ale postanowił zbadać dokładnie tę salę, miął więc kurytarz, odnalazł dalszy ciąg ściany i nagle stanął...

W jednym miejscu, ściana załamywała się pod kątem.

Przez długą chwilę badał ten kąt, potem ruszył przed siebie, dotykając muru, który był ciągle taki sam.

Rouletabille zaczął drzeć z rozdrażnienia. Ta sala była zupełnie pusta. Przebywszy tyle trudów, musiał więc wracać z niczem.

Przez chwilę miał nadzieję, że pospieszna ucieczka zostawi tu jakiś ślad, że znajdzie porzucony kuferek, czy worek, rozsypane złoto, słowem, coś, co go naprowadzi na właściwe tory.

Ale nie znalazł nic, prócz ścian i zielonego marmuru.

Czyż to zresztą była sala skarbów?

Czy nie było drugiej na końcu kurytarza, który minął?

Rouletabille czuł, że krew mu pulsuje w skroniach gwałtownie.

Ale szedł dalej odważnie.

Nagle spostrzegł drugi kurytarz. Poszedł jednak dalej nie wchodząc weń. Sam nie wiedział, dlaczego to czyni.

Szedł i szedł, a w głowie zaczęło mu się coraz bardziej mącić...

W tem stanął i przysłonił ręką oczy, czyli szyby, przez które patrzył.

Z głębi czarnego otworu, nowego kurytarza, coś błysło.

Poruszył latarką.

Snop iskier różnobarwnych rzucił się ku niemu prez ciemność.

Rozbłysła gama barw niewypowiedzianych, zapaliły się tysięczne ognie od blasku jego latarki.

Oszalały z radości Rouletabille, wszedł w kurytarz. U wniścia dostrzegł takie same jak poprzednio drzwi, na pionowej osi.

Były otwarte i mógł spojrzeć w głąb, jakoby niezmierzonej wielkości kufra pełnego skarbów z bajki.

Porzucił swą motyczkę i zanurzył obie ręce w górę drogich kamieni, klejnotów, naszyjników, dyademów. Ruszał je, przesypywał, opuszczał na ziemię, porwał motyczkę i kopał w tej przedziwnej ziemi, a z pod żelaza wylaływały świetlne fontanny na wszystkie strony.

W hełmie swoim szalał, płakał, śmiał się, dławił się i powtarzał ustawicznie:

— Iwana! Iwana!

Nagle uczuł, że nogi się pod nim chwieją. — Zbytek wrażeń, — pomyślał, — i chciał się oprzeć o mur, aby nie upaść. Ale musiał postąpić kilka kroków, aż do ściany.

I znów olśniło go światło.

Spostrzegł nowy otwór kurytarza, a z głębi buchnęły doń blaski skarbów.

Widocznie, w pośpiechu nie zdołano pozamykać wszystkich drzwi poszczególnych komór skarbcza, zbiegających się w tej centralnej sali.

Rouletabille ujrzał w wyobraźni scenę tej chwili, gdy Abdul Hamid czując, że nadchodzi ostatnia godzina jego władzy, a może i ostatnia godzina życia, chciał zobaczyć jeszcze poraz ostatni te skarby nieprzebrane, które gromadził przez lat tyle. Udał się tedy kurytarzem Durdanè i basenem cieplarni, do skarbcza. Otworzył drzwi brązowe... Radował czas jakiś oczy swoje i sycił się widokiem tej baśni nieprawdopodobnej, aż nagle, pędzony strachem, a może ostrzeżony przez jakiś przyrząd skomplikowany, czy alarm elektryczny... uciekł.

Wydostał się na czas jeszcze, aby zatopić skarbiec i wszystkie te miliardy, krwawo okupione, za które mógł kupić sumienia setek tysięcy, którymi mógł zasypać wszystkie zbrodnie, za które mógł może odkupić sobie państwo.

Ale drzwi komór zostały otwarte.

Dla Rouletabilla zaś wszystko to razem przedstawiało się tylko, jako:

— Wykup Iwany i jej posag!

Powtarzał te słowa, oparty o mur, w zapamiętaniu niesłychanem.

Nagle uczynił ruch nieostrożny i upuścił motyczkę, na której był wsparty.

Obrócił się szybko, by ją podnieść...

I naraz lampka jego uderzyła o płytę drzwi komory.

Cała gama zgasła, skarby zniknęły jak duch, a Rouletabille został w zupełnej ciemności.

---

## XXII.

### **W toni bez światła.**

Trudno powiedzieć, co się działo w duszy Rouletabilla, w tej sekundzie, kiedy światło zagasło.

Zrazu nie mógł zrozumieć. Ta ciemność, bezpośrednio po fantasmagoryi blasków? Gdzie się podziały skarby niezmierzone? Czyż stał się igraszką złego demona z tysiąca i jednej nocy, który mu przesuwał przed oczyma nierealne wizje?

Sięgnął, dla przekonania się, po owe widziane skarby, podniósł z ziemi garść klejnotów i poznał, że nie śni. Wyraźnie potem wymacał mur, drzwi brązowe, wreszcie znalazł u pasa zepsutą latarkę elektryczną. Był to więc najzwyczajniejszy przypadek. Rouletabille oprzytomniał, ale dreszcz trwogi wstrząsnął nim jednocześnie.

Co zrobić?

Po chwili jednak przywołał na pomoc całą swą zimną krew i inteligencję. Sprawa była trudna, ale nie beznadziejna. Znał przecież drogę powrotną z tej sali, szło tylko o to, by trafić w właściwy kurytarz. Należało tylko odbyć tę całą po-

dróż wstecz. Sala była okrągła, nie mógł się przeto zabląkać.

Wymacał swą motyczkę, która mu się mogła przydać, zbliżył się do muru, zaczął iść, dotykając go ręką i licząc kurytarze.

Znalazł niedługo kurytarz pierwszy na lewo, potem drugi, wreszcie trzeci...

Nagle zadrżał.

Skądże bowiem pewność, że właśnie ten trzeci kurytarz jest właściwym?

W istocie, wszedłszy tu, przez czas pewien szedł po promieniu koła, więc nie wiadomo, ile kurytarzy pominął? Jeśli wejdzie w ten kurytarz właśnie, czy wyjdzie nim do basenu, czy może znajdzie się w jakimś nieznanem miejscu, czyż nie wpadnie w pułapkę, nastawioną zdradnie? Jeśli go zaś pominie, czyż nie pominie ostatniej sposobności ocalenia?

Nastała chwila strasznego wahania.

Potem, powziąwszy desperackie postanowienie, Rouletabille wszedł w kurytarz i zaczął się posuwać, badając ręką, czy nie natrafi na drzwi.

Ale nie mógł na nic natrafić. Szedł tedy przed siebie, nie puszczając muru.

Nagle zadrżał ponownie.

Mur się urywał, ręka jego natrafiła na próżnię. Znalazł się w jakiejś nowej sali... — A może to właśnie basen?



Przez chwilę miał tę nadzieję, ale wnet ją porzucił, z uwagi, na brak drzwi.

Może jednak pominął je? Może znajdowały się z boku, po tej stronie muru, której nie dotykał ręką?

Wrócił tedy i zaczął macać przeciwległą ścianę kurytarza.

Nie znalazłszy niczego, postanowił wrócić do sali skarbcza, gdyż należało szukać innego kurytarza.

I znów natrafił na krawężnik.

Stracił orientację, w głowie zaczęło mu się mącić. Możliwość pomyłki wydawała mu się teraz straszną, a nieuniknioną koniecznością. Pozatem, choćby nawet powrócił do sali okrągłej, skądże pewny, że następny kurytarz będzie właściwym?

Ruszył znów naprzód, znów natrafił na narożnik, znów zwrócił się w bok i znowu szedł przed siebie... — słowem, zatracił się zupełnie.

Sytuacji okropnej sprostać nie mógł nawet systematyczny, trzeźwy, a genialny umysł Rouletabilla.

W końcu, chodził już beładnie, nie tykając wcale ścian, w uszach czuł tętnienie, krew zaczęła pulsować w skroniach, a otwarte usta, napóżno chwytały powietrze.

Dreszcz wstrząsnął jego ciałem.

Zbliżał się okropny koniec.

---

**Ciąg dalszy dramatu,**

Był pewny, że zginie tutaj na dnie toni, pograżony w ciemń przerażną.

Najbardziej trwożyło go, że nie dotyka niczego ręką, że wokół niego tylko nieuchwytny płyn...

Byle coś... — pomyślał, — byle jakiś kamień!

Przed oczyma zamajaczyły mu jakieś kręgi ogniste, fantastyczne, przezyste światła, zaczęły migać tu i tam. Wydawało mu się, że to skarby sułtana zaczęły taniec szatański, w godzinie jego śmierci.

Straszna chwila.

Wszystkie wspomnienia życia zaczęły się cisnąć tłumnie. Widział najdrobniejsze szczegóły, miał przed sobą dawno zapomniane sytuacje, odbyte przed laty podróże, znane ongiś ludzkie twarze, zjawiały mu się przed oczyma. Ze wszystkich stron patrzyły nań błyszczące oczy przypomnień.

Tak bywa, gdy człowiek kona, — pomyślał. Tak się dzieje pono zawsze.

I to go ostatecznie przekonało, że śmierć blizka.

Zachwiał się i usiadł na ziemi, gotów na wszystko.

Naraz, wydało mu się, że jakiś krąg ognisty, których widział tyle przed chwilą, sunie ku niemu wprost, unosząc się nisko nad ziemią.

— Pośrodku kręgu zamajaczył jakiś kształt.

Ostatkiem woli, reporter otrząsnął się ze złudzeń wizyj przedśmiertnych i nagle uciecha załomotała w jego sercu.

Spostrzegł przed sobą ogromny cień postaci ludzkiej, otoczony kręgiem światła.

W pierwszej chwili, powracająca sprawność umysłu, narzuciła mu pytanie: „A może to moje własne odbicie?” I przypuszczenie to było słuszne, postać dostrzeżona miała bowiem taki sam hełm na głowie i tak samo była ubrana. Także człowiek ten miał w ręku motykę.

Wstał.

Cień natomiast pochylił się w tejże chwili.

Rouletabille podniósł ręce w górę.

Cień nie podniósł swoich.

— Człowiek! zawołał reporter. — Gawłow!

Przypomniał sobie natychmiast wszystko.

To Gawłow, którego widzieli obaj pod ruinami Czreganu, szuka skarbów Abdul Hamida!

Gawłow zna drogę ku Bosforowi, przeto, idąc za nim, reporter zostałby ocalony.

Dziwne ocalenie! Czyżby to była odplata za wyzwolenie z rąk Kietewa?

Naraz przyszło mu na myśl, że ocalenie własne sprzeczne jest z interesem Iwany. Bo jeśli Gawłow znajdzie skarby, cóż się stanie z wykupem, jej posagiem?

Natychmiast powziął postanowienie co czynić należy i ukrył się w cieniu, unikając kręgu światła.

Przybysz odkrył kupkę drogich kamieni.

Pochylił się i zaczął je zgarniać do torby, którą ze sobą przyniósł i napelniwszy ją, obrócił na osi drzwi komory, jakby w obawie, by mu ktoś inny reszty nie zabrał.

Potem zwrócił się ku wyjściu, w kierunku wprost przeciwnym strony, z której nadszedł Rouletabille.

Reporter powoli posuwał się za nim. Czynił krok równocześnie z krokiem swego przewodnika i starał się unikać wszelkimi siłami najlżejszej nieostrożności.

Nagle wśród mleczno połyskującej wody Rouletabille spostrzegł profil tafli drzwi bronzowych w otworze kurytarza, zupełnie podobnych do drzwi, którymi wszedł od strony basenu.

Teraz stało się rzeczą pewną. Tu zaczynał się kurytarz podziemny, wiodący do Bosforu.

Jednocześnie, reporter spostrzegł, że Gawłow próbuje, czy drzwi się obracają na zawiasach.

Przerażony możliwością zamknięcia żywcem w tym grobie, uczynił gest i rzucił się naprzód.

To zdradziło jego obecność.

Gawłow porzucił w tej chwili drzwi, obrócił się, przystanął i postąpił kilka kroków, szukając latarkę wśród ciemności.

Nagle zobaczył go, podniósł motykę i postąpił naprzód.

Rouletabille podniósł swoją.

Stali tak obaj przez chwilę gotowi do walki. Dwu ludzi na świecie nie mogło znać tajemnicy. Jeden musiał zginąć koniecznie.

Gawłow postąpił znowu, Rouletabille się cofnął. Chciał użyć podstępu i wycofać się z biegu światła, by zyskać możność przewagi, nad swym, olbrzymim przeciwnikiem. Cofał się tedy ciągle.

Nagle opuścił w dół swą motykę, udając, że wypadła mu z ręki, przez nieuwagę.

Przeciwnik pochylił się niezwłocznie i podjął broń.

Z tej chwili skorzystał Rouletabille, rzucił się na ziemię i obszedł swego współzawodnika na rączkach, tak, że schował się w cieniu.

Tamten, podniósłszy motykę, zaczął go szukać i kroczył naprzód.

Rouletabille przyczał się, potem skoczył, jak

tygrys, rzucił się na Gawłowa i jednym szarpnięciem oderwał mu z pleców zbiornik z powietrzem. Szarpał, jak oszalały, a tamten machał rękami w powietrzu, nie mogąc go dosięgnąć.

Zachwiał się, przez chwilę zdawało się, że upadnie. Z oderwanych zbiorników trysła kaskada świetlistych baniek w górę. Gawłow słaniał się, wreszcie padł na plecy, pociągnięty przez reportera i rzucał się przez chwilę konwulsyjnie, wbijając paznokcie w piersi. Potem legł martwy, spokojny.

Umarł.

Szcześciem, lampka elektryczna, którą miał na piersiach, pozostała nietknięta. Rouletabille odczepił ją, zbrojny tem światłem, zabrał pełną klejnotów torbę i ruszył ku drzwiom, nie patrząc na swą ofiarę, w obawie, że bateria lampki może się wyczerpać.

Zlekka pchnął tafle drzwi, które obróciły się posłusznie na osi. Rouletabille obracał się razem z nimi i niebawem znalazł się na zewnątrz, na dnie Bosforu.

Spojrzał z zewnątrz na przymknięte teraz drzwi, których nie zatrzasnął zupełnie i zrozumiał trudność, jaką sprawiało odnalezienie ich. Były pokryte algami i pasorzycami i nie różniły się niczem od brzegów morza, ponadto zamaskowane

były dwoma, zachodzącymi na siebie murami, stanowiącymi rodzaj krętego wąwozu. Mur ten był zresztą tak podobny do naturalnej skały, że odkrycie wejścia, zwłaszcza, gdy było zamknięte mechanizmem z zewnątrz, zaliczyć można było śmiało do niepodobieństw. Reporter, wydostawszy się z pomiędzy murów, poszukał brzegu, który był zresztą blisko, potem, idąc wzdłuż niego, natrafił na stopień schodów. Niezliczona moc schodów, prowadzi wszędzie, w Konstantynopolu, ku wodzie. Reporter zaczął iść w górę i niebawem wystawił głowę ponad wodę.

Nie bez trudności zdjął swój hełm i nareszcie odetchnął powietrzem z radością, jakiej opisać nie sposób.

Wyszedł na brzeg i zorientował się, że znajduje się tuż pod ruinami Czereganu. Pomyślał zaraz o Candeurze, który czekał dotąd przy basenie i marł zapewne z niepokoju o niego.

Zdjął nieprzemakalne ubranie, zwinął je wraz z wszystkimi przyborami, oraz torbę i udał się z powrotem tą samą drogą, jaką już przebył z Candeurom.

Niebawem znalazł się w chodniku Durdané i nad basenem.

Zastał Candaura, ociekającego wodą i na poły zmarłego ze strachu, albowiem biedaczysko dawał

raz poraz nurka, poszukując przyjaciela, zawsze jednak nadaremnie.

Można sobie wyobrazić zdumienie i radość Candoura.

— To śmieszne! — powiedział, przyszedłszy nieco do siebie. — Ty sobie spacerowałeś pod wodą, po dnie Bosforu, a ja zmkłem!

---



#### XXIV.

W kilka dni potem, Rouletabille, nie bez wzruszenia, zapukał do wielkich, ciężko okutych drzwi domu, przy jednej z uliczek, placu Top Hane.

Okna domu pokryte były gęstą siecią krat i zasłonięte z wewnątrz, tak, że nie wiadomo było, jak się tam zdoła przedrzeć promień słońca. Był to dom staroświecki, warowny i tajemniczy, którego czarna sylweta, odcinała się ponurą plamą, nawet w tej wąskiej uliczce.

Rouletabille uderzył młotkiem trzy razy i czekał. Trząsał się, albowiem zima w Konstantynopolu jest mroźna, a on zapomniał wziąć futro w drogę.

Nakoniec drzwi uchyliły się i zobaczył olbrzymiego kawasa, w kąpiącej od złota liberyi, który czekał, aż wymieni swe nazwisko. Musiał powiedzieć dwukrotnie, jak się nazywa, zanim został wpuszczony do wnętrza.

Rouletabille kazał dorożkarzowi swemu zaczekać i wszedł do dziwnego budynku, pamiętającego zamierzchłe czasy.

Kawas wprowadził gościa do salonu i wskazał ręką rząd poduszek, leżących wzdłuż ścian.

W dwie minuty potem ukazał się olbrzymiego wzrostu murzyn. Niósł na wielkiej, srebrnej tacy filiżanki z kawą i talerzyki z konfiturami wszelkiego rodzaju, a zwłaszcza z sorbetem różanym.

I on znikł natychmiast.

Minęło pięć minut, poczem pojawił się zgrzybiały, trzęsący się starzec, może stuletni, z ogromną, spływającą niemal na dywan, białą brodą, w zielonym turbanie na głowie.

Pozdrowił bardzo poważnie Rouletabilla, usiadł przy stole i zaczął natychmiast pić kawę i zajadać konfitury. Nie przeszkadzało mu to mówić. Głosem słodkim, dziecięcym, trzepał coś bezustanku, ale Rouletabille nie odpowiadał, gdyż starzec mówił po turecku.

Rouletabille brał od czasu do czasu w usta trochę konfitur, ale głównie spoglądał na drzwi, któremi wszedł starzec. Tymczasem otworzyły się inne drzwi, ukazał się w nich niezmiernie wysoki rzezaniec i podnosząc portyere, wpuścił do komnaty, coś w rodzaju widziadła, w czarnym stroju.

Można sobie wyobrazić, jakiej wagi musiała być rzecz, która przywiodła tutaj Rouletabilla, jeśli mogła skłonić damę arystokratyczną, zamieszkujejącą starożytny pałac, gdzie przebywają jeno dostojnicy,

w zielonych turbanach, do złamania przykazań proroka i ukazania się w saloniku, to jest miejscu, niedostępnem dla kobiet muzułmańskich.

Rysów jej nie było widać. Nawet czoło miała zakryte czarnym, wdowim czarszafem; w wycięciach tego welonu, paliły się czarne, inteligentne oczy.

— Kanende Hanum! — wymówił Rouletabille, skłoniwszy się trzy razy, albowiem miał przed sobą księżniczkę, która w tym wdowim domku opłakiwała upadek dawnego rządu.

Kanende Hanum, władająca doskonale językiem francuskim, przedstawiła Rouletabillowi pana w zielonym turbanie, swego wuja, generała dywizji, na pensyi, który wsławił się pod Plewną. Generał, skinieniem ręki, poprosił gościa, by zajął miejsce.

Rouletabille podał księżniczce zapieczętowane pismo.

— Tak, wiem już. Kasbek mnie uprzedził. Ale czekam na jego przybycie.

Na te słowa, Rouletabille zmieszał się nieco, ale pokrywając to zręcznie, odezwał się:

— Wszak powiada w tem piśmie, że, jeśli nie przybędzie do godziny piątej, nie należy go oczekiwać dłużej.

— Tak, tak, proszę pana! — odparła. — Ale jest dopiero czwarta godzina.

Zaczęła rozmawiać o różnych rzeczach, o wypadkach wojennych, o stanowczem niepowodzeniu Bułgarów na linii obronnej Czataldży. Była z tego bardzo zadowolona i uważała to za początek polepszenia szans, a nawet krwawego, rychłego odwetu, na nieprzyjaciółach.

Rouletabile zapewniał ją, że nigdy w świecie nie byłoby spadło na państwo tyle katastrof, gdyby sułtan, Abdul Hamid, był pozostał na tronie.

— On powróci! — odparła i podała mu do pocałowania rękę, gestem, pełnym godności.

Potem wstała, by odejść.

— Przepraszam panią bardzo! — powiedział — czy panna Wilczkow otrzymała list, który przesłałem jej przez Kasbeka.

— Naturalnie! — odparła Kanende Hanum. — Ale powiedz mi pan — dodała — czy długo się pan zatrzyma w Konstantynopolu?

— Proszę pani! Powiadają, że wojna ma się ku końcowi, opuścimy tedy Konstantynopol jak się da najprędzej! — odpowiedział żywo.

— Dobrze... dobrze...

Więć o tym szybkim odjeździe zdawała się zachwycać księżniczkę. Kiwnęła mu głową i wyszła temi samemi drzwiami, pozostawiając go sam na sam ze starym Turkiem, który na nowo napychać go zaczął konfiturami, gadając ciągle.

Wreszcie zielono-turbanowy pan wstał, złożył mu głęboki ukłon i wyszedł.

Rouletabille spojrział na zegarek. Było pół do czwartej. Czas dłużył mu się strasznie. Uczynił gest zniecierpliwienia, schował zegarek do kamizelki i podniósł głowę.

Nagle zadrżał z radości.

Przed nim stała Iwana.

Była ubrana według ostatniej mody paryskiej, gotowa do wyjścia, w futrze i czapeczce, bez tureckiego „czardżefu“, nawet bez przejrystego „jasmaku“, a z całego orientalizmu zostały tylko jej wschodnie, gorejące oczy, wpatrzone weń teraz poprzez woalkę.

— Drogi Zo, więc rozumiałeś? Więc mnie rozumiałeś?— Jakąże radością napełnił mnie twój list!

Uczynili oboje ruch, by się rzucić sobie w ramiona, ale powstrzymali się, gdyż posłyszeli stłumiony kaszel i zachodziła obawa, że niebawem pojawi się znowu jakieś nowe stworzenie w zielonym turbanie, lub widmo w czarnym czardżafie. Niezawodnie pilnowano ich jeszcze; jakieś oczy śledziły każdy ich ruch. Przeto Rouletabille całował tylko rączki Iwany a ona powtarzała bez ustanku:

— Więc rozumiałeś drogi Zo?

Była bardzo blada i Rouletabille spostrzegł, że się chwieje.

— Wyjdźmy stąd coprędzej Zo! Wyjdźmy stąd!

— Nie możemy wyjść przed piątą. Zareczam ci, że tego niepodobna uczynić. Błagam cię uspokój się i bądź cierpliwa. Siądź tu blisko przy mnie. Będziemy rozmawiali półgłosem...

— Chciałabym być już o sto mil od tego wszystkiego! — powiedziała.

— Aż o piątej, gdyż Kasbek naznaczył tu swą bytność... potem polecimy, jak ptaki... daleko... daleko!

— Czas mi się strasznie dłużył tutaj. Wiedziałam, że musisz tu być, a nie wiedziałam czemu nie przybywasz?

— Nie wiedziałem, że tutaj jesteś. Myślałem że razem z Abdul Hamidem zabrano cię wprost z „Loreley“ do pałacu Beylerbeja.

— O nie, umieszczono mnie tutaj, a Kanende Hanum miała wykształcić mnie na odaliskę godną jego monarszej mości.

— O, Iwano!

— Przechodziłam rzeczy wstrętne. Nacierano mnie perfumami i uczono tańczyć... Ale powiedz mi... czy Kasbek oddał ci wszystkie papiery ze skrytki? Wszystkie... i nie otwierane?

— Wszystkie, w porządku. Ale musieliśmy sprawdzać. A pozatem Kasbek miał mnóstwo wymagań i zastrzeżeń co do tych skarbów, zanim

oddął mi ciebie. To zresztą rozumiałe. Jest to kupiec w każdym calu.

Westchnęła:

— Która godzina? Kiedyż stąd wyjdziemy?

— Słuchaj, Iwano... mówią już o zawieszeniu broni i rokowaniach pokojowych. Może niedługo będziemy mogli wyruszyć do Paryża?

— To najlepsze! To byłoby najlepsze!

— I tam weźmiemy ślub.

— Władysławowi się nie zgodzi! Będzie się domagał by ślub się odbył w Sofii.

Musi uczynić co ja zechcę.

— Oczywiście... wolałabym Paryż! — zawołała tuląc się do niego.

Musimy oboje zapomnieć o różnych rzeczach?

Prawda?

— Prawda... prawda... jedźmy!... zawołała. Po chwili spytała. — Więc on zginął? Czy to rzecz całkiem pewna?

— Kto? Atanazy? Tak, rzecz pewna! Ale może nawet lepiej dla niego. Byłby teraz musiał bardzo cierpieć...

— Nic mu nie jestem winna, nie mam żadnych zobowiązań wobec tego, że to ty zabiłeś Gawłowa! — odrzekła z egoizmem zakochanych. — Drogi Zo, nie masz pojęcia, jak cieszyłam się, dowiedziawszy się o tem, że Gawłowa nie padł wówczas z ręki Kietewa, ale został przez

ciebie zabity w podziemnym skarbcu. Obrzydliwą rzeczą było przyrzekać się Atanazemu, którego nigdy nie kochałam, za głowę Gawłowa. A jednak nie mogłabym odmówić. Przysięgłam! Toteż cierpiałam strasznie na myśl o jego zwycięstwie!

— Czemu nie zwierzyłaś się mnie?

— Ni tobie, ani nikomu! Wszystko co czytałam dalej, było coraz to gorsze. Życzyłam śmierci Atanazemu, chociaż wiedziałam, że jest potrzebny mojej ojczyźnie, a życia życzyłam i ocalenia, Gawłowowi, który zamordował mego ojca, matkę, stryja i siostrę..

Własną ręką uwolniłam go z bastyonu w chwili gdy nadciągała armia nasza... więc popełniłam zdradę ojczyzny... Pełną byłam pogardy dla siebie i pełna wstydu! O, com ja przecierpiała? Ale umarł już Atanazy, jestem wolna, bo i Gawłow nie żyje. Nie cieszymy się jego śmiercią, to by nam nie przyniosło szczęścia. Tylko proszę cię Zo, pomóż mi zapomnieć o tem wszystkim... pomóż!

Utulił ją w objęciach i przyrzekł solennie.

---



**Ostatnia przygoda pana Kasbeka.**

— Już czas. Już pewnie czas! — zawołała nagle Iwana.

Powstał, złożył pocałunek na czole narzeczonej, potem spojrzął na zegarek.

— Już piąta! — powiedział głośno. Po sekundzie powtórzył jeszcze dobitniej: — Już jest godzina piąta! — Wreszcie za chwilę krzyknął niemal: — Piąta godzina! Wychodzimy!

Podniosła się portyera i rzerzaniec otworzył drzwi wpuszczając znowu czarną księżniczkę. Przybliżyła się do Rouletabilla i powiedziała oschłym tonem:

— Muszę zaczekać na Kasbeka!

— W liście, który pani oddałem — odparł poważnie i z naciskiem Rouletabille — jest powiedziane wyraźnie, że jeśli do piątej godziny Kasbek nie przyjdzie, winna nas pani puścić!

— To prawda! — rzekła dama. — Ale Kasbek powiedział mi wyraźnie sam, bym bez jego wiedzy niczego nie przedsiębrała. Zresztą niema żadnej pewności, że nie przyjdzie.

— Proszę pani! Ponieważ Kasbek przedsięwziął wobec mnie pewne ostrożności, abym, zabrawszy Iwanę, nie ogłosił wiadomości o skarbcu

nowemu rządowi, przeto i ja przedsięwziąłem wobec niego tesame ostrożności i oświadczam kategorycznie, że jeśli pięć minut po piątej nie będziemy na ulicy i zupełnie bezpieczni, to moi przyjaciele, którym zostawiłem zlecenie i którzy mnie oczekują w umówionem miejscu, natychmiast udadzą się do prezydenta ministrów i oddadzą mu mój referat, zawierający dokładne dane, co do skarbcza. Pani, zostawiam pani pięć minut do namysłu!

Kanende Hanum znikła.

Już jej nie widzieli więcej. Nie upłynęło jeszcze pięć minut, a już zjawił się rzeźnic, odprowadził ich do przedpokoju, gdzie kawas otworzył im drzwi i skłonił się bardzo uprzejmie.

Wskoczyli do powozu, który ruszył tęgiem kłusem, w stronę dzielnicy Pera.

— No, nareszcie! — zawołała Iwana, opuszczając główkę na ramieniu Rouletabilla.

Rouletabille powiedział:

— Kasbek nie mógł przybyć, bo nie żyje!

— Co mówisz? — zdziwiła się Iwana.

— Posłuchaj mnie. Po odkryciu skarbcza, raz tylko spuściłem się pod wodę z Kasbkiem, zachowując wielkie ostrożności, by znaleźć drogę powrotną. Następną noc, Kasbek schodził do skarbcza sam. Ponieważ zaś obawiałem się wypadku, zmusiłem go, by mi dał list, że dzisiaj, o godzinie piątej, ma mi cię wydać ta stara, na wypadek, gdyby nie przybył. Zmusiłem go pogróżką, że

wszystko powiem ródowi. Kasbek dał list gdyż wiedział, że mi idzie tylko o ciebie. Nie tknąłem niczego. Pierwszą torbę klejnotów, złożyłem w jego ręce, na dowód odnalezienia skarbcza. Są to bogactwa, zbrodnią zgromadzone. Takie klejnoty przynoszą nieszczęście. Stało się to z Abdul Hamidem, Gawłowem, a także z Kasbekiem.

Dzisiejszej nocy napróżno czekaliśmy przy baszcie, powrotu Kasbeka. Ubrałem się w skafander i zeszedłem na dno. Spostrzegłem, że drzwi zostały zamknięte i nie mogłem odnaleźć ich nawet. Prawdopodobnie, musiał to uczynić sam Kasbek. Abdul Hamid musiał mieć do dyspozycji system zamków, działających zarówno z zewnątrz, jak i z wewnątrz. Musiał się zamykać, gdy był w skarbcu, aby mu nie przeszkadzano. Kasbek musiał przypadkiem dotknąć jakiegoś guzika i drzwi obracalne zawarły się za nim. Nie umiał ich zapewne otworzyć. Razem tedy, z Gawłowem, pochowani leżą na skarbach sułtańskich. Ale co cito Iwano?

— Strach mnie przejmuje, gdy widzę tyle trupów wokoło naszego szczęścia. Zdaje mi się, że te duchy przyjdą i rozłączą nas jeszcze!

— Iwano! Mówisz od rzeczy! Cóż myśmy winni? Zresztą, jakże możesz wierzyć w duchy?

— Czy ja wiem? Czy wogóle jest jakaś pewność? Lepiej, uciekajmy stąd! Do Paryża, do Paryża!

---

## XXVI.

### Na progu szczęścia.

Mała wyprawa powróciła do domu, po wzięciu Adryanopola, kiedy stało się widocznem, że wojna dobiegła końca.

W kilka dni potem odbyły się zaślubiny Rouletabilla z Iwaną.

Uroczystość ta długo pozostała w pamięci świata dziennikarskiego i wogóle artystycznego.

Dyrekcya „Epoki“ sprosiła wszystkich mających w Paryżu jakieś znaczenie na polu polityki i sztuki. Znani i nieznanymi przyjaciele reportera, ci którzy pośrednio, czy bezpośrednio brali udział w jego przygodach, i ci, którzy o nich jeno czytali, wreszcie ludzie, których pociągnęła ogólna sympatya, jaką był Rouletabille otoczony — wszyscy zapragnęli złożyć życzenia młodej parze.

Kolonie obcokrajowców, zwłaszcza rosyjska i wszystkich państw bałkańskich, nadesłały upominki wspinałe.

Dyrektor „Epoki“ wydał śniadanie w jednym z pałaców położonym przy Polach Elizejskich, a ścisk panował taki, że każdy z biesiadników ży-

czył w duchu nowożeńcom, by się to raz już skończyło i by im dano wreszcie spokój.

Nie miało to jednak nastąpić.

Klub reporterów paryskich postanowił wydać na ich cześć obiad wieczorem, zdołali tylko uprosić, że wolno im będzie zniknąć około dziewiątej po angielsku i wsiąść do czekającego auta, które ich miało zawieść na kolej.

Nowożeńcy zjawili się około siódmej w kostiumach podróźnych, ale gospodarze nie mogli sobie darować, by nie wystąpić we frakach z wszystkimi orderami.

Nawet Candeur przypiął sobie swój medal zasługi i przyjął ich w progu klubu.

Podał rękę Iwanie i sprowadził ją do jadalni, gdzie widniał nakryty wspaniale stół biesiadny.

Rouletabille zamierzał właśnie udać się za nimi, gdy nagle rozległ się za nim tętent koni i turkot karety zajeżdżającej w wielkim pędzie.

Obrócił się i nie mógł powstrzymać okrzyku zdumienia widząc na koźle Tondora, w przepysznej błękitnej liberyi szamerowanej złotem z ogromną kokardą u cylindra.

Pocziwy Tondor osiągnął więc szczyt swoich marzeń. Siedział teraz wysoko i kierował bystrymi końmi.

Rouletabille stanął w progu zaciekawiony, kto mógł przyjechać tym powozem wspaniałym.

Jakież było jego zdumienie, gdy ujrzał w głębi karety, której drzwiczki otworzył ugalonowany lokaj... Włodzimierza Petrowicza z Kijowa... we własnej osobie.

Właśnie chciał mu podać rękę, gdy spostrzegł, że Włodzimierz wysadza z karety damę, o włosach jaskrawo rudych, przybraną w wspólniałą suknię wieczorową. Poznał ją zaraz. Była to owa komiczna księżniczka rosyjska, posiadaczka słynnego futra. Sunęła tryumfalnie, uczepiona u ramienia Włodzimierza.

Rouletabile! — zawołał Włodzimierz, wskazując tę ruinę obwieszoną klejnotami. — Pozwoli pan przedstawić sobie moją narzeczoną?

Rouletabile, wstrzymując się z trudem od śmiechu, złożył im formalnie życzenia bliskiego szczęścia. Ale, gdy dama przeszła do jadalni, odciągnął go na bok i wyraził swe zdumienie.

— To był jedyny sposób, by ocalić nasz honor! — tłumaczył Włodzimierz zupełnie seryo. Muszę się ożenić z tym kakadu! Czegożbym zresztą nie uczynił dla pana, panie Rouletabile.

— Jakto... jakto... co pan powiada? — bąkał zdziwiony Rouletabile.

— Powtarzam... by ocalić nasz honor! — rzekł Włodzimierz dobitnie.

— Bądź pan łaskaw, proszę, zostawić mój

w spokoju... cóż on mógł mieć wspólnego z pańskim małżeństwem?

— Zaraz wytłumaczę! Oto stara dama zażądała odemnie zwrotu owych 43.000 franków... wie pan, tych pieniędzy, za które zastawiłem jej futro.

— Tak... pamiętam... ale przecież pan je zastawił, nie ja?

— Tak. Ale nie ja dałem te pieniądze adze, tylko pan!

— Tak jest, tylko że pieniądze te wzięłem od Candoura, nie od pana, ani od księżniczki.

— To też gdy ich zażądała, zwróciłem się do Candoura. Candour powiedział: „Zabraniam ci wspominać o tem Rouletabillowi. Cóż go obchodzi ta waryatka. Jeśli cię będzie napastowała, ożeń się z nią i basta!

— Doskonałeś pan, zrobił! — zgodził się w końcu Rouletabille.

— Więc pan mną nie pogardza? — spytał Włodzimierz.

— Broń Boże!

— Rozumie pan, coby to był dla mnie za wielki ból, gdyby pan mną pogardzał... pan, dla którego poświęciłem mą piękność i młode swe życie! — zawołał Włodzimierz.

— Jesteś pan zacynym człowiekiem... — oświadczył mu Rouletabille dla świętego spokoju. —

Ale powiedz że mi, czy ona bogata, ta pańska narzeczona?

— O tak... zapisze mi notaryalnie milion w dzień ślubu.

— Milion! To ładnie!

— Ani centa mniej... powiedziałem: bierz, albo nie bierz, taka jest cena!

— Ileż ona może mieć lat?

— Zgadnij pan?

— Tak, około pięćdziesiątki! — powiedział Rouletabile, by się okazać uprzejmym.

— Ani gadania... ani gadania... gdyby miała tylko pięćdziesiąt lat byłbym się dobrze namyślił czy mam się poświęcić, czy nie! — oświadczył szczerze.

— Więc młodsza? — rzucił reporter.

— Ależ nie... nie... nie. Ta mała ma dzięki Bogu sześćdziesiąt dwa lat! Włodzimierz wykrzyknął to głosem tryumfalnym. — Stwierdziłem w metryce... sześćdziesiąt dwa lata proszę pana!

— I może chora na serce? — spytał Rouletabile zrozumiawszy nareszcie o co idzie Włodzimierzowi.

— Za jakieś dwa lata stara wyciągnie kopyta...

— Przecież jej pan nie ukarkusisz!

— Ej nie! Lekarz powiedział jej to w mojej obecności pewnego razu, gdy się zanadto spiła wódką.



— Więc pije?

— I pali!

— E... to nie!

— Ale pali opium! Opium! I to jak jeszcze...  
pojęcie przechodzi! — radował się Włodzimierz.

— W takim razie lichy z nią...

— Proszę pana... ona uczyni mnie swym generalnym spadkopiercą. Mam zamiar założyć dziennik... palę się do tej myśli... Czy nie zechciałby pan objąć w tym dzienniku...

— Nie skończył. Spojrzenie, jakie mu rzucił Rouletabille sprawiło, że cofnął się krok wstecz, potem drugi, potem trzeci, wreszcie obrócił się na pięcie i odszedł spokojnie, nie chcąc widocznie odejść z jakąś doraźną pamiątką, którejby się wstydzić musiał przed swoim ugalonowanym Tondorem.

---

## XXVII.

### **Candeur robi odkrycie, iż ziemia jest bardzo mała.**

Obiad był bardzo wesoły. Rouletabille, zakochany po uszy, zachowywał się sam jeden z mężczyzną, dosyć melancholijnie, Iwana zaś, spoglądała co chwila na zegar, na kominku. Gdy ich spojrzenia się spotykały, uśmiechali się do siebie. Rozumieli się. Pragnieniem obojga było, by ta cała parada skończyła się, dla nich przynajmniej, jaknajprędzej.

Tymczasem Candeur był w wyśmienitym humorze i może nieco za brutalnie poruszał ciągle dopiero-co przeżyte zdarzenia. Nie zdawał sobie sprawy, że sprawia przykrość przyjacielom, wymawiając nazwiska: Gawłow, Atanazy. Rozmowę prowadził Candeur i Włodzimierz. Rzucali sobie fragmenty opowieści z końca w koniec stołu. „Przypominasz sobie?“ „Pamiętasz?“ „A w bastyonie?“ „A wtedy, gdyśmy nie mieli co jeść?“

— Byłbym zjadł schody, z tej jednej racy, że były zwinięte w ślimaka! — zaśmiał się Candeur.

Cieszę się, że zdążyłem jeszcze na czas, zanim państwo wsiądą do samochodu. Szofer czeka...

— Panie Priski, — rzekł Rouletabille, — więc pan nie jest już zakonnikiem?

— Niestety! Szczęście to widać nie było mi przeznaczonem! — zawołał dramatycznie pan Priski. Nie wiodło mi się w czasach ostatnich. Nie zastałem w Dedeagaczu swego konia po powrocie z portu, a ponieważ nie chciano wpuszczać podróżnych do pociągu kolejowego, miałem mnóstwo trudności w dostaniu się do Salonik. Tam znów dowiedziałem się, że pan Kasbek odjechał okrętem do Konstantynopola razem ze sułtanem. Do stolicy przybyłem dopiero w trzy tygodnie później...

— Wszystko to nie tłumaczy pańskiej obecności w Paryżu!

— Proszę pana, to rzecz całkiem prosta — ciągnął dalej pan Priski — Kasbek znikł nagle, jakby się zapadł pod ziemię... ponieważ zaś nie mogłem dostać miejsca w Konstantynopolu...

— Więc otrzymałeś pan posadę w Paryżu! — dokończył Candeur, czując, że przyjaciel jego przechodzi męki, słuchając gadaniny Priskiego.

— No i dobrze się panu powodzi? — spytał ostatnim wysiłkiem grzeczności Rouletabille.

— To jest wprawdzie coś zgoła innego, jak „Hotel Przejezdnych“, ale... nie źle mi. A' propos

Nareszcie, uczta się skończyła, nastąpiły przemówienia, potem zaś, wszyscy przeszli do salonu, gdzie miano podać kawę i likiery.

Rouletabille rzekł do Iwany:

— Jeszcze chwila cierpliwości! Przysięgam ci, że za dziesięć minut znikniemy bez pożegnania. Popatrzę, czy już jest auto!

Dał znak Candeurowi i wysliznął się do przedsionka. Ale nie uczynił jeszcze dwóch kroków, gdy natknął się na osobistość, na widok której, wydał głuchy okrzyk.

Przed nim stał zgięty, w ceremonialnym ukłonie, ubrany w frak szwajcara hotelowego, pan Priski, z kaszkietem, pod pachą.

Obaj stanęli, jak skamieniali, wobec tego zjawiska.

Rouletabille pobladł. Ile razy zjawił się Priski, zawsze stać się musiało coś złego. Był to, jakby posłaniec przeznaczenia, zwiastun nieszczęścia mimo swego słodkiego uśmiechu i ugrzeczionych manier.

Candeur pierwszy odzyskał zimną krew i spytał Priskiego, co go tu sprowadza.

— Czego ja chcę? — zdziwił się pan Priski. — Pragnę złożyć panu, panie Rouletabille, moje najgorętsze życzenia i wyrazy hołdu. Żałuję bardzo, że spóźniłem się na ceremonię ślubną, ale mój chlebowdawca posłał mnie za interesami.

„Hotelu Przejazdnych“, wiecie panowie kogo spotkałem w Konstantynopolu?

— Nie, ale to obojętne! — rzekł Candeur — pociągając przyjaciela do salonu.

— Kara Selima!

Rouletabille i Candeur zdrętwieli jakby rażeni apopleksją.

— Kogo? Gawłowa? — spytał wreszcie Candeur. — To kłamstwo!

— Widziałem go na własne oczy, tak, jak panów widzę teraz. Ma się nawet dobrze! O, tym razem nie wmówicie we mnie panowie, że umarł. Powiedział mi nawet, że dotąd nie może wyjść ze zdziwienia, że to właśnie panowie wyrwaliście go z rąk Atanazego Kietewa.

— Nie mogłeś pan widzieć Gawłowa, jeśli przybyłeś do Konstantynopola już po naszym odjeździe! — powiedział Rouletabille blady i drżący.

— Przysięgam, że go widziałem! Chciał mnie nawet wziąć do służby, bo chwilowo nie miał nikogo, prócz Stefa Dalmatyńca. Ale Stefo zginął niedługo po tem w okolicznościach tak strasznych, że mnie to odstręczyło od brania służby u Kara Selima. Szło o przeprowadzenie pewnych badań na dnie Bosforu i to w największym sekrecie. Trzeba było ubrać się w coś strasznie obrzydliwego, co nazywają „skafander“. „Nie potrzebujesz się bać, — powiedział mi Kara Selim, — ja zawsze

z tobą będę się spuszczał, nawet zakazuję ci iść tam bezemnie. Stefo zginął na dnie morza, dlatego właśnie, że poszedł bezemnie!“

Priski przerwał opowiadanie, gdyż spostrzegł, że Rouletabille jest trupio bładym.

— Prędko, wody! — zawołał Candeur.

Priski zniknął.

— Uspokój się! — prosił Candeur. — Jesteś bardzo bładym... Pomyśl, ona się przestraszy! To wszystko zresztą właściwie błaga Priskiego, który może ma do ciebie urazę, za tego konia w Salonikach...

— O, nie! — powiedział Rouletabille, przychodząc do siebie. — To prawda! Skądżeby mógł znać historię oswobodzenia Gawłowa, gdyby mu jej sam nie opowiedział?

— Dobrze... więc nie zabiłeś go...

— Zabiłem człowieka w skafandrze. Myślałem, że to Gawłow, bo widzieliśmy, jak się Gawłow spuszcza do wody. Nie wiedziałem, że inny człowiek spuścił się przed nim i że tego to człowieka on śledzi, tak, jak my śledziliśmy Gawłowa. Spotkałem właśnie tamtego. Ale, nadewszystko... niech Iwana nie wie o niczym!

Zaczęto szukać Rouletabilla. Wszedł do salonu, a Iwana spostrzegła zaraz, w jakim stanie się znajduje.

— Cóż ci szkodzi to małżeństwo z Gawłowem?

wem, — uspokajał go, na swój sposób, Candeur. — To się nie liczy, to była ceremonia muzułmańska...

— Co się stało! — spytała Iwana, przysuwając się pospiesznie. — Czy ci słabo, Zo?

— Tak... — odpowiedział. — Strasznie tu gorąco w tym salonie. Dziwię się, że ty, droga moja, tego nie odczuwasz!

— Wszyscy cię tak kochają, drogi Zo... Cieszy mnie to niezmiernie... I ja ich kocham serdecznie! — odpowiedziała. — Alè cóż to takiego? — spytała nagle.

Grupa zaproszonych, niosła, w kierunku głównego stołu, jakiś wielki przedmiot, tajemniczy. Z ust do ust przebiegała wieść: „Niespodzianka... niespodzianka“.

Rouletabille nie cierpiał niespodzianek. Zwrócił się właśnie w kierunku stołu razem z Iwaną, aby sobie zdać sprawę, co to takiego, gdy nadszedł Candeur, wymachując rękami;

— To coś niesłychanego! wołał. — To kuferek bizantyński!

— Kuferek? — zakrzynęła wesoło Iwana i uderzyła w dłonie. — Kuferek mój. O, to miła niespodzianka! To pewnie ty, drogi Zo, kazałeś go przynieść tutaj!

— Nie, droga Iwano, — rzekł Rouletabille, który czuł znowu, że słabnie, — to nie ja! — I zwal-

czając strach, zbliżył się, by zbadać rzecz całą. Ale czuł, że katastrofa się zbliża.

— Nie bój się! — szepnął mu Candeur, spostrzegłszy jego ponowną bladość. — To dar Priskiego, to kwiaty. Sam widziałem... Zostawiliśmy kuferek w Kirkilissie, z powodu nagłego wyjazdu, on zaś napełnił go kwiatami.

Zbliżyli się wszyscy do stołu. Wieko kuferka było tylko przymknięte, a przez powstałą szczelinę, wychylały się pęki precudnych, białych róż bułgarskich, które łatwo było poznać po silnym, balsamicznym zapachu.

— Precudne!.. Precudne! — mówiła Iwana, sięgając w głąb i nurzając ręce w kwiatach. — Ach... a to co? Coś mam w rękach! — powiedziała nagle i wyrwała ręce z kuferka.

Cóż tam być może! — spytał niespokojnie Rouletabille.

Candeur podniósł wieko i wydobyl z głębi kuferka ciężki worek, bogato zdobiony zupełnie podobny do worka na cukierki, tylko bardzo duży.

— Cukierki! To są cukierki!

Zaczął rozwiązywać sznur jedwabny worka, ale Iwana prosiła, by jej oddać.

Zanurzyła rękę, lecz cofnęła ją szybko, wydając okrzyk przerażenia.

Krzyki takie same napełniły salon.

Bo oto u palców Iwany, zaplątały się długie,



czarne włosy. Szarpiąc za te włosy, Iwana wyciągnęła z kufierka, uciętą, ludzką głowę, ohydną, z rozszarpaną szyją, z szklanemi, przewróconemi z bólu, oczyma.

— Głowa Gawłowa! — zaryczał Candeur.

— Głowa Gawłowa! — szepnął Rouletabille, omdlewającym głosem.

— Głowa Gawłowa! — jęknęła Iwana.

Padła w ramiona najbliżej stojących i zemdlała.

Kobiety uciekały jak szalone, wydając dzikie okrzyki trwogi.

---

## XXVIII.

### Szczyście z przeszkodami.

Pan Priski nie najlepiej wyszedł na całej awanturze. Candeur trząsał nim, jak pomietłem, wypytując jednocześnie o szczegóły. Biedaczysko, wyśpiewał wszystko, a były to rzeczy dosyć dziwne.

Kuferek przywiózł z Kirkilissy i z uwagi na jego oryginalne malowidła, zachował w hotelu, w swej łoży odźwiernego. Zwracał on uwagę wielu przyjezdnych i miał kilku amatorów. Ale pan Priski postanowił wziąć zań pięćset franków, a kwota ta, wydawała się każdemu z nich, za wysoką.

Pewnego dnia, kiedy Pan Priski biegał po mieście za sprawami hotelu, a w łoży został tylko groom, przybyło dwóch, przyzwoicie ubranych panów i zapytali o obiad, wydany na cześć Rouletabilla, o którym mówił cały Paryż. Groom udzielił wyjaśnień i oczyścił ich, albowiem byli zaproszeni, widocznie, jakby po jeździe automobilem.

Ujrawszy kuferek, zaczęli coś rozmawiać między sobą i zapytali, czy kuferek ten można nabyć.

— Tak jest! — odparł groom. Cena pięćset franków.

— Płace! — zawołał jeden z nich i wyliczył pieniądze — oto właśnie wyborna sposobność zrobienia niespodzianki naszemu przyjacielowi Rouletabillowi.

Potem włożyli z groomem kuferek na automobil i odjechali.

— Szkoda, że Priski był nieobecny, — powiedział Włodzimierz — nie dałbym grosza za to, że jeden z przyjezdnych to Atanazy Kietew!

— Co ty gadasz! — zawołał Candeur. — Wszak zabiłem Atanazego własną ręką!

— E, głupstwo! — odparł Włodzimierz. — Nie widziałem jego trupa. A to zupełnie wygląda na Atanazego. Któż bowiem miałby ten pomysł przysyłania głowy Gawłowa, która była przecież ceną małżeństwa jego z panną Iwaną Wilczkow!

Zaniepokoił się Candeur i wypytywał grooma, jak wyglądał podróżny, ale z opisu osoby nie można było wiele wywnioskować.

— Tak jest... tak jest... — upierał się Włodzimierz. — Nie ulega kwestyi... mamy tu do czynienia z Atanazym Kietewem.

— Cicho bądź! — prosił go Candeur. — Nie gadaj!

Zbliżył się do nich Rouletabille, wyglądający tak, że serce się krajało na jego widok, a obaj

reporterzy opowiedzieli mu czego się zdołali doszukać w tajemniczej sprawie.

Rouletabille podzielał zdanie Włodzimierza, że idzie tu o Atanazego. Nie ma co nawet tracić czasu na inne przypuszczenia. Tylko Atanazy przybył z głową za późno!

Cóż teraz mógł przeciw nim zamierzać?

Nic dobrego, w każdym razie!

Musieli uciekać, uciekać nie tracąc chwili.

Nadbiegła Iwana, już tyle przytomna, że mogła rozumować ściśle i wyraziła przekonanie, że sprawcą nie może być nikt inny, jak Atanazy.

Na znak Rouletabilla, obaj zaprzeczyli kategorycznie, a Candeur zawołał;

— Sam go zabiłem, własną ręką!

Iwana spojrzała nań zdumiona.

— Nic o tem nie wiem! A może pan go tak zabił jak Priskiego? — zauważyła Iwana.

Candeur się zaczerwienił.

Ale nie było czasu na dłuższe dysputy. Wsiadli do samochodu i ruszyli z miejsca całym pędem w kierunku nieznanym nikomu, gdzie ich nie mógł chyba nikt dłużej prześladować.

---

## XXIX.

### Na jasnym brzegu.

Iwana rozpaczała. W urywanych zdaniach wyraziła swój ból i trapiące ją wyrzuty sumienia. Jakże mogli zabijać Atanazego! Wszakże to był oficer bułgarski! I teraz to mści się! To się mści! Atanazy żyje napewne! Candeur go nie zabił. Atanazy knuje zemstę, a infania ta, w którą ona, jako Bułgarka, fatalnie jest zamieszana, przyniesie im napewne, nieszczęście! To ona, ręką Candoura chciała zabić swego ziomka... tak ona sama, a właściwie jej nienawiść! Uczyniła to, by złamać daną przysięgę. Iwana była niepoczyszona. Zresztą Kietew się zemści!

— Ależ on nie żyje!

— Tem gorzej! — zawołała. — Nie wiemy czy żyje czy nie, ale choćby zginął, wyjdzie z grobu i weźmie pomstę na wiarołomnej!

Cały wschodni temperament Iwany wybuchnął w tym momencie. Rzucała się jak szalona, a Rouletabille nie mógł jej uspokoić. Zęby jej szczykały ze strachu na wspomnienie strasznej głowy Gawłowa.

Rouletabillowi przyszedł na myśl szalony pomysł i udowodnił Iwanie chcąc ją uspokoić, że to ktoś z rodziny Wilczkowów, wiedząc jaką jej zrobi przyjemność dowodem, że Gawłow nie żyje, przysłał jej głowę. Zapomniał przytem, że Candeur nie zabił Kietewa, gdyż strzelać nie umie, ale Kietew zginął we walce z Turkami. Takie przysyłanie głowy nieprzyjaciela było zwyczajem rozpowszechnionym w Bułgarii.

Dała się na chwilę utulić, ale wnet ogarnęło ją znowu drżenie nerwowe i powiedziała:

— Jeśli padł... przyjdzie upomnieć się o mnie z poza grobu... Przyjdzie: Nie wierzę, by padł z ręki Turków... wy zrobiliście coś z nim, aby mnie uwolnić!

Wybuchła płaczem, a jej łzy padły na twarz Rouletabilla.

Utulił ją w ramionach, kontent, że płacze, gdyż wiedział, że jej to ulgę przyniesie.

W tej chwili samóchód stanął przed dworcem lyońskim.

— Gdzież jedziemy? — spytała Iwana.

— Tam, gdzie będziemy całkiem sami! — odparł.

— Dobrze... dobrze... Broń mnie!

— Podczas, gdy wszyscy będą myśleli, że jedziemy gdzieś naokoło świata, uścielimy sobie gniazdko w cudownym zakątku.

— Dobrze... dobrze...

Samochód odjechał, oni zaś znaleźli się w pociągu, który miał ich odstawić następnego dnia do Mentony.

Weszli na oślep do jakiegoś pociągu pospiesznego, nie zamawiając miejsc, więc ścisk zastali znaczny. Pomieścili się z biedą w jakimś kąciaku, a Iwana szczęśliwą się czuła, zatonawszy w tym tłumie ludzi obojętnych, którzy nie mogli żywić wobec nich uczuć nieprzyjaznych. Nareszcie zasnęła, z głową, opartą o ramię swego, młodego małżonka.

Rouletabille zawiózł żonę do prześlicznej willi pod Mentoną zamówionej naprzód i przygotowanej dla nich, położonej pod Garavanem, otoczonej wielkim ogrodem.

Właściciel tej willi, zaprzyjaźniony z Rouletabillem, Książę Galicz, oddał mu parę dni temu klucze, prosząc, by mieszkał jak długo zechce.

— Będziecie się tam czuli jak u siebie! — powiedział. — Służba otrzymała zlecenia. Są to ludzie prości i zaci, możecie im zaufać w zupełności.

Właśnie poranne słońce roztoczyło czuby przepysznych drzew parku, gdy Rouletabille z Iwaną znaleźli się we willi. Przez całe przedpołudnie spacerowali w zachwycie.

Książę Galicz przygotował wszystko. Wy-

starczyło otworzyć kredens, by mieć wyborne jądło i napitki.

Tak spędzili rajsko dzień.

Nadeszła noc rozświetlona czarownem blaskiem księżycy.

— Chodź jeszcze do parku! — prosił Rouletabille obejmując Iwanę.

Ale Iwana bała się parku w nocy, drżała na widok czarnych sylwet gigantycznych drzew wyciągających długie, sękaty konary. Trwoga jej i podniecenie zaczęły powracać.

— Zamknij dobrze drzwi i okna! — prosiła. — Zamknij wszystko aby *on* nie wrócił.

Zburczał ją przypominając, że obiecała być rozsądną.

— Ależ tak czy owak *on* już nie wróci — nie ma pogo wracać! Zastanów że się! Jesteś moją legalną żoną i znajdujemy się we Francji, nie może nam, choćby żył nic zrobić!

Nie odpowiedziała nic. Poszła się skryć w dużym pokoju pierwszego piętra i zapaliła wszystkie światła. Czuła się tak najlepiej.

Gdy przyszedł do niej znalazł ją otoczoną świecami.

— Co za iluminacja? — zaśmiał się.

— Czy wszystko pozamykałeś? spytała.

— Oczywiście. Ale czegoż się boisz?

Otoczył ją ramieniem i przyciągnął ku sobie.



Zarumieniła się i poczęła drzeć w jego objęciu kryjąc twarz w dłoniach.

Potem uciekła do pokoju nie oświetlonego.

Gdy jej tam poszedł szukać, znalazł ją z twarzą przyciśniętą do szyby i wpatrującą się w ogród.

Wydawała głuche jęki, a oczy jej były rozwarłe wielkiem przerażeniem.

— Iwano!

— Patrz! Patrz! — powiedziała cicho! —

Patrz... tam!

Rzuciła się wstecz, a on przystąpił do okna i ujrzał gazon oświetlony księżycem i sporą kamienną ławkę.

— Niema nic.. Iwano! Jest tylko ławka! Chodźże tu i popatrz sama! Pusta ławka!

Zęby jej szczękały.

— Powiadam ci, że widziałam... poznałam go doskonale. Spoglądał w stronę pokoju oświetlonego. Powiadam ci... to on.. albo jego duch!

Przyciągnął ją do okna, chcąc przekonać.

— Zrób to dla mnie! — prosił. — Patrzmy oboje! To złudzenie... tam niema nic!

— Poszedł już! — powiedziała Iwana. —

Ale był napewne.

Nie było rady.

Zabrał ją do oświetlonego pokoju i chciał jej zamknąć usta pocałunkami.

Ale odsunęła go od siebie.

— Więc dobrze, — powiedziała — przypuśćmy, że się łudzę, dajmy spokój duchom. Ale co byś uczynił, gdyby na tej ławce siedział Atanazy żywy?

— Poszedłbym zapytać czego sobie życzy?

Pchnięta jakimś przeczuciem, pobiegła do ciemnego pokoju i spojrzała.

Nagle wydała okrzyk przerażenia.

— Chodź! Chodź! — przyzywała męża.

Pobiegł i oboje objawszy się silnie patrzyli jak skamieniali. Widzieli teraz oboje Atanazego siedzącego na ławce, poznali go doskonale. Siedział bez ruchu.

Pot kroplisty ściekał im z czoła, myśli wirowały w głowie.

— To jest halucynacya! — szepnął. — On się nie rusza! Prawda, że się nie rusza? To nie jest Atanazy prawdziwy... to obraz wytworzony przez nasze przemęczone mózgi. Oboje teraz boimy się i oboje widzimy to samo!

— Popatrz! — szepnęła nagle — Podniósł głowę!

— Tak... widziałem... to on... to Atanazy!

— Przekonałeś się. Widzisz! Miałam rację!

Rouletabille przyszedł do siebie przekonawszy się, że niema doczynienia ze złudzeniem, ani duchem. Poszedł po rewolwer i nabił go.

— Co chcesz zrobić? — spytała już także spokojna i zdecydowana na wszystko.

— Powiedziałem ci: spytać czego chce?

— Idę z tobą!

— Dobrze... jeśli chcesz, zgoda! Nawet lepiej byśmy się nie rozłączali na wszelki wypadek.

— Idziemy razem! rzekła biorąc go za rękę.

Zeszli po schodach. odsunęli ostrożnie zasuwkę drzwi wchodowych znajdujących się właśnie naprzeciw gazonu z ławką kamienną i otwarli drzwi.

---

## Podwójny wisielec.

Ławka była pusta.

Widząc to, Rouletabille, krzyknął głośno:

— Atanazy!

— Atana... — zaczęła Iwana, ale głos jej utknął w gardle.

Odpowiedziało im tylko dalekie echo.

Chcąc okazać odwagę, poszli, trzymając się za ręce, aż do samej ławki, obeszl ją i wsłuchali się w szum drzew.

— To wiatr... — powiedział Rouletabille. Iwana powtórzyła ciszej. — To wiatr... — I wrócili do willi odwracając co krok głowy. Ale nie dostrzegli niczego. Czasem tylko wiatr muskał czuby drzew.

Zamknęli drzwi i wrócili do pokoju na pierwszym piętrze.

Po chwili zbliżyli się znowu do okna i wydali jeden okrzyk grozy:

Atanazy znów siedział na ławce.

Iwanę ogarnął szal. Zaczęła krzyczeć:

— Uciekajmy! Uciekajmy! Uciekajmy!

— Tak! — rzekł Rouletabille. — Pójdziemy do hotelu, do pierwszego napotkanego hotelu, pomiędzy ludzi...

— Tak... pomiędzy ludzi, którzy nas obronią przed nim!

— To nas oswobodzi! — zgodził się. — Czy jest to złudzenie, czy prawda, musimy iść między ludzi Iwano!

— Natychmiast! Chodźmy natychmiast! On mnie prześladowa od dzieciństwa. On mi się narzuca od lat! Muszę się oswobodzić! — wołała Iwana. — Zabierze mnie z sobą do grobu!

— To nędznik! Zabiję go, jak psa! — powiedział Rouletabille.

Zachowując tysiąc ostrożności otwarli drzwi wchodowe i ujrzeni, że ławka jest znowu pusta.

Obeszli ją, nie wołając już jednak Atanazego. Bali się zanadto echa własnych głosów. Udali się aleją, wiodącą z terasy na terasę, aż na bulwar.

Szli ciągle, przyspieszając kroku.

Wreszcie zaczęli biegnąć, trzymając się ciągle za ręce. Biegli i widzieli już przed sobą bramę, mieli jej dopaść za chwilę, gdy Iwana wydała okrzyk przerażenia.

*Czołem uderzyła o coś, co zwisało z góry.*

Oboje odskoczyli w tył, spojrzeli i z piersi ich wyrwał się jeden okrzyk zgrozy.

*Z góry zwisał trup Atanazego.*

Straszliwa twarz wisielca, spoglądała na nich z góry, poczwarnie rysując się w księżycowym świetle.

Rzucili się do ucieczki i biegli, jak szaleni, ku domowi na wyścigi, aż do ławki, na której padli wyczerpani.

— Jesteśmy głupi obydwój! — powiedział Rouletabille. — Pocóż uciekaliśmy? Widzieliśmy oboje Atanazego na ławce i widzieliśmy jego trupa. Więc siedział, a potem poszedł i powiesił się. Nie było przed czem uciekać. Człowiek ten przyszedł do przekonania, że dręczył cię, Iwano, już dosyć długo, i poszedł wymierzyć sobie karę. Niech mu Bóg przebaczy!

— Czy jest stąd drugie wyjście? — spytała.

— Jest! — odparł Rouletabille, znający dobrze ogród, z dawnej bytności u księcia. — Jest brama, od strony bulwaru Garavan.

— Więc wyjdźmy tamtędy! — powiedziała Iwana, wstając. — Nie spędzimy przecież nocy razem z tym wisielcem!

— Dobrze! Chodźmy! — odparł Rouletabille.

Wzięli się znowu za ręce i poszli w stronę przeciwną, ku przeciwległej bramie, ku bulwarowi Garavan.

Już mieli osiągnąć bramy, gdy znowu wydali straszny krzyk, a Iwana padła na kolana i za-

częła wprost ryczeć jak zwierzę. W głosie jej nie było nic ludzkiego.

*Na bramie wisiał trup Atanazego.*

Rouletabille uczuł, że w mózgu jego rozszalał się przeraźny taniec. Widział przed sobą Iwanę na ziemi, tarzającą się w ataku szału, porwał ją tedy na ręce i pobiegł do domu.

Tam złożył ją na sofie i zabarykadował drzwi pokoju, ściągając mnóstwo rozmaitych mebli i zapuszczając firanki okien, wychodzących na park nieszczęsny.

Wyczerpana, zasnęła wreszcie Iwana, a i on zasnął też bezsilny, by walczyć z tą śmiercią, otaczającą ich kręgiem nieprzekraczalnym, jak się zdawało.

Obudził się rano i podniósł story.

Słońce grało barwami na kwiatach i liściach drzew. Cudnie było, rajsko, wszelka tajemniczość i strach pierzchły precz. Otaczały ich tylko życie i piękno.

Iwana przebudziła się niedługo także i uśmiechnęła się, szczerze zachwycona precudnym widokiem.

Nadpłynęły wspomnienia straszne tej nocy i oboje pobledli na nowo. Postanowili oboje, po rozwadze, wynieść się z tej willi zaczarowanej.

Opuścili ją też niezwłocznie. Nie tęgie mieli miny, zbliżając się do bramy, gdzie spostrzegli

pierwszego trupa Atanazego. Ale otucha w nich wstąpiła, gdy się okazało, że go tam już niema.

— Słuchaj, mój drogi!—powiedziała Iwana.— To może głupie, co ci powiem, ale nie uspokoję się, póki się nie przekonam, że i drugi trup Atanazego, nie istnieje wcale...

Zgodził się chętnie, by poszli zobaczyć, bo odpowiadało to zresztą jego chęci.

Poszli i nie znaleźli nic, także na przeciwległej bramie.

— Uf! — powiedziała Iwana.

— Uf! — odsapnął Rouletabille.

— Mniejsza zresztą z tem,—dodała Iwana,— i tak nie zostanę tutaj za nic. Wynajmij, proszę cię, automobil i jedźmy. Boję się nocy. Znowu wszystko zaczęłoby się na nowo.

Odprowadził ją do Hotelu Angielskiego, a sam zajął się poszukiwaniem automobilu. Ledwie wyszedł na ulicę, zobaczył wytworny, niewielki samochód, który zatrzymał się na jego widok.

Z samochodu wysiadł Candeur, we własnej osobie.

— Cóż cię tu przyniosło? — zawołał Rouletabille, zdumiony bardzo.

Candeur powiedział:

— Siadaj... mam ci coś powiedzieć.

Gdy wsiadł, Candeur oświadczył:

— Ten wóz jest do twojej dyspozycji. Zabie-



raj żonę i jedź, gdzie chcesz, byle natychmiast. Nie pozwalaj jej też czytać dzienników, przez parę dni. W ten sposób niczego się nie domyśli...

Rouletabille patrzył nań, jak na waryata.

— Czego się nie domyśli? Co to ma znaczyć... co jest w dziennikach?

Candeur, mocno zdenerwowany, zaczął pośpiesznie:

— Gdyście wyjechali, pospieszyłem za wami samochodem. Byłem pewny, że Atanazy wylizał się z rany, że was ściga i miałem rację...

— Co? — krzyknął Rouletabille.

— Tak... szedł waszym śladem!

Więc to prawda, że żyje?

— Teraz już nie żyje! Zabił się dziś, w nocy.

— Ach! — jęknął Rouletabille. — Tej nocy?

— Tak, w parku willi Galicza... powiesił się!

— Boże wielki! zawołał Rouletabille.

A więc dwa trupy jednego wisielca, to był fakt rzeczywisty? Nie było złudzenia! Wszakże je widział na własne oczy... Jaki? Chwycił się za głowę czując, że traci zmysły...

— Wytłumacz mi... — zaczął, ale urwał.

— Co ci wytłumaczyć?

— Nic... opowiadaj... opowiadaj... spiesz się... czuję, że umieram...

— Nie ma powodu... A więc śledził was

i pojechał za wami... Ale spóźnił się do pociągu waszego i wsiadł do expressu w kwadrans później. Widziałem go i wsiadłem do tego samego pociągu. Wiedział widać dokąd jedziecie, był bowiem dosyć spokojny. Obserwowałem go. Miał minę, jakby planował coś złego. Pilnowałem go, ale mimo to znikł mi z oczu w Mentonie. Szukałem go, ale daremnie. Łatwiej mi przyszło dowiedzieć się gdzie wy jesteście i oto znalazłem willę Galicza. Nie potrzebowałem niczego więcej. Czuwałem nad wami przez cały dzień, przez cały wieczór i byłem kontent... Ani śladu Atanazego... Zdawało się, że stracił wasz ślad. Nie chciałem wam przeszkadzać i powiedziałem sobie: Jutro uwiadomię Rouletabilla i pojedę dalej. Nadeszła noc. Czuwałem nad wami jak pies owczarski gotów gryźć. Wszedłem do parku tylną nigdy nie zamykaną bramą. Chodziłem w około domu... nic. Nagle patrzę... a on wisi... wisi gałgan i to jak na złość prosto przed bramą wchodową, z wywalonym ozorem. Oczywiście nie było mi go wcale żal, ale powiedziałem doń: Nic z tego, nie pozwolę ci tu wisieć, bo oni by się przestraszyli wychodząc na ulicę. Nie zostawię cię tu bratku! I udałem się do mera, który, dowiedziawszy się o co idzie, zgodził się sprawę załatwić w taki sposób, by wam nie przeszkadzać, ani nie sprawić przykrości twojej żonie. Rzecz załatwiona. A teraz

musicie na parę dni wyjechać, póki ta sprawa nie przycichnie całkiem. Dziś wieczór będzie to w dziennikach, urzędnicy, dowiedziawszy się, żeście byli w tej willi, zarządaliby stawienia się do protokołu, a żonie twojej mogłoby to w danych warunkach zaszkodzić.

Rouletabille słuchał nie przerywając. A więc te trupy to była prawda? Nie śnili?

— Candeur... — ozwał się wreszcie... ja także widziałem wisielca...

— Niemożliwe!

— Tak... i Iwana go widziała przed bramą wchodową... Ale byliśmy nie tak odważni jak ty i uciekliśmy... nie oparliśmy się aż na ławce kamiennej wprost domu. Odzyskawszy trochę sił, chcieliśmy uciekać z willi przez tylną bramę, nagle...

Rouletabille zawahał się, potem jednak rzucił prędko.

— Na tej bramie wisiał drugi trup Atanazego!

Candeur na te słowa zmieszał się trochę, wreszcie po chwili zdecydował się powiedzieć:

To jest rzecz całkiem prosta, mój drogi! Nie chciałem, byście go widzieli... więc zanim poszedłem do mera,... myślę sobie... trzeba go stąd usunąć. Odwiązałem go tedy i wziąłem na plecy, chcąc wynieść poza ogród no i...

Zatrzymał się, jakby zdenerwowany.

— Mów dalej! — krzyknął Rouletabille. Przez ten czas siedzieliśmy z Iwaną na ławce.

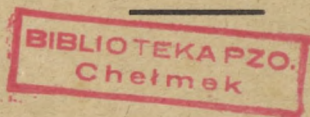
— Otóż, chciałem go wynieść — ciągnął dalej Candeur. — Nagle, właśnie, gdym był tuż przy tylnej bramie, jedynej nie zamkniętej, którą go mogłem wynieść, wydało mi się, że Atanazy poruszył się na moich plecach. Krew mi zastygła w żyłach na myśl coby się wam przytrafić jeszcze mogło, gdyby on ożył... przytem wspomniałem, jak to on mnie chciał szabłą przeciąć na dwoje...

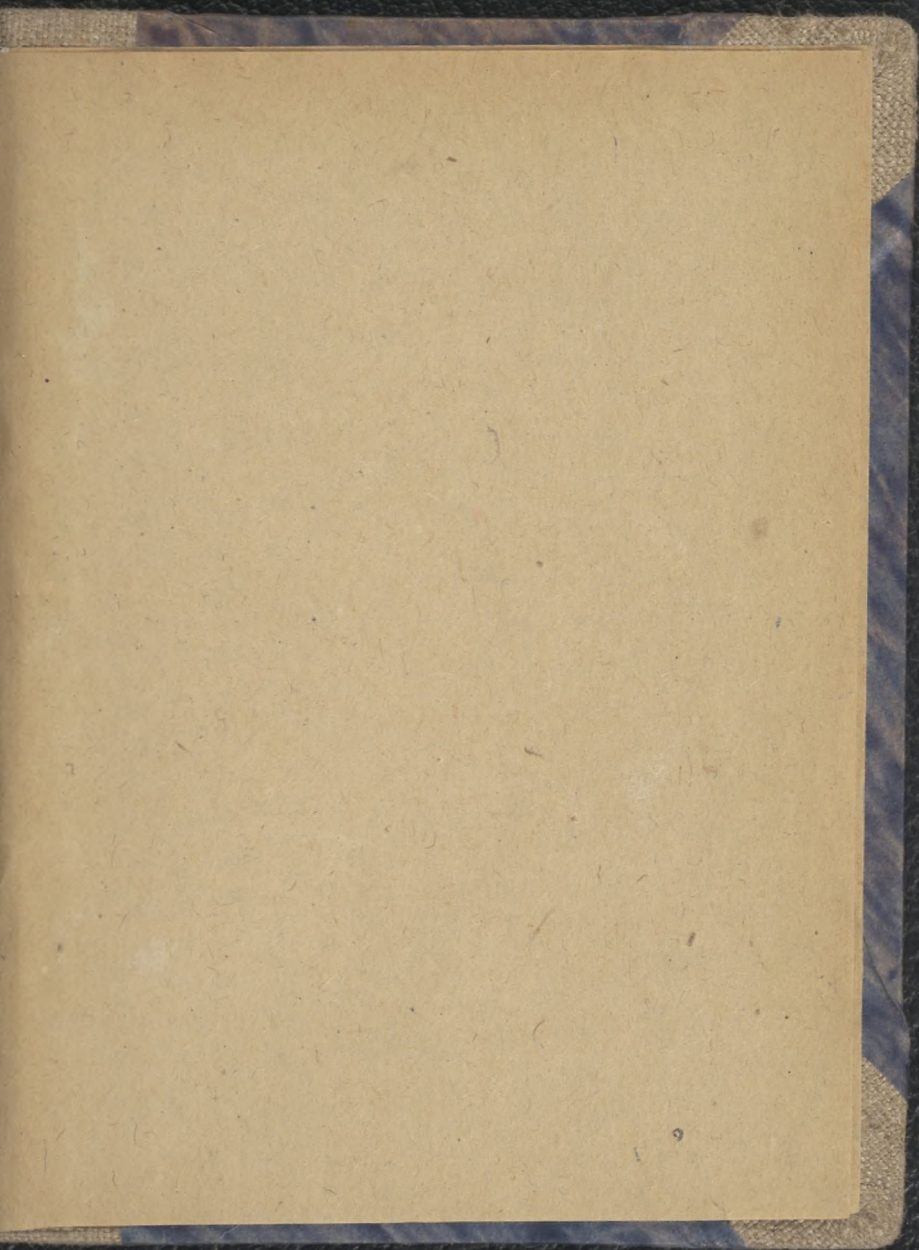
— No i cóż... i cóż? — naglił Routabille.

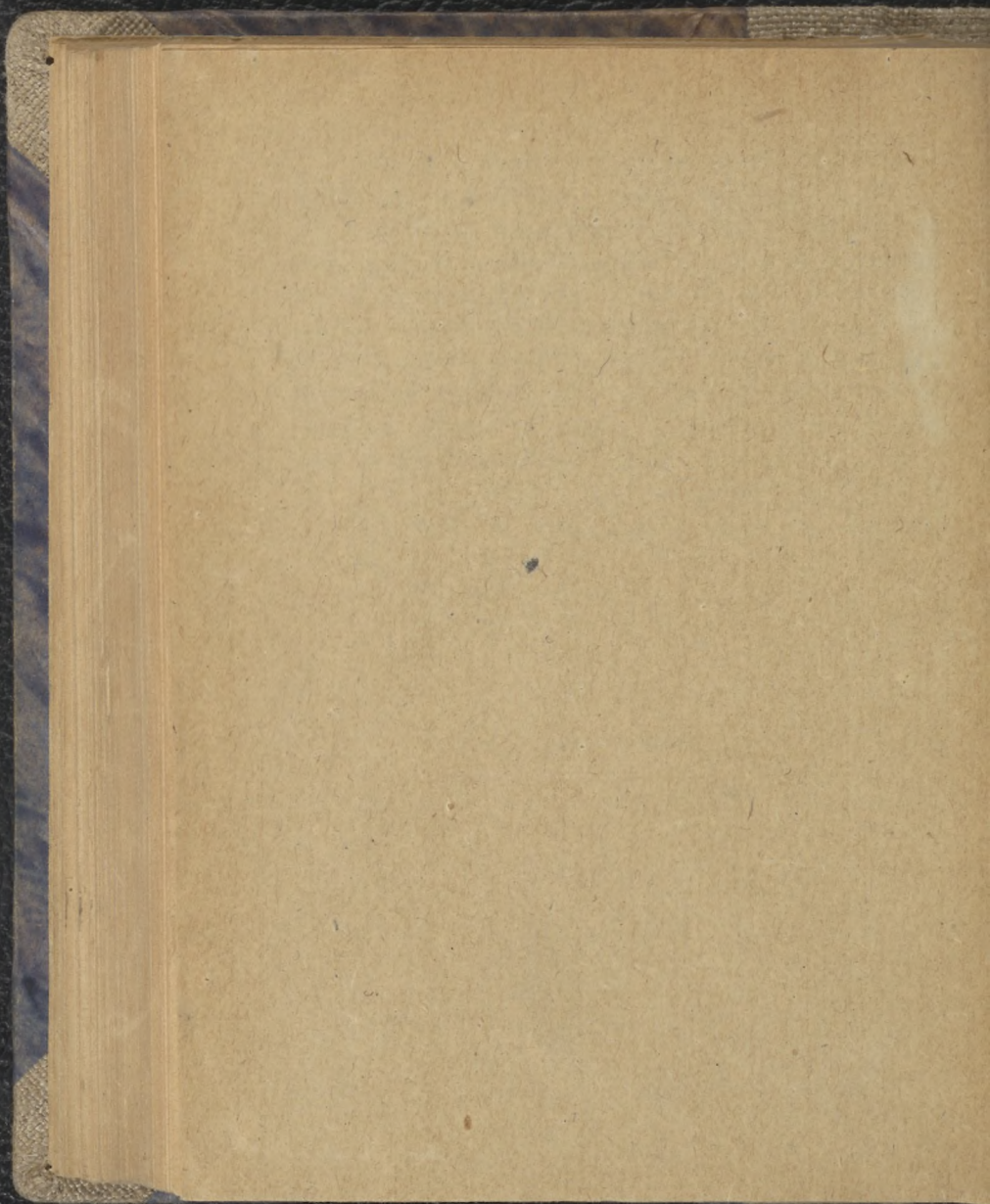
— Widzisz, mój drogi... szło mi o twój spokój..

— Co dalej? Mów!

— Powiesiłem go na bramie!







②



BIBLIOTEKA  
NARODOWA

208532